Rodzina Łaskich w XVI wieku.

I.
JAN ŁASKI
Arcybiskup Gnieźnieński.

Damalewicz, Series Archiepiscoporum Gnesnensium, Warszawa 1649.—*Bużeński* Żywoty Arcybiskupów Gnieźnieńskich, Wilno 1852.—*H. Zeissberg*, Johannes Łaski Erzbischof von Gnesen (1510—1531) und sein Testament, Wiedeń 1874 (odbitka z 77 tomu Sitzungsberichte der phil. hist. Classe der kais. Akademie der Wissenschaften).—*Dr. Alex. Hirschberg*, Jan Łaski Arcybiskup Gnieźnieński sprzymierzeńcem sultana tureckiego, Lwów 1879 (Odbitka z Tygodnia).—*Liske*, Bobrzyńskiego Dzieje Polski, Kraków 1879 z (Przeglądu Polskiego; cały ustęp o Łaskim).—*Hirschberg*, Stronnictwa polityczne w Polsce za Zygmunta I, Lwów 1879 (z Tygodnia).—*Tenże*, O dyplomacyi polskiéj za Zygmunta I (w Sprawozdaniu z czynności zakładu n. i. Ossolińskich we Lwowie 1880).—Ks. *Jan Korytkowski*, Jan Łaski arcybiskup Gnieźnieński, prymas królestwa polskiego, Gniezno 1880.—*Szujski*. Odrodzenie i reformacya w Polsce, Kraków 1881.—*Hirschberg*, Przymierze z Francyą w r. 1524, ustęp z dziejów polityki polskiéj za Zygmunta I, Lwów 1882 (z Przewodnika Naukowego).—*W. Zakrzewski*, Łascy (przegląd najnowszéj literatury) w lwowskim Przewodniku Naukowym i literackim z kwietnia 1882.

Kiedy pod koniec 16 wieku nastał obyczaj w pańskich rodzinach polskich, żeby wymyślać sobie starożytne genealogie, znalazł i któryś z Łaskich, zapewne Olbracht, usłużne pióra, które mu długi szereg przodków wykomponowały. Wyprowadzono ród Łaskich, nie od rzymskich wprawdzie senatorów, jak to czyniono dla innych, ale przynajmniéj od rycerzów normańskich, towarzyszy Wilhelma Zdobywcy, panów de Lascy, z których jeden, Albert, wypędzony z Anglii przenieść się miał na dwór Bolesława Krzywoustego i tu dać polskim Łaskim początek. Prawda, że o tych polskich Łaskich aż do 15-go wieku, nie umiał nic powiedzieć pisarz w 17-ym wieku żyjący Damalewicz, który nam tę genealogią przekazał; nie przeszkodziło to jednak, że jeszcze uczony Malinowski przed niespełna dwu-

dziestu laty, z głęboką wiarą wywody Damalewicza powtórzył. Prymas Jan Łaski z pewnością nic jeszcze o panach de Lascy nie wiedział, ale wiedział więcéj niż Damalewicz o Korabitach z Łaska (de Lassko, tak się i prymas i jego synowiec Hieronim pisali, gdy natomiast Jan młodszy i Olbracht zwykli się byli pisać a Lasco), którzy w 15-ym żyli wieku. Przechowały się bowiem (wydane w Monumenta Poloniae Historica, w tomie 3) szczupłe wprawdzie, lecz współczesne i wiarogodne zapiski o téj rodzinie: od końca wieku 14-go pokazują one cztery pokolenia dziedziców Łaska i ich koligacyj rodzinnych nas uczą. Ztąd widzimy, że rodzina miała już raz przed prymasem czas swéj świetności; pradziad prymasa a Łaska założyciel Olbracht był kasztelanem lędzkim, a brat jego Jan Radlica biskupem krakowskim. Ale odtąd rodzina podupada widocznie, bodaj czy nie przez dziada prymasowego i jego imiennika Jana. Ten bowiem, nie senator wprawdzie, ale chorąży sieradzki (godność ta była wtedy po senatorskich najwyższa) wybrał się w pielgrzymkę aż do Ziemi Św., zkąd powrócił wprawdzie rycerzem jerozolimskim, lecz oślepłszy w drodze wnet się do grobu położył. Daleka ta wędrówka, którą pewno mało kto ze szlachty naszéj owoczesnéj podejmował, to pierwszy objaw tego niespokojnego ducha, który potém w 16 w. wszystkich Łaskich charakteryzuje; ona to może przeszkodziła mu dobijać się wyższych w kraju zaszczytów, a już na pewno podkopała ekonomiczny byt rodziny dość licznéj. Na koszta jerozolimskiéj wyprawy poszedł posag synowéj, matki prymasa: ojciec téż jego, Jędrzéj, żadnéj już, chociażby powiatowéj, nie piastuje godności. Trzeba było szukać nowego dźwignięcia się rodziny na chlebie duchownym, na którym tak okazały szereg możnych późniéj rodów u nas się wytuczył: z 4 synów, dwóch już pewno od dziecka do duchownego przeznaczono stanu. Ale zbyt liczna rodzina—bo prócz synów słychać jeszcze o kilku córkach—nie pozwoliła zrujnowanemu już Jędrzejowi dać przyszłym dygnitarzom kościelnym starannego wykształcenia. W metrykach uniwersytetu Jagielońskiego nie ma ani śladu o naszym prymasie, ani o jego starszym bracie Jędrzeju, który potém tylko do kustodyi gnieźnieńskiéj doprowadził. Więc wnosić trzeba, że bracia Łascy poprzestać musieli na pierwszéj lepszéj najbliższéj szkole; a chociaż Prymas nazywa swoim nauczycielem doktora Andrzeja Górę, który był profesorem krakowskim, to mógł przecież w któréjś z kolonij akademickich korzystać z jego nauki, zanim Góra wyższych akademickich godności dostąpił. Żeby aż zagranicę dla studyów miał jeździć nasz prymas, temu stanowczo zaprzeczyć należy, chociaż go tam i ks. Łętowski i ks. Korytkowski wysyłają na wiarę słów Bużeńskiego. Prawnikiem Łaski nie był, bo sam to (w zakoń-

czeniu t. zw. statutu) powiada, a przecież tylko prawa, nie teologii, uczyli się za granicą przyszli biskupi i kanclerze; nie bez ironii mówi w swym testamencie, że mu brak téj uczoności, z któréj jego przeciwnicy, Lubrański, Tomicki, Krzycki tak byli dumni; sama nieudolna łacina jego testamentu pokazuje, że humanistyczne wykształcenie było mu całkiem obce.

We własne tylko wrodzone ufny zdolności, we własną energią i ruchliwość, bez stopni akademickich cenionych właśnie wtedy wysoko, skromnie musiał poczynać świetną późniéj karyerę Jan Łaski. Na szczycie stojąc znaczenia wspomina w testamencie, że pierwszém beneficium jego była altarya gdzieś w małém miasteczku Skokach, niosąca wszystkiego 2 grzywny dochodu. O całych zresztą 20 pierwszych latach jego działalności, zanim wszedł w służbę królewską odrazu jako wysoki dostojnik, bo najwyższy sekretarz i zastępca kanclerza, wiemy bardzo nie wiele; a nie wiedzielibyśmy nic prawie, gdyby nie własny jego testament.

Pod skrzydłami możnéj rodziny Kurozwęckich, jako zapewne zrazu sługa, niebawem powiernik i przyjaciel Krzesława z Kurozwęk kanclerza kor. a potém i biskupa kujawskiego, stopniowo porastał i on w pierze, co raz to liczniejsze i co raz to bogatsze za protekcyą swego patrona biorąc beneficya duchowne w dostatnio uposażonych kapitułach poznańskiéj, gnieźnieńskiéj, kujawskiéj, nareszcie i w krakowskiéj. A równocześnie obracał się nieustannie na dworze królewskim, tam nabierał znajomości dokładnéj wszystkich spraw politycznych. Wierny swemu opiekunowi odrzucił wprawdzie świetne widoki szybszéj promocyi, jaka go niewątpliwie czekała, gdyby wcześniéj został urzędnikiem królewskim; ale w swoich prebendach przebywał chyba wyjątkowo, natomiast bez przerwy prawie w kancelaryi koronnéj pracował. I późniéj jeszcze, chociaż ściślejszéj między sekretarzami królewskimi, a sekretarzami kanclerza przestrzegano różnicy, ci ostatni jednak układali w kancelaryi koronnéj ważne nawet akta; wtedy, w 15 wieku, powiernik kanclerza był i w kancelaryi jego prawą ręką; a że na dworze od wczesnéj młodości przebywał, sam Łaski powiada.

Jakie tam na niego oddziaływały wpływy? jak się patrzał na postępowanie Kazimierza Jagielończyka lub Olbrachta? jak się sam rozwijał politycznie? nie wiemy. Słyszymy tylko, że kilka dalekich odbył podróży, do Flandryi, do Rzymu, może nawet do Ziemi Św., bądź ze zleceniami swojego opiekuna, bądź jako poseł królewski, bądź wreszcie z pobożności. Bo pobożnym był bardzo nasz prymas od lat najmłodszych aż do późnéj starości: o tém dowodnie świadczy jego te-

stament. Pobożnym był tą pobożnością średniowieczną, która tak wielką przywiązywała wagę do wszelkich kościelnych fundacyj, przeróżnych mszy, jubileuszów, odpustów, pielgrzymek. Zbudować i bogato uposażyć kościół i kolegiatę w swojém rodzinném gnieździe, przyozdobić go i zaopatrzyć we wszelkie łaski duchowne: to najmilsze dzieło jego późnego wieku, które mimo silnego oporu i skarg głośnych—bo dobra arcybiskupie na tę fundacyą familijną obracał—ze zwykłą energią przeprowadził. W młodości żeby dostąpić jubileuszu w r. 1500 wybrał się był do Rzymu—prawdopodobnie i do Palestyny—a przy téj sposobności z pewnością załatwił tam różne sprawy dyspens lub nadań beneficyów kościelnych. Już bowiem poznał dokładnie, jakiemi w Rzymie trzeba chodzić drogami, skoro przed 5 laty po biskupstwo włocławskie dla swego opiekuna tam jeździł. Rzym i dwór papiezki, choć go widział raz pierwszy za Aleksandra VI, w chwili kiedy Rzym zajmowały armie francuzkie Karola VIII, głębokie na nim zrobił wrażenie; zawsze mu potém o ścisły z Rzymem związek, o łączność z nim i zgodę, chodziło. Nie potrzebował zresztą rzymskich wpływów, żeby zawsze ku wszelkiemu kacerstwu czy odszczepieństwu okazywać wstręt najwyższy. To pewno b y główny powód, że na Łaskiego padł wybór magnatów polskich, kiedy do boku nowego króla Aleksandra, świeżo przywilejem mielnickim skrępowanego, potrzeba było przywiązać zaufaną osobę, któraby sparaliżować mogła wpływ ruskiego stronnictwa na Litwie, dokąd król teraz powracał. Stary kanclerz Krzesław z Kurozwęk nie mógł tam za nim jechać, zastępował go dotychczasowy jego powiernik. Z godnością Sekretarza Wielkiego Koronnego otrzymał Łaski pieczęć sygnetową królewską—i odtąd, od r. 1502, poczyna się jego samoistna na dworze królewskim i w państwie działalność.

Jakże spełnił nasz Łaski zlecone mu zadania? Jakże się zachował na swém nowém przy królu stanowisku, na które panowie rada koronna z ufnością go posłali? Pod jednym względem—wiemy od Wapowskiego—wedle sił starał się wykonać, co mu polecono, usiłował, i nie bez skutku, hamować wpływ na Aleksandra stronnictwa ruskiego i tegoż naczelnika, kniazia Glińskiego. Ale po za tém brak nam całkiem wyraźnych świadectw o działalności Łaskiego; słyszymy tylko, że on to już w następnym roku zostaje kanclerzem W. Koronnym po śmierci Krzesława z Kurozwęk, choć podkanclerzy Drzewiecki zdawał się bliższym tego urzędu; słyszymy, że Aleksander zlewa na niego i jego rodzinę szczodrą swą łaskę i hojne dary. Jeszcze po śmierci Aleksandra, Łaski zawsze go swym dobrodziejem nazywał. To już pokazuje tyle przynajmniéj, że król do swego kanclerza nie miał niechęci pomimo opozycyi Łaskiego przeciw polityce królewskiéj na

Litwie. Jakaż tego przyczyna? Poszukajmy jakichś wskazówek, skoro nie ma świadectw wyraźnych.

Za kanclerstwa Łaskiego zapadają ważne na sejmach w Piotrkowie i Radomiu uchwały; Łaski jako kanclerz te konstytucye układa, a konstytucye te pokazują, że na tych sejmach odnawiał Aleksander sojusz swego brata Olbrachta ze szlachtą, że tu podejmowano myśl reformy wewnętrznéj w Polsce, uporządkowania urzędów i skarbu. Sejm radomski uchwala, że należy rozproszone ustawy i przywileje zgromadzić i zbiór ich ogłosić, a król to dzieło zleca Łaskiemu i niebawem, nadzwyczaj prędko, zbiór ten, t. zw. statut Łaskiego, już gotów w druku. Czyż w tém wszystkiém był Łaski tylko woli królewskiéj wykonawcą? czy tylko spełniał wydawane przez króla rozkazy?

Rzecz to z góry nader wątpliwa, nawet nieprawdopodobna. Aleksander stosunków w Polsce nie znał dokładniéj, Aleksander troszczył się tylko o Litwę, gdzie już od dawna rządził, a z Polski pragnął jedynie dla Litwy mieć pomoc wojenną; Aleksander, aby ten cel rychléj osięgnąć, bez oporu zatwierdził i uznał przywiléj mielnicki panom polskim samodzielne rządy zapewniający. Z góry przypuścić należy, że pod imieniem Aleksandra w sprawach polskich działał ktoś inny i ktoś inny wszystkiemi jego krokami kierował.

Kiedy się odbywały owe sejmy, kiedy się drukował statut Łaskiego, spółcześnie powstawało pismo będące wszystkich tych reform uzasadnieniem, rozwinięciem całego ich planu. Kustosz skarbu korony polskiéj, uczony kanonista Stanisław Zaborowski pisał wtedy— i wydał wkrótce potém—traktat (1): „O właściwości praw i dóbr królewskich oraz o naprawie królestwa i rządzie rzeczypospolitéj.“ Tu w imię dobra powszechnego, na prawie kanonicznem oparty, żądał przedewszystkiém zwrotu wszystkich roztrwonionych między magnatów dóbr królewskich i przeznaczenia ich na obronę potoczną; dla dobra powszechnego domagał się reformy w ogóle stosunków wewnętrznych w Polsce, reformy ich przez króla i przez szlachtę. Zaborowski był to człowiek skromny i cichy, nie goniący ani za rozgłosem, ani za dostatkami, „bogaty tylko w cnoty.“ Takie świadectwo daje o nim długoletni naoczny świadek cichego jego żywota. Zaborowski pracował literacko niejednokrotnie, ale te jego prace całkiem

---

(1) Pismo Zaborowskiego: Tractatus de natura iurium et bonorum regis et de reformatione Regni ac eius reipublicae regimine, wydany w r. 1507, wydał ponownie (w r. 1877) w 5 tomie „Starodawnych prawa polskiego pomników“ prof. Bobrzyński, który poświęcił także Zaborowskiemu oddzielną pracę, ogłoszoną w lwowskim Przewodniku Nauk. i Liter. z r. 1877.

innego są rodzaju: pisał o celibacie księży, o porządku mszy, o gramatyce i ortografii polskiéj; do prawniczych tak wielkiéj doniosłości politycznéj wywodów nigdy więcéj nie wrócił. A jeśli z własnych ust tego skromnego człowieka dowiadujemy się, że właśnie w tym czasie, za króla Aleksandra i w początkach Zygmunta Starego, w najściślejszych pozostawał stosunkach z kanclerzem Łaskim, z którym z tegoż samego, sieradzkiego, pochodził województwa; jeśli widzimy, w jaki do niego przemawia sposób, widocznie zdradzający poufałość, z którą go swoim ojcem, swym dobrodziejem nazywa, pamiętny zresztą zawsze przedziału między prymasem a skromnym altarzystą: (1) toć chyba nie będzie nazbyt śmiałém twierdzenie, że Zaborowski i Łaski, to ludzie jednakich zapatrywań i dążności, jednako reformy państwa pragnący, jednako z jéj potrzeby zdający sobie sprawę. Podzielili tylko pomiędzy siebie zadanie; jeden się w literackiéj sferze obraca, drugi praktyczne tym teoryom nadaje kształty; tamten radykalniéj, bo na papierze, może ostateczne wyprowadzać konsekwencye, ten musi liczyć się z okolicznościami, z tém co się da osiągnąć; Zaborowski żąda królewszczyzn rozdrapanych zwrotu, Łaski sprowadza uchwały, że ich przynajmniéj nadal królowi nie wolno rozdawać, chyba za przyzwoleniem stanów, na cele dobra powszechnego.

Któremu z nich dwóch myśl pierwszą przypisać należy, czy Zaborowski Łaskiego nią natchnął, czy téż na odwrót w swoim traktacie pierwotny Łaskiego pomysł tylko rozwinął i uzasadnił—darmoby tego było dochodzić. Ale zrozumiéć łatwo, że myśl ta tylko przez Łaskiego mogła dojść do Aleksandra, że to Łaski dla niéj króla pozyskał, że on go na nowe polityczne wprowadził tory. Bardzo być może, iż kiedy Łaski jechał z królem na Litwę, to o zmianie systemu rządów jeszcze nie myślał i zamierzał być tylko panów rady organem; że dopiero kiedy zobaczył, jak niedołężnie w nieobecności króla rządzą w Polsce senatorowie, jak ten rząd ich kraj na szkodę naj-

---

(1) W roku 1512 wyszła w Krakowie u Unglera mała książeczka p. t. Ordo missae denuo correctus, którą ogłosił Zaborowski bezimiennie dla użytku księży różnych dyecezyi. Dla tego różne egzemplarze tego wydania mają na tytule co raz to inny herb, biskupa odpowiedniéj dyecezyi; tylko w egzemplarzu z Korabiem jest dedykacya przez Zaborowskiego Łaskiemu, datowana z Krakowa 27 sierpnia 1510 r., inne egzemplarze mają w tém miejscu winietkę przedstawiającą wieczerzę Pańską. Dr. Wisłocki zwrócił moję uwagę, że w egzemplarzu Biblioteki Jagiellońskiéj z herbem Różą (arcybiskupa lwowskiego Bernarda Wilczka) znajduje się na końcu rękopiśmienny przypisek profesora krakow. Mikołaja z Szadka z bardzo ciekawemi o Zab. życiu i charakterze wiadomościami; ztamtąd wzięto, co powyżéj o Zab. powiedziano.

większą naraża (1), wtedy, bystry i rzutny, jeszcze w starości do śmiałych planów skłonny, poprobować ze szlachtą ogólnéj państwa reformy postanowił i króla do tego nakłonił. Ujmując całéj reformy kierunek, wzywając do życia politycznego nowy czynnik, rycerstwo-szlachtę, zapewniał sobie tém samém i ster nad nią i popularność, a zarazem dostęp sobie otwierał do najwyższych godności: ambicyą, która go trawiła, zaspokoić najkrótsza choć ryzykowna była to droga. Ten wzgląd z pewnością był także dla Łaskiego nie małéj wagi, bo cichym i skromnym jak Zaborowski nigdy nie był.

Odtąd w Polsce rządzi—oczywiście imieniem króla Aleksandra—kanclerz Łaski: on pisze konstytucye, które sejmy koronne uchwalają, on tych sejmów przez powołanie posłów ziemskich i miejskich zmienia naturę, on stwarza polski parlamentaryzm i pierwszemi jego kroki kieruje. Pod jego naturalnie imieniem i jako jego praca ukazuje się ów zbiór praw Statutem Łaskiego zwany, którego ogłoszenie, pewno za jego sprawą, sejm radomski 1505 r. uchwalił. Żadne z dzieł Łaskiego nie dało mu takiego i tak trwałego aż po dziś dzień rozgłosu. Rozgłos to słuszny i niesłuszny zarazem. Niesłuszny o tyle, że ten statut, to nie żaden porządny, systematyczny układ prawa, lecz tylko—jak wiadomo—nader bezładny zbiór dawnych ustaw i to nie wszystkich, nie w autentycznych tekstach, lecz w owych przez Helcla tak nazwanych zwodach, do których tylko w ostatnich czasach po większéj części już za kanclerstwa Łaskiego, uchwalone konstytucye dodano. Takie zwody, a obok nich różne pisma prawnicze, posiadał wtedy nie jeden z prawników polskich. Kanclerz wziął któryś taki kodeks, uzupełnił go nowemi konstytucyami, wszystko mechanicznie w jeden wielki zbiorowy spoił przywiléj,—tak téż brzmi tytuł tego statutu—i rzecz gotową posłał do drukarni. Nic dziwnego, że statut był gotów w tak krótkim czasie, zwłaszcza że sam kanclerz zapewne tylko przedmowę i zakończenie napisał, a resztę inni za niego zrobili (2). Ale o tyle znowu rozgłos, który to jego dzieło dało

---

(1) Bobrzyński, Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra, w Ateneum z 1876 tom 2.

(2) Obaj biografowie kanclerza Łaskiego, prof. Zeissberg i ks. Korytkowski, wymieniają jako współpracownika jego zbioru praw prawnika Jakóba z Zaborowa, powtarzając w tém Wiszniewskiego (Historya liter. V, 128). Ale jego zdanie nie polega na żadnym dowodzie, tylko na własnéj kombinacyi tych dwóch okoliczności: 1) że w statucie Łaskiego pomieszczono sumę Raymunda, a też samą sumę widzieć miał W. pochwalnie wspomnianą w jakimś komentarzu prawnym Jakóba z Z. wśród MS. Biblioteki Jagiel. 2) że w r. 1503 przy Łaskim przebywał Jakób z Zaborowa, a kanclerz się o nim wyrażał z pochwałą w jakimś liście, zresztą nieznanym. Wydany obecnie przez dr. Wislockiego katalog Rękopis. Bibl. Jag. pozwala stwierdzić, że się tam znajdują istotnie MSpta, które

Łaskiemu, jest sprawiedliwym, że samo ogłoszenie choćby niedoskonałego zbioru praw było faktem wielce doniosłym, jak zarazem było i naturalnym skutkiem tego, że szlachtę powoływano do stałego przez posłów we wszystkich sprawach udziału. Teraz dopiéro w tych szerszych kołach mogła się rozpowszechnić prawa znajomość, a poznanie wszystkich sprzeczności i niedostatków w istniejących ustawach musiało sprowadzić tę dążność do uporządkowania i skodyfikowania prawa, która niebawem, za Zygmunta I, tak nieustannie i naglące przez dłuższy czas się wśród szlachty objawia.

Takie jak Łaskiego za Aleksandra stanowisko niosło za sobą wiele osobistych korzyści dla niego i dla krewniaków jego, których w przedmowie do statutu publicznie narodowi zalecał. Brat jego starszy Jarosław, niedawno jeszcze tylko wojski sieradzki, niebawem siedzi na wysokiéj senatorskiéj godności jako wojewoda łęczycki, a w parę lat przenosi się na rodzinne swe województwo sieradzkie, które odtąd z ojca na syna i z brata na brata jakby dziedzictwem przechodząc w rodzie Łaskich przez cały wiek prawie zostaje. Sam kanclerz otrzymuje za prezentą królewską do swych dotychczasowych beneficyów aż trzy probostwa: poznańskie, średzkie, łęczyckie; pierwsze i trzecie liczyło się między najbogatsze w całéj Polsce prelatury, równe mniéj dostatnim biskupstwom. Kiedy zaś określano obowiązki kanclerzy, w konstytucyach piotrkowskich 1504 r. pomieścił Łaski przepis, że oni to przed wszystkimi innymi będą mieli pierwszeństwo do opróżnionych biskupstw i arcybiskupstw. Podkanclerzy Drzewiecki skorzystał z tego i został wnet biskupem przemyskim; Łaski jednak po tę ubogą katedrę nie sięgnął wcale, jego ambicya mierzyła od razu wyżéj. Od pierwszéj niemal chwili, odkąd został kanclerzem, rozpoczął usilne kilka lat trwające zabiegi, aby so-

---

były własnością Jakóba z Zaborowa doktora dekretałów i profesora krak., lecz ten żył w pierwszéj połowie 15 w. (magistrem został 1411 r., a 1437 był rektorem Uniwersytetu, Muczkowski, Statuta, p. 17 i 28); że natomiast nie ma wśród MSptów żadnego traktatu prawnego Jakóba z Z., którzyby żył w końcu 15 i początku 16 w., suma zaś Raymunda znajduje się (oprócz w 2 innych) w MS. Jakóba Parkosza z Żórawicy, także doktora dekretów. Kto wie, jak pobieżnie Wiszniewski rękopisy Bibl. Jag. przeglądał, ten nie zawaha się przypisać mu, że pomięszał dwóch doktorów Jakóbów z sobą i potém skombinował ich z 3-ą osobą. Bo że w liście Łaskiego była mowa o Zaborowskim, temu chętnie wierzymy, ale oczywiście o tym Stanisławie Z., o którego stosunkach z Ł. już wiemy. Może być bardzo, że St. Z. był posiadaczem zbioru, który wziął od niego Ł. i kazał wydrukować; mógł jednak wziąść taki zbiór i od innego uczonego prawnika, z którym go w tym czasie bardzo bliskie stosunki łączyły (Zeissberg, Testament, 125, 126), doktora Mikołaja Kotficza, notariusza królewskiego; tego pismo prawnicze nawet Ł. w swym zbiorze pomieścił; w każdym razie kombinacya Wiszniewskiego nie ma podstawy i musi upaść, choć ją tyle razy powtórzono.

bie w niezwykły w Polsce spcsób zapewnić najwyższą w kościele godność, prymasowską, aby zająć pierwsze w państwie po królu miejsce.

Jak wiadomo, w Polsce od czasów Kazimierza Jagielończyka praktykowało się stale, że ilekroć które z biskupstw zawakowało, król nominował na nie od siebie, a kapituła nominata wybierała, poczem papież takiego nominata-elekta zatwierdzał i udzielał swéj na biskupstwo prowizyi. Nie było w tym względzie żadnego formalnego postanowienia; formalnie przysługiwało kapitułom prawo niby wolnego wyboru; król okazywał się zazwyczaj o tyle uprzejmym i względnym w formie, że zawiadomiony przez kapitułę o dniu elekcyi biskupa posyłał tam swego wysłańca, który wychwalając przymioty nominata do wyboru go kapitule—tylko zalecał: ale po doświadczeniach zrobionych za Kazimierza, nigdy odtąd żadna kapituła polska nie probowała zwrócić wyboru na inną raczéj osobę, niż na nominata królewskiego. Dopóki żył Aleksander, dopóki trwał Łaskiego wpływ na niego, mógł kanclerz liczyć na pewne, że jakiegobądźby biskupstwa wakującego zażądał, nominacya królewska go nie minie. Lecz zdrowie króla nie rokowało mu długiego żywota, na równą następcy przychylność trudno było na pewnc rachować, lepiéj było się zabezpieczyć zawczasu. Więc gdy obecny prymas Andrzej Róża, może z pomocą kanclerza dostąpiwszy swojéj godności (jedyny to bowiem wypadek, żeby arcybiskup lwowski, znacznie uboższy od każdego głównego biskupa w Polsce, został prymasem) ofiarował mu koadjutoryą arcybiskupstwa, Łaski pochwycił natychmiast tę sposobność. Aleksander przyzwolenia oczywiście nie odmówił, potrzeba tylko było, aby papież koadjutoryą z prawem następstwa zatwierdził. Łaski znał wszystkie praktyki rzymskie, śląc tam w téj sprawie doskonałego kortezana, Mikołaja Czepiela, nie wątpił zrazu o rychłym skutku.

Nad wszelkie spodziewanie w Rzymie rzecz poszła trudno. W rok potém jak Łaski rozpoczął pierwsze o koadjutoryą starania, przybył do Rzymu z poselstwem od Aleksandra biskup płocki Erazm Ciołek i począł mu na każdym kroku tak systematycznie przeszkadzać, że odtąd Łaski najzawziętszym go swoim mienił „wrogiem.“ Nie zawsze tak przedtém bywało. Gdy Łaski przybył pierwszy raz na dwór króla Aleksandra, zastał tam Ciołka ulubieńcem królewskim, z którym potrzeba się było liczyć. Ciołek znów wątpliwego pochodzenia i więcéj niż niepewnego szlachectwa potrzebował w Polsce (bo na Litwie łaska królewska wystarczała) Łaskiego pomocy, aby dostąpić wyższych godności duchownych. Podobno zawarłszy obaj z sobą układ wzajemnie sobie popierać swe interesa przyrzekli.

Dotrzymał Łaski obietnicy biorąc udział w niezmiernie naciąganym wywodzie szlachectwa, jaki przeprowadził z pomocą króla Erazm, gdy go kapituła krakowska dla plebejskiego pochodzenia w swoje grono przyjąć nie chciała (1). Podobno i do biskupstwa płockiego w następnym już roku Łaski Erazmowi dopomógł; spółcześnie, może za poparciem Ciołka, sam otrzymał kanclerstwo i króla dla swoich planów reformy w Polsce pozyskał. Ale niebawem przyszło między nimi do zerwania. Kto dał do tego powód? Łaski na Ciołka winę zwala; o powód nie było trudno między dwoma ambitnymi ludźmi, współzawodnikami na tym samym dworze, gdzie każdy już teraz na własnych stał silnie nogach. Łaski z pewnością zawsze na Ciołka patrzył z góry, pewno go zawsze za „chłopa“ uważał. Tak go też wszyscy mimo wywodu szlachectwa nazywali; konstytucye z r. 1504, które ponownie dostęp nieszlachcie do wszystkich stolic biskupich i głównych kapituł (prócz pewnéj liczby miejsc dla doktorów plebejów) zamykały, najoczywiściéj w pierwszéj linii przeciwko Ciołkowi były wymierzone. Nie Łaski wprawdzie był autorem dawniejszych od jego kanclerstwa uchwał sejmowych jeszcze z r. 1496; ale że je wznowiono w téj chwili, zaraz po wyniesieniu Ciołka i jakby wskutek tego wyniesienia, w tak dobitny sposób, z wyraźnym celem, aby mu drogę do wyższych jeszcze godności zagrodzić, to z pewnością odpowiadało chęciom Łaskiego, który zresztą działając w téj chwili w zgodzie ze szlachtą, choćby chciał, nie byłby mógł takiéj ustawie przeszkodzić.

Aleksander prawdopodobnie umyślnie w téj chwili Ciołka do Rzymu wyprawił, żeby go usunąć przed powszechną szlachty ku niemu nienawiścią: dla Łaskiego było to niefortunném; bo winiąc go, że owym konstytucyom nie przeszkodził, Ciołek miał teraz sposobność do pomsty, a jednocześnie do zyskania sobie przyjaciół wśród polskich panów duchownych. Biskupi polscy z pewnością z wielką patrzyli niechęcią na Łaskiego starania. Większość wśród nich, może wszyscy, czuli się panami duchownymi, potępiali niewątpliwie kierunek polityczny Łaskiego, jego sojusz ze szlachtą; do tego przybywały interesa ambicyi. Zaczął się już ustalać w Polsce niebardzo zgodny z przepisami kanonicznemi zwyczaj, że stopniowo z mniéj bogatych katedr biskupich na coraz dostatniejsze postępowano. Łaski tymczasem odrazu chciał dosięgnąć samego szczytu, ubiedz tych, którzy lepsze od niego do prymasowskiéj godności przypisywali sobie prawo. Szczególniéj poważny i rzeczywiście zasłużony swoim około pod-

---

(1) Lukas, Erazm Ciołek, w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1877 tom 4 str. 58 (także i w oddzielnéj odbitce).

niesienia szkół trudem biskup poznański Jan z Lubrańca żywił nadzieję, że na Gnieźnieńskiéj po Róży siędzie stolicy. Z Erazmem porozumiał się ajent Łaskiego Czepiel, pieniądze przysłane przez kanclerza obrócono na inne cele, sprawa koadjutoryi nie postępowała w Rzymie naprzód—tymczasem w Polsce zaszły zmiany.

Umarł król Aleksander, do końca otaczany troskliwą strażą kanclerza; nastał król Zygmunt Stary całkiem innėm na Łaskiego spoglądający okiem. Rozważny i aż do lękliwości ostrożny, powolny i wahający się, niechętny każdemu śmielszemu przedsięwzięciu, objąwszy rządy państw swoich wśród nader trudnych okoliczności, przy groźnych ze wszystkich stron niebezpieczeństwach, Zygmunt I nie czuł wielkiego pociągu ku ryzykownéj swych poprzedników polityce wewnętrznéj. Reformy stosunków wewnętrznych potrzebę i on wprawdzie uznawał, reformę zwłaszcza siły zbrojnéj przedsięwziąść niebawem i on zamierzał; ale przed sojuszem w celu jéj dokonania ze szlachtą, cofał się trwożnie, wolał do wykształceńszych i bardziéj doświadczonych panów rady się odwołać, z ich to raczéj pomocą pracy politycznéj probować. Łaski, naczelnik szlachty, imponował mu wprawdzie śmiałością, tém że pierwszy sprawę reformy poruszył i na sejmy wprowadził, ale więcéj jeszcze przejmował go trwogą, wzbudzał w nim podejrzliwość. Zygmunt nie zrywał z nim do nagłych zwrotów nie skory, ale odsuwał się od niego widocznie, raz po raz podawał chętne ucho jego przeciwnikom, tak że Łaski swego na króla wpływu nigdy nie był pewny. W sprawie koadjutoryi gnieźnieńskiéj przyzwolenia Aleksandrowego nie cofnął Zygmunt, nie mniéj jednak w téj sprawie kanclerzowi „niechętną twarz okazywał", a jego przeciwnikom sprzyjał. Jak dalece zachwiał się od razu cały wpływ kanclerza, to najlepiéj pokazuje jedna z pierwszych koronacyjnego sejmu konstytucyj, uchylenie ustawy z r. 1504 o ekspektatywie kanclerzy na biskupstwa. „W statucie Aleksandra króla—słowa są téj uchwały—co jest napisano o kanclerzu i podkanclerzym około opatrzenia ich na dostojeństwa i urzędy duchowne i świeckie, tedy tak to opatrując skazujemy, iż my i potomkowie naszy mają mieć słuszny wzgląd na prace i zasługi ich. Wszakże w naszéj i potomków naszych dobréj woléj to zostawiamy, aby wedle zasług i dzielności kożdego nam to było wolno, jako się czas poda tudzież Rzeczypospolitéj będzie pożyteczne, każdego z nich na wyższy stan i opatrzenie wyższe podnieść" (1). Przy całéj swéj zawiłéj i nie jasnéj osnowie konstytucya ta wyraźnie w Łaskiego godzi.

---

(1) Wedle przekładu Herburta, Statuta i przywileje, f. 193.

Kanclerz jednak nie uląkł się i nie cofnął, bo jak powiada, cofnąć się niemógł; tylko odtąd w Rzymie całą złożył nadzieję. Raz po raz słał tam znaczne pieniądze, gromadził je skąd tylko można było coś dostać, niekiedy bez skrupułu, brnął w coraz nowe długi, z których nigdy do śmierci już się nie wydobył, i nareszcie po czteroletnich mozolnych zabiegach uzyskał prowizyą apostolską od Juliusza II a z początkiem r. 1509 mógł wejść w posiadanie koadjutoryi gnieźnieńskiéj. Przeciwnicy Łaskiego nie uważali jeszcze tego za ostateczne rozwiązanie sprawy. Że się teraz mocno na prowizyi papieskiéj opierał, za to oni stojąc przy prawie nominacyi królewskiéj mienili go kortezanem, który przez Rzym w tak nienawistny królom polskim sposób na katedrę arcybiskupią wedrzéć się usiłuje, utrzymywali, że godzien za to losu Jakóba Sienieńskiego, owego prałata, którego papież biskupem krakowskim naznaczył, a Kazimierz Jagiellończyk nie dopuścił do objęcia katedry.

Kortezanem co prawda Łaski nie był, ale w tych oskarżeniach była część prawdy: nigdy on istotnie nie okazywał takiego wstrętu, jak wszyscy polscy w 16 wieku biskupi, do mieszania się Rzymu w szafunek beneficyami duchownemi, nigdy nie bronił tak ostro jak inni wyłącznego prawa królewskiego nominacyi. Kiedy potém, po śmierci Ciołka w Rzymie, papież Adryan VI nie pytając się króla rozporządził biskupstwem płockiem na rzecz obcego prałata, kiedy z kancelaryi Tomickiego szły, wówczas groźne o to do papieża odezwy, a król najwyższy gniew okazywał: Łaski powszechnego oburzenia nie dzielił, radził szukać drogi pośredniéj i sam podawał sposoby, jakby się mogło stać zadość pretensyom rzymskim, prawda, że z osobistą korzyścią jego własnéj rodziny. Kilka lat przedtém, gdy w Rzymie jako prymas na soborze laterańskim przebywał, bez wiedzy króla lub nawet wbrew króla nominacyi, jak w głośnéj sprawie kantoryi gnieźnieńskiej, wyjednał od papieża nadanie sobie lub swoim różnych beneficyów, że się aż cały synod prowincyonalny na niego skarżył. Wogóle z Rzymem starał się zawsze ścisłe utrzymywać stosunki; brat jego Andrzéj nader często tam bawił. Obecnie, w sprawie o prymasowstwo, w rzymskiéj prowizyi widział główne swoje do niego prawo. Zygmunt po śmierci Andrzeja Róży wahał się rzeczywiście, czy dopuścić Łaskiego do prymasowstwa. Jeżeli w końcu to uczynił, to obok innych pobudek niemniéj ważną była i ta, że nie chciał król zatargu z całém, które za Łaskim stało, stronnictwem i równocześnie ze stolicą apostolską, swoje zaś prawo nominacyi przez poprzednie przyzwolenie Aleksandra widział pokryte.

„Ostatecznie jednak uszanowano prowizyą apostolską": w maju 1510 r. został Łaski arcybiskupem prymasem i złożył zgodnie

z niedawną konstytucyą pieczęć koronną. Nie wszyscy tak niechętnie jak wpływowi biskupi patrzyli na nowego prymasa. „Pożądaniem pożądałem tego, co z tobą Najprzewielebniejszy Ojcze teraz Bóg uczynił; słusznie powiedzieć mogę: ukazały się kwiaty po ziemi naszej, przyszedł czas winnic obrzynania, bezpłodne latorośle będą wycięte, aby bardziej żywotne tém obfitszy owoc wydały. Prawdziwy to jest palec Boży, podnoszący, mówiąc z psalmistą, z prochu nędznego, aby zasiadł między książęty i dzierżył stolicę chwały. Powszechne to jest dobro i powszechne, jak nigdy przedtem, z Waszéj Przewielebności wszystkich wesele. Słusznie raduje się i przechwala się w Panu kościół całéj korony.“ Temi slowy, wymowną amplifikacyą słów biblii, wita Stanisław Zaborowski (1) Łaskiego, zaraz gdy zasiadł na stolicy gnieźnieńskiej. Pamiętajmy, że to mówi człowiek „uczciwy, kapłan prawdziwie chrześciański,“ który umarł w ubóstwie, chociaż przez 32 lata był kustoszem skarbu królewskiego, który „żadnych nie pragnął beneficyów a dobrowolnie mu dawane odrzucał, mówiąc, że dość mu tego, co ma z urzędu swego i z altaryi.“ To więc nie głos pochlebcy, który pragnie wyłudzić coś od dostojnego patrona; to echo tych oczekiwań i nadziei, które wyniesienie Łaskiego budziło w kołach pożądających reformy i naprawy państwa. Kiedy panowie rady i świeccy i duchowni widzieli z oburzeniem, że z prochu — jak mówi Zaborowski — prosty szlachcic sieradzki, bez świetnych koligacyj i stosunków, bez studyów zagranicznych i stopni doktorskich, stanął na czele i kościoła i senatu, — w kołach szlachty, w kołach posłów sejmowych, witano radośnie na tém dostojeństwie swojego przewodnika; tam nikt teraz nie myślał o kortezaństwie owém, jakie mu zarzucano, choć kortezaństwo i dla szlachty było rzeczą wstrętną i nienawistną.

Świadectwo Zaborowskiego rzuca jasne a niespodziane światło na całe stanowisko kanclerza a obecnego prymasa. Światło tém pożądańsze dla nas, że szczupłe bardzo i mętne mamy o Łaskim wiadomości, chociaż właśnie od tego czasu znacznie obficiej płynąć poczynają źródła historyczne w zbiorze t. zw. Acta Tomiciana. Z tego to powodu, dla téj szczupłości naszych o Łaskim wiadomości, mniema prof. Liske, że Acta Tomiciana są tendencyjnie ułożone. Nieśmiałbym tego tak stanowczo twierdzić. Prawda, że układający Tomicyana Stanisław Górski był wiernym sługą i stronnikiem zupełnie oddanym Tomickiemu, najważniejszemu wkrótce wśród Łaskiego nieprzyjaciół. Ale bardzo być może, że Tomicyana pomimo woli Gór-

(1) W dedykacyi już cytowanego Ordo missae; co zaś poniżéj o Zab. powiedziano, pochodzi ze wspomnianéj już zapiski Mikołaja z Szadka.

skiego stały się tendencyjnemi; bardzo być może, że Górski dlatego pomieścił w tym zbiorze liczne Tomickiego i jego przyjaciół korespondencye prywatne, bo te mu były dostępne, gdy tymczasem listów prywatnych Łaskiego nie znał i nie mógł dostać. Bądź co bądź w Tomicyanach słyszymy o Łaskim tylko z ust jego nieprzyjaciół i tylko w sposób niekorzystny: wyjątkowo chyba spotkać tam można jakiś list nawpół urzędowy od prymasa do króla albo kanclerza. Dlatego słuszne całkiem zdanie prof. Liskego, że z Tomicyanów poznajemy Łaskiego jednostronnie, fałszywie. Słusznie też Liske pierwszy przedsięwziął nam go pokazać takim, jakim był w rzeczywistości: naczelnikiem całego stronnictwa politycznego; obok innych dowodów wskazał na własne Tomickiego słowa, że między nim a Łaskim „nie zachodziła nigdy żadna prywatna nieprzyjaźń,“ że antagonizmu ich głównėm źródłem to, iż (Tomicki mówi o sobie) „wypowiadał otwarcie, co za korzystne i zbawienne dla Rzeczypospolitej uważał.“ Sprzeciwił się wywodom Liskego dr. Hirschberg, zaprzeczył wprost istnieniu w Polsce za Zygmunta Starego różnych stronnictw politycznych i zgromadzić się starał szereg dowodów na to, że tylko antagonizm osobisty, prywatny, dzielił Łaskiego od jego przeciwników, że tylko jeden miał prymas cel na oku: wyniesienie swojėj rodziny, że tylko nieustanne w tym kierunku jego zabiegi nienawiść mu innych panów rady sprowadziły. — Nie będziemy się sprzeczać z dr. Hirschbergiem, co należy „rozumiéć przez stronnictwo polityczne w najszerszém tego słowa znaczeniu;“ nie będziem rozbierali, czy można twierdzić, że „ze zmianą polityki Zygmunta I zmieniały się także dążności i sympatye polityczne jego kanclerzów,“ czy wolno o zupełny brak własnego zdania ludzi takich jak Tomicki tak stanowczo posądzać, czy wreszcie może kto uwierzyć w tak stanowczy i despotyczny wpływ tego króla, o którym Krzycki — a ten go znał pewnie dobrze—pisze w poufnym liście do wuja: „znasz króla, że nic nie uczyni sam z siebie, że natomiast uczyni wszystko, czego zechcą ważni senatorowie i dla tego potrzeba miéć o nim staranie i dodawać mu bodźca“ (1). Chętnie zgodzimy się nawet z dr. H., że w antagonizmie Łaskiego z Tomickim i innymi, osobiste sprawy i współzawodnictwa odgrywały nieraz bardzo ważną rolę: przywiedzionych słów Tomickiego nikt pewno nie będzie rozumiał całkiem dosłownie. Ale przeczyć istnieniu różnych stronnictw w państwie, które nie jest absolutną monarchią, to znaczy przeczyć, że to państwo żyje, że w niem jakiś ruch się odbywa. Że Polska nie była wte-

---

(1) Acta Tom. VII, 311, N. 75 znajduje się to najdobitniejsze, lecz bynajmniéj nie jedyne świadectwo tego rodzaju o Zygmuncie.

dy absolutnie rządzoną, toć wiadomo, a że za Zygmunta I reform usiłowano dokonać, temu nikt nie zaprzeczy.

Musiały więc być w Polsce ówczesnej stronnictwa polityczne, a przynajmniéj stronnictw zawiązki. Tylko te stronnictwa miały zarazem charakter poniekąd kliki. Każdy popierał swoich, żeby ich być pewniejszym; każdy chciał jak najwięcéj zająć wpływowych posad, bogatych beneficyów, żeby jak najwięcéj zgromadzić środków; to stronnictwa całego znaczenie podnosiło, dodawało mu więcéj siły do osiągnięcia swych celów. Ale żeby osiągnąć cel jakiś polityczny tak dalece za wyniesieniem własném i swoich, za korzyściami osobistemi goniono, że nieraz cel ów istotny zdawał się niknąć z oczu, że samo wyniesienie stawało się poniekąd celem. W Polsce czynił to wtedy każdy; Łaski swych przeciwników przewyższał jednak i w tém także większą energią i bezwzględnością; jak we wszystkiém i w tém także był od nich rzutniejszy i zuchwalszy. Tem wyżéj dążył, od im skromniejszych zaczął początków; tém silniéj pchał swoich, im mniéj dotąd w kołach najwyższych i wpływowych miał zwolenników i przyjaciół; tém też głośniejsze krzyki oburzenia powstawały tam na niego, im szybszą i świetniejszą była jego karyera. Te krzyki, te niechęci poznajemy w Tomicyanach z poufnych korespondencyi Tomickiego, Krzyckiego i innych, gdy tymczasem zgoła nie wiemy, co o nich samych w przeciwnym powiadano obozie. Bądź co bądź „swoich wynosić i wielkie rzeczy robić“ (1), to prawdziwe godło Łaskiego, całéj Łaskich rodziny; która z dwóch części tego godła na pierwszem stała miejscu, nie zawsze łatwo rozpoznać; nieraz pewno samo wyniesienie wydawało się „rzeczą wielką.“

Świadectwo Zaborowskiego o Łaskim, tak cenne, że wychodzi od człowieka żyjącego zdala od gwaru ambicyj ścierających się na dworze i w radzie królewskiéj, którego echo przynoszą nam Tomicyana, nie jest jedyném. Inny poważny także głos nas dochodzi o stanowisku prymasa wobec ważnych spraw wewnętrznych: w sporze o stronnictwa za Zygmunta I dotąd tylko politykę zewnętrzną omawiano.

Wspomniał już Zeissberg, lecz w przypisku tylko, z powątpiewaniem, że Frycz Modrzewski Łaskiemu projekt jakiegoś banku przypisywał. Nieco więcéj powiada o tém ks. Korytkowski, objaśniając, że bank ten miał na procent kapitał w nim złożony wypożyczać, a w razie nagłym na potrzeby kraju dostarczać. Żaden z obu nie

---

(1) Temi słowy charakteryzuje kapituła gnieźnieńska działalność prymasa, gdy w r. 1519 czyniąc mu ostre wymówki skarży się, iż ut suos exaltet et magnas res aget audacter in maiora debita indies ruit, Korytkowski, 43 nota 1.

sięgnął do źródła, poprzestali na cytacie Czackiego. Zobaczmyż co sam Frycz o tém pisze (1):

„Był niektóry senator, któremu się zdało, żeby w rzeczypospolitej by jedną zbożności górę (Mons pietatis ma łaciński tekst Frycza, co dziś zwykle bankiem pobożnym nazywamy) zbudowano; tak on zwał one spółki (t. j. składki) lub pieniądze, któreby wszyscy wedle możności swéj każdy raz zrzucili a potemby tych co rok przyczyniali.... Pospolity skarb (i w tém miejscu ma tekst Frycza: Mons Pietatis, lecz tu już tłómacz oddał inaczéj) jakom ja słyszał, on sławny a mądry wielce człowiek Jan Łaski, będąc i w nabożeństwie i w rzeczypospolitéj naszéj przedniejszy, na niektórym sejmie w Piotrkowie założyć tak radził: niektóre sumy zwał pierwszemi, drugie wtóremi, a niektóre trzeciemi. Pierwsze sumy rozumiał połowicę pożytków (t. j. dochodów), którą całą aby każdy raz dał, za to miał, żeby było dosyć; licząc za pożytki i czynsze gotowe i co się z gumna przychodzi. Za drugie sumy liczył, żeby co rok dwudziestą część swych dochodów każdy dał. Trzecieby sumy przepadające były te, o których niżéj powiemy" (istotnie daléj nieco powiedziano, że to miały być „wszystkie pieniądze za winy wedle prawa i zwyczaju brane od tych, którzy w jakich występkach przeświadczeni są"). „A aczkolwiek ani pierwsze, ani wtóre sumy nie mogą być postanowione, jedno oszacowawszy dochód każdego; ale iż pierwsza tylko raz miała być składana, przeto był téj nadziei Łaski, że wszyscy rzeczypospolitéj miłownicy byliby tak na nią łaskawi, żeby ją chętnie i szczodrze złożyli okrom dostatecznego (t. j. dokładnego, exacta) majętności albo dochodów szacowania. A jeśli się to ciężko zdało dla trudności o pieniądze pierwszą sumę wszystką zarazem złożyć, wszakże tak rozumiał, że bez trudności za dwa lecie albo najdaléj za trzy mogłaby być złożona i od króla i od wszystkich wieczną osiadłość mających, a także téż i od wszystkich duchownych osób, które beneficya dożywotne mają. Bo tak rozumiał, że ci duchowni mieli być od tego podatku wolni, którzy tylko do roku co trzymają a potém wedle woléj starszych miejsca odmieniać muszą; ale którzy beneficya dożywotne mają, ci wedle przemożenia (t. j. wartości) każdego beneficyum i wedle dochodu z gumien i czynszów przychodzącego żeby pierwszą i wtórą sumę składali. Toż się i o świeckich paniech i o szlacheckim stanie folwarki i inne pożytki mającym wedle jego zdania rozumiéć miało. Toć było Łaskiego o skarbie rzplitéj zdanie."

---

(1) Andreae Fricii Modrevii De republica emendanda libri quinque, Basileae 1559, p. 196; tu podaję słowa spółczesnego przekładu Cypriana Bazylika w wyd. Turowskiego str. 292.

To więc nie o żaden bank chodziło, nie o gromadzenie w nim kapitałów, któreby niosły procent, nie o instytucyą kredytową, o jakiéj nikt w początkach 16 wieku nie myślał nawet, która podówczas w Polsce byłaby zgoła niedorzeczną. Tłómacza Fryczowego nie zwiodła owa dla dzisiejszych Łaskiego biografów łudząca nazwa Mons pietatis. Miał to być tylko „skarb pospolity," skarb rzeczypospolitéj na potrzeby obrony granic, którego utworzeniem tak wiele się przez cały wiek 16 u nas zaprzątano, tak długo, a daremnie o nim radzono. Z tym projektem występował Łaski na sejmie którymś za Zygmunta Starego, kiedy nieustannie coraz to inne czyniono próby, jak zorganizować na nowo służbę wojenną zamiast pospolitego ruszenia. Bo że istotnie Łaski z takim projektem wystąpił, to najmniejszéj nie może podledz wątpliwości. Andrzéj Frycz wprawdzie nie od niego samego o tém się mógł dowiedziéć, bo dzieckiem był prawie, kiedy stary prymas umierał. Ale Frycza z domem Łaskich łączyły (wedle własnych słów jego) bardzo bliskie stosunki. Ze Stanisławem Łaskim, wojewodą sieradzkim, najmłodszym z synowców prymasa, jeździł jako sekretarz poselstwa do Karola V; jedno z pism swych Łaskiego ochrzcił imieniem (Lascius sive de poena homicidii), do młodziutkiego Olbrachta Ł. ze słowami zachęty się odzywa, a o zmarłym Hieronimie z najwyższém mówi uznaniem. Mógł Frycz miéć i miał z pewnością dokładne informacye.

Dowiadujemy się więc od niego, w jaki to sposób rozpoczętą za Aleksandra reformę chciał Łaski za Zygmunta daléj prowadzić. Zamknął szafunek dóbr królewskich bez sejmu, z pewnością ku wielkiemu niezadowoleniu magnatów, popierał lub może pierwszy podał myśl odbioru rozdrapanych królewszczyzn, którą tak uczenie z prawa kanonicznego rozwijał jego przyjaciel. Ale gdy się przekonał — a wprędce przekonać się o tém musiał — że pomysł ten żadną miarą nie da się urzeczywistnić, gdy pozostałe królewszczyzny na coraz większe potrzeby i wydatki nie mogły starczyć, występował z nowym pomysłem, który go całego doskonale charakteryzuje. Boć najwyraźniéj tu się na rzymskich wzorach opiera, na praktyce kościelnéj te opłaty jednorazowe całéj połowy rocznego dochodu, toż to nie co innego jak wprowadzenie na cele państwa tych samych annat, które duchowni od wieków na potrzeby kościelne papieżom płacili. A do ściągnięcia ich przystąpić zaraz, polegając na sumienności płacących, to sposób śmiały i ryzykowny, jak je nasz prymas lubił, ale—kto wie czy w Polsce nie prościéj prowadzący do celu niż mozolne i długie poprzednio dóbr taksacye. Szacowanie dóbr każdego miało przyjść potém, dodatkowo; zaprzeczyć się z pewnością nie da, że znał Łaski narodowy charakter, znał dobrze zwłaszcza szlachtę polską, gdy się

więcéj po ofiarności w chwilowém uniesieniu spodziewał niż po cichem i wytrwałem spełnianiu obowiązku, kiedy zapał długie przygotowania ostudzą.

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą, gdybyśmy mogli wiedziéć, na którym to sejmie piotrkowskim Łaski swój projekt wnosił: czy zaraz na początku rządów Zygmunta, czy dopiero po nieudałych jego pierwszych usiłowaniach, aby zorganizować obronę. Jeżeli projekt ten pierwsze owe próby poprzedził, to musielibyśmy w nim upatrywać pierwszy téż do nich impuls a w Łaskim istotnego niedoszłych reform wojskowych za Zygmunta autora. Bardzo to być może, pewności jednak ani żadnego dowodu na to nie mamy. Ale co przedewszystkiém w tym pomyśle uderza, to ta śmiałość, z jaką naczelnik kościoła w Polsce duchowieństwu całemu ofiary ciężkie na rzecz państwa chce nałożyć. Bez wahania wyciąga Łaski praktyczne konsekwencye, przed któremi cofał się Zaborowski lub wypowiedzieć ich nie chciał, i w imię dobra powszechnego na kler polski pomimo wolności duchownych rozciąga obowiązki dla skarbu publicznego.

To właśnie miało największe znaczenie praktyczne: projekt cały, jak wiadomo, nie przyszedł do skutku, może tylko, zmodyfikowany znacznie, dostarczył punktu wyjścia do owych niefortunnych prób taksacyi. Ale to miało znaczenie, że prymas Łaski zawsze był gotów przemawiać za koniecznością ofiar duchowieństwa na rzecz publiczną. Wnet po objęciu swéj godności przystąpił do najważniejszego dziś dla nas swego dzieła, polecając spisać uposażenia wszystkich prebend duchownych w swojéj rozległéj archidyecezyi, aby ten (świeżo dopiero wydany) Liber beneficiorum gnieźnieński posłużył za podstawę do słusznego rozdziału kontrybucyi na duchowieństwo. Dlatego potém zawsze gotów był zwoływać przed każdym niemal sejmem synody prowincyonalne, żeby na nich duchowieństwo zawczasu stanowiło, jak się do poborów sejmowych ma przyczynić. Wtém się różnił nasz prymas od większości spółczesnego mu duchowieństwa. Nietylko niższe, szczególniéj kapituły, niechętne było takiemu ich pociąganiu do ciągłych opłat: nawet dostojnicy kościelni blisko dworu stojący, Tomicki, Krzycki, stawali w obronie odrębnych praw duchownych, radzili mniéj dawać, żeby potém więcéj nie żądano. Wszelkich ofiar pieniężnych nie odmawiali wprawdzie i oni, ale sądzili, że synodów na ten cel unikać raczéj należy, że lepiéj się potajemnie z kapitułami w tym względzie porozumiéć, aby, wskazując na ich niechęć, mogli biskupi na sejmie od nazbyt ciężkich żądań się uchylić (Ac. Tom. VI, 78, 203). To téż popularnym był Łaski między szlachtą, od niego ulgi ciężaru kontrybucyi na wojnę wyglą-

dała; nienawistnym natomiast był dla niéj w najwyższym stopniu Tomicki, szczególniéj odkąd wziąwszy już bogate biskupstwa, mimo to wbrew ustawom pieczęci podkanclerzego nie chciał nikomu ustąpić.

W tém zapewne, w téj gotowości do opłat od duchowieństwa, kryje się tajemnica wpływu Łaskiego na Zygmunta, jaki, mimo wszystkie zabiegi przeciwników, długo na niego wywierać potrafił. Osobiście bowiem dla Zygmunta takiego, jakim go wszystkie świadectwa pokazują, Łaski nie mógł być sympatycznym; zawsze nierównie bliżsi byli sercu królewskiemu panowie rady poważni, oględni, nierównie milsze mu były senatorskie rządy, niżli zuchwałe plany opartego na szlachcie i szlachtę popierającego prymasa, Ale Zygmunt widział konieczność reform skarbowych i wojskowych, a Łaski był ojcem myśli reformy; Zygmunt nie odbierał wprawdzie królewszczyzn, lecz wykupywał je za pomocą swego kredytu u mieszczańskich bankierów krakowskich, a Łaski chętniéj niżli ktobądź z biskupów pieniędzy od duchowieństwa na spłacenie tych długów, na założenie skarbu, gotów był dostarczyć.

Streszczam poprzedzający wywód, nazbyt może długi, lecz konieczny, skoro o istnienie stronnictw za Zygmunta się spierano, skoro, o ile wiem, nikt dotąd na te stronnictwa w obec spraw wewnętrznych nie zwrócił jeszcze uwagi. Zdaje mi się, że teraz dosyć jasno te stronnictwa widzimy: z jednéj strony więc Łaski, popierany przez szlachtę--z drugiéj prawie wszyscy panowie rady, senatorowie; tam myśl reformy i śmiałe do niéj środki: odbiór królewszczyzn, wielkie składki na skarb publiczny, znaczne kontrybucye na duchowieństwo,—tu przedewszystkiém niechęć ku wszelkiéj daleko sięgającéj zmianie, skłonność, aby reformę, skoro nie można jéj usunąć, przynajmniéj skierować na powolniejszą drogę, wreszcie chęć zmniejszania udziału duchowieństwa w ciężarach publicznych; ze strony Łaskiego kościelna średniowieczna podstawa i niezbyt zazdrosna czujność, aby Rzym się w szafunek beneficyów duchownych nie wtrącał,—tu znów, po stronie panów duchownych humanistycznym owianych duchem, najgorliwsze przestrzeganie królewskiego prawa nominacyi biskupów, bronienie się od wszelkich rzymskich pretensyj, przy ścisłéj zresztą w nauce prawowierności. Dodać trzeba nakoniec, że Łaski ściśle wypełnia uchwalone przez sejmy przepisy, które kumulowania w jedném ręku niektórych godności zabroniły, przeciwnicy zaś jego te ustawy systematycznie przekraczają; że Łaski chce, aby król mógł w każdéj chwili starostów usuwać, przeciwnicy zaś jego przeciwko takiéj „hańbie“ najmocniéj protestując, za dożywotnością starostw obstają. (Byłby to może najważniejszy punkt pokazujący, w jakim duchu Łaski chciał reformę administracyi przeprowadzić, gdyby

nie ta okoliczność, że w jedynym znanym wypadku o starostwo malborskie, niegrodowe, chodziło i że Łaski chciał wtedy usunięcia starosty na korzyść własnego synowca).

Wszystko to biorąc razem, możemy rozróżnić nie tylko dwa stronnictwa, ale i dwa odmienne programy. Prawda, że to są raczéj dwa różne prądy, dwie odmienne dążności, nie zawsze dosyć jasne, nie wszędzie dość konsekwentne w działaniu. Programy istniały więcéj w zarysie, nie były i być nie mogły ściśle sformułowane i zmianom niepodległe. Czynniki, na których Łaski się opierał, nie miały wprawy w życiu politycznem, nie miały organizacyi ani karności i nie raz pewno wbrew woli i planom swego przewodnika występowały. Ztąd trudność rekonstrukcyi stronnictwa prymasowego, którój prof. Liske probował. Przecież nawet za Zygmunta Augusta, kiedy stronnictwa polityczne tak były wykształcone i sformowane, tak zawzięty z sobą bój nieustannie toczyły, cóżeśmy o nich wiedzieli, o stronnictwie posłów sejmowych, zanim wydano sejmowe z owego czasu dyaryusze? Wśród znacznych senatorów, wśród magnatów rozgłośnego imienia, wśród głównych biskupów, wyjątkowo chyba liczył prymas przyjaciół i stronników; koligacyami trzeba ich było dopiero zjednywać, jak Tęczyńskiego Andrzeja, w chwilowe wchodzić z nimi sojusze, jak z Tarnowskim. Wierni stronnicy prymasa byli to ludzie mniéj głośni, nieznani prawie; wspominają o nich niekiedy korespondencye jego nieprzyjaciół, zwykle nie wymieniając nazwiska. Krzycki mówi „o prawem oczku“ Łaskiego, lecz nie powiada imienia. Biskup kamieniecki Miedzileski, kasztelan biechowski Mikołaj Rusocki, kasztelan sochaczewski Mikołaj Wolski, późniejszy ochmistrz królowéj Bony, to wierni adherenci prymasa wśród senatorów: nazwiska tak mało znane, pokazują najlepiéj, w jakich warstwach społecznych Łaskiego przyjaciół szukać trzeba.

Stanowiskiem Łaskiego w obec spraw zagranicznych zajmowano się już niejednokrotnie i zaznaczono je należycie. Nawet dr. Hirschberg zwie go naczelnikiem austryackiego stronnictwa w Polsce. Sądzę, że można jeszcze dokładniéj, niż uczyniono to dotąd, podstawę polityki zagranicznéj prymasa określić. Polityka to wybitnie narodowa, a przytém śmiała i rzutna, nawet zuchwała, niekiedy awanturnicza. Wszędzie i w każdą stronę wpływ polski utrzymywać i pomnażać, żadnych nigdzie nie upuszczać pretensyi, wpływ zaś niemiecki wszędzie paraliżować, żywioł niemiecki powstrzymywać: to cel polityki Łaskiego. W tym celu zawsze gotów łączyć się z wszystkimi Niemców wrogami, a przy tém pragnie trzymać się ściśle z Rzymem; wewnątrz zaś chce zbroić, skupiać się, organizować. Więc nawet zostawszy prymasem, nieprzestaje się zajmować umocnieniem

Kamieńca, którego się jeszcze jako kanclerz był podjął, kieruje tam pracami, osobiście ich dozoruje, wyjednywa u papieża ogłoszenie jubileuszu, z którego część dochodu na ten cel się przeznacza. Kiedy król ma się żenić (powtórnie), księżniczkę Mazowiecką koniecznie na małżonkę mu stręczy, a królewny maleńkie chce zaręczyć z młodymi książętami mazowieckimi, żeby tę dzielnicę ściśléj spoić z koroną—że niebawem po kilku latach już linia Piastów mazowieckich bezpotomnie wygaśnie, nie można było wtedy przewidywać. Za unią z Litwą przemawia już za Aleksandra; późniéj gdy jest bez wpływu na rząd i króla, na własną rękę wybiera się na Litwę, żeby tam o unią się porozumiewać. Jak zaś Łaskiemu niemczyzna w kraju była wstrętną, najlepiéj pokazuje dzieło na dworze, w najbliższém otoczeniu jego, powstałe, projekt nowego dla miast polskich prawa, opracowany przez krewniaka i wychowanka prymasowego, Macieja Śliwnickiego, który się jego kosztem wespół z synowcami we Włoszech wykształcił na doktora praw, a którego potém chciał Łaski biskupem kamienieckim zrobić, co się o opór Tomickiego rozbiło. „Prawa Zygmuntowskie“ jego układu (1), to szczere prawo rzymskie; miało ono odtąd zastąpić to prawo magdeburskie, niemieckie, którém się miasta w Polsce rządziły, a które, w myśl projektu, królby zupełnie z Polski usunął i wytępił. Mniejsza o to, czy istotnie Łaski od króla był otrzymał polecenie, aby prawa miejskie ponownie przejrzéć i przywieść do porządku; obojętne téż dla nas, o ile Łaski miał jaki bądź w pracy Sliwnickiego udział bezpośredni; stosunek jednak Sliwnickiego do Łaskiego wątpić nie pozwala ani na chwilę, że ten podówczas jeszcze dosyć młody uczony pisał pod moralnym wpływem prymasa i atmosfery duchowéj, która go otaczała. Odebranie miastom ich prawa niemieckiego, zastąpienie go rzymskiem, miało oczywiście posłużyć do miast polonizacyi, do większego skupienia się wewnątrz kraju na gruncie narodowym.

Nie znaczy to bynajmniéj, żeby Łaskiego przeciwnicy mieli stać na gruncie antinarodowym, żeby ci, których się pospolicie za przyjaciół habsburskich, za filary stronnictwa austryackiego w Polsce uważa, mieli być zawsze i bezwzględnie Habsburgom oddani, żeby powodzenie wszystkich planów austryackich miało im bardziéj leżéć na sercu, niźli interes własnego kraju. Ani Tomicki, ani Szydłowiecki zdrajcami swego państwa i króla być nie mogli; jak Łaski tak i oni interesów polskich strzegł każdy przedewszystkiém; różnica tylko między nimi zachodzi w tém, co w danéj chwili za korzystniejsze dla Polski uważają, jakich się środków różnych dla osiągnięcia tego sa-

(1) Wydał je Helcel w 1859. w Bibliotece Ordynacyi Myszkowskich.

mego celu chcą chwytać. A tu, kiedy nasz prymas zawsze wszędzie nieprzyjaźnie w obec austryackich pretensyi staje, to przeciwnicy jego najchętniéj chcieliby w zgodzie być z Habsburgami; kiedy prymas z wszystkimi Habsburgów wiąże się nieprzyjaciołmi, przeciwnicy jego zachować neutralność się starają i ku Austryi zawsze potrochu ciążą. Ze słów niższego rzędu dyplomatów czy ajentów, którzy się koło Tomickiego grupują, Dantyszka, Zembockiego, dokładniéj niż z oświadczeń samego podkanclerzego poznać można, jaki duch w jego otoczeniu panował, jakie tam żywiono zawsze austryackie sympatye. Nakoniec kiedy Łaski jak wewnątrz tak i na zewnątrz zawsze skłonnym jest do przedsięwzięć śmiałych, hazardownych, to tymczasem jego przeciwników cechuje aż nazbyt wielka i na zewnątrz rozwaga, ostrożność, prawie lękliwość. I ztąd to, więcéj niż z różnicy w zasadach, wynikają między obu stronnictwami konflikty, zaostrzone oczywiście i osobistym antagonizmem, współzawodnictwem o dostojeństwa, godności lub prebendy, i nawzajem ten antagonizm zaostrzające.

(*dok. nast.*) *Wincenty Zakrzewski.*

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

VI.

Derszlak, wykolejony chłopak ten, z wychudłą twarzą i gorejącemi oczami, który tak namiętnie bolał nad bólami ludzi, tak zbliska sobie znanemi, zadowolonym byłby z teraźniejszéj pracy kolegi i przyjaciela swego. Nie miała już ona na celu zimnych i niemych zjawisk i praw przyrody. Przedmiotem jéj byli ludzie. Ławicz rozstał się już oddawna z naukami ścisłemi. Przekonał się, że dla zrozumienia Syren, w téj stronie morza wiedzy śpiewających, brakuje mu rzeczy mnóstwa, całkiem niedostępnych. Ale były krainy inne, mniéj tajemnicze, mniéj obwarowane przed nieśmiałą i nieuzbrojoną ręką. W krainach tych mieszkały wiekowe dzieje ludzkości. Wabiły one ku sobie wzrok ciekawy mroczną mgłą swych początków, wprawiały w ruch siły umysłu, wiekuistym swym ruchem, wzmagały bicie uczciwego serca, obietnicami pochodu naprzód. Ławicza uderzył w szczególności jeden moment ich rozwoju, mniemał, że widzi w nim więcéj i głębiéj, niż widzieli inni. Wtedy to dokompletował on łacińskie swe wykształcenie, zawarł przyjazne stosunki z myślicielami starożytności i zaczął, w nocnych godzinach, rozmawiać głośno z Markiem Aureliuszem, Epiktetem, Seneką i najulubieńszym swym Zenonem z Cittium, ojcem uwielbionych Stoików. Wtedy téż pisać zaczął.

Z wyjątkiem Rębkowéj, która zaglądała tu parę razy na dzień, nikt w porze owéj nie otwierał nigdy drzwi jego izdebki. Odwiedziny Maryana Dębskiego, były wypadkiem, po którym bardzo długo żaden podobny mu nie nastąpił. Stosunki jego ze światem zewnętrznym ograniczały się na obojętnych i krótkich spotkaniach z biuro-

wymi kolegami, w kancelaryjnych salach, na rubasznych i natrętnych gadaniach Rębki i długich przechadzkach, które w każdą niedzielę odbywał po ulicach miasta. Jak każdego wyrobnika z czasem zaprzedanym, dnie świąteczne uderzały go niezwykłością swoją i napełniały bezwiednem rozradowaniem zwierzęcia, któremu łańcuch spada z szyi na chwilę. Było to usposobienie, którego inaczéj nazwać nie można, jak dobrym humorem. Nie potrzebował iść do biura a dobry humor wypędzał go z samotnéj izdebki. Wychodził więc i często nie spostrzegał upływu godzin, w czasie których, chodząc po mieście, pomiędzy ludźmi, miasta ani ludzi nie widział. Myślał o tém co czytał wczoraj lub pisać będzie dziś, szeregował w głowie wiadomości, układał okresy i był całkiem podobny do lunatyka, we śnie chodzącego po świecie. Czasem jednak trzeźwiejszym bywał, to i owo spostrzegał. Wchodząc na tłumny w niedzielne poranki rynek miejski spostrzegał Kwirę trzymającego w obu rękach klatki, z wystawionemi na sprzedaż kanarkami. Z pod czapki połyskującéj srebrną gwiazdką i okrywającéj łysinę, kościana twarz kancelisty uśmiechała wklęsłemi usty pokornie i z przymileniem. Paltot z guzikami o rdzawéj pozłocie, zwisał mu z mizernych, przegiętych ramion i pośród barczystych, silnych, zdrowych wieśniaków, których pełno było dokoła, czynił go podobnym do znędzniałego owadu, z obwisłemi skrzydłami. Pod odkrytem niebem, zdala od swych zwierzchników, Kwira uczuwał pewne towarzyskie popędy. Zachodził drogę przechodzącemu koledze i zapominając o sprzedawaniu kanarków, zawiązywał z nim długie rozmowy. Było to zawsze jedno i to samo: Zenon przygotowuje się do zdania egzaminów; Zenon choruje, bo mu tamtejszy klimat szkodzi; Zenon w biédzie wielkiéj albo wyszedł już trochę z biedy, bo z kilku kolegami, którzy mu dopomagają zamieszkał; panna Anna niespokojna o brata, chce jechać do niego ale niema o czem, nie może już prać i prasować słaba taka.... doktór mówił że to suchoty....

— A ot téj zimy i kanarki moje zdychały.... zdechło ich z dziesięć.... Bez grzechu narzekania, bieda!

Zresztą miasto z setką tysięcy ludności, w te dnie niedzielne wrzało, huczało, turkotało. Ławicz mijał cukiernie z szerokiemi oknami, za któremi rozgłośnie stukały bilardowe kule i winiarnie, w odległych głębiach których dzwoniło szkło i rozlegała się wesoła wrzawa. Przybytki te wesołości nie obchodziły go wcale. Nie znał ich. Nie umiałby dokładnie powiedzieć jak wyglądają ich wnętrza. Czasem, gdy było gorąco, wchodził pod jeden z licznych namiotów, w których zwinne i gadatliwe dziewczęta, stały nad kranami tryskającemi wodą sodową. Tam pełno też było ludzi: dandysów miej-

skich w odświętnych krawatach, młodych oficerów w białych rękawiczkach, z luźnie u błyszczących opasek, wiszącemi szablami. Zwinne i gadatliwe gosposie miejsc tych, bardzo uprzejmie a więcéj może ciekawie spoglądały na tego dziwnego młodego człowieka, z białą, zamyśloną twarzą, który nigdy nie przemawiał do nich i ze spuszczonémi oczami wychyliwszy co prędzéj kubek swój, odchodził śpiesznie, zawstydzony jakby czy zasmucony. Istotnie w miejscach tych swobodnych póz i zbyt wesołych rozmów Ławicz doświadczał obu tych zarazem uczuć. Mięszały go one i zasmucały. Śpiesznie oddalając się od nich, snuł w głowie marzenia o idealnéj atlantydzie, wolnéj od wszech rzeczy złych, brzydkich lub pustych. Z marzeń tych wyrywał go dość często donośny brzęk ciągnącego się po bruku pałasza i wesoły serdeczny głos, wołający:

— Zygmunt! jak się masz?

Był to Zegrzda, którego Ławicz spotykał dość często: w okolicach cukierni, winiarni i namiotów z sodową wodą. Witali się zawsze serdecznie i z radością, lecz po kilku minutach stygli i milkli. Czuli obaj że nic ich z sobą nie wiąże, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Zegrzda od dość dawna był już oficerem i pysznił się tém. Ławicz więcéj niż kiedy podzielał zdanie Musoniusza. Rozchodzili się nie pragnąc i niewyzywając nowego spotkania, a gdy traf je sprowadził, Zegrzda rzucał się zawsze ku dawnemu koledze z serdeczném uradowaniem i prędko bardzo opuszczał go obojętnie albo i z lekceważącym uśmiechem, na ustach ocienionych pięknym, czarnym wąsem. Ze swéj strony Ławicz oglądając się za nim, trząsł czasem głową, w znak przyjaznego politowania. Dnia pewnego spotkał on Zegrzdę, nie jak zwykle bywało, samotnie lub w gronie wesołych kolegów idącego przez ulicę, ale z kobietą, która wspierała się na jego ramieniu. Ławiczowi kobieta ta nie wydała się piękną. Wysoka i kształtna lecz z rubasznémi ruchami, rysy miała grube, pospolite a upiększone tylko świetną świeżością cery i energicznym wyrazem ognistych oczu. Byla zresztą starszą od młodego oficera. Mogła mieć lat trzydzieści. W towarzystwie tém Zegrzda przechadzał się po mieście dość często i długo, aż zniknął i przez kilka miesięcy Ławicz nie widział go już wcale. Gdy spotkali sie znowu, młody oficer opowiedział mu, że miał pojedynek, był ciężko ranionym i długo chorował.

— Widziałeś ją? — szepnął — to żona majora? biłem się o nią!

Mówił to bez przechwałki, jako rzecz całkiem prostą i wogóle wydawał się znacznie mniéj wesołym niż dawniéj.

W Atlantydzie Ławicza pojedynki nie istniały; to téż z westchnieniem rzekł:

— Mój drogi! pojedynek jest barbarzyństwem, które w oczach....

— Mój kochany — przerwał Zegrzda — każdy z łachmanów, w koszu téj tandeciarki, która tam stoi, więcéj może wart ode mnie! Ale odwagi przynajmniéj nikt mi zaprzeczyć nie może!

W głosie zadrżał mu żal, oko błysnęło dumnie. Ławicz popatrzył na towarzysza i z przyzwyczajenia do rozmawiania z samym sobą do siebie nie do niego wymówił:

— „Dobre ziarno na zły grunt rzucone, puste kłosy rodzi.“

— Czy i to także powiedział Musonius?—zaśmiał się Zegrzda.

— Nie, Attius w Synefebach—spokojnie odparł Ławicz.

— Niech go dyabli wezmą! Ty bo Zygmuś z tymi filozofami swymi bzika masz! Łatwo to pięknie mówić i pisać ale pięknie żyć.... oho!

— Władku! — zawołał Ławicz — ty jednak kiedyś marzyłeś o pięknem życiu!

Zegrzda nie odpowiedział nic. Smutnym był trochę i dłużéj niż zwykle szedł obok towarzysza.

— Wiész co?—ozwał się po chwili — wszystko na świecie przejada się.... Szumi, szumi, aż wyszumi i taki smutek człowieka ogarnie, że choć w łeb sobie strzel!

— Ty Władku, ty smutnym bywasz kiedykolwiek!

— A cóż myślałeś? Niby to ja taki już ostatni głupiec czy łotr, żeby mi tam różne rzeczy w głowie i sercu nie świdrowały? No, ale stało się! popłynąłem....

— A... ona? — zapytał Ławicz.

— Kto? majorowa? otóż widzisz.... to mi teraz najwięcéj humor psuje.... mężatka.... męża porzuciła.... dyabli wiedzą co tu robić? a... ani żenić się ani porzucić! Kobieta skompromitowała się dla mnie i przywiązała się do mnie.... jak smoła!

— A ty chyba jéj nie kochasz?

— At zaczęło się od żartów.... a zrobiło się głupstwo i... koniec!

Bardzo wyraźne strapienie przeglądało mu ze schmurzonego czoła i wejrzenia. Powiedział jeszcze Ławiczowi, że za parę miesięcy, wraz z pułkiem swym opuszcza X. i że przyjdzie aby się z nim pożegnać. Nie przyszedł jednak; w zamian, niewiele przed dniem wyznaczonym dla odejścia pułku, Ławicz idąc z biura do domu spotkał się z długim szeregiem dorożek, które przez środek ulicy galopem pędziły, a wiozły ludzi w wojskowych ubraniach, z wielkiem hałasem śmiejących się i rozprawiających. W jednym z ludzi tych, w tym mianowicie, który gestykulował najenergiczniéj a przytém, o mało z dorożki nie spadał, poznał Zegrzdę. Wracający też z Izby do domu Rębko, dopędziwszy go na chodniku objaśniać zaczął, że

panowie ci wracają z pożegnalnego śniadania, przy którym muzyka grała i szampan lał się jak deszcz z rynny.... Damy były tam także i była ta majorowa, co męża porzuciła i za tym pięknym oficerem, z czarnémi wąsikami jedzie....

Wszystko to i wiele innych jeszcze rzeczy Rębko wiedział od dieńszczyka czyli żołnierza, który służył u samego pułkownika a był dawnym jego kolegą z wojska. Rębko zawsze wszystko wiedział, ale tym razem Ławicz słuchał go z większém jeszcze niż zwykle roztargnieniem. W głowie jego snuły się znowu marzenia o Atlantydzie, globie szczęśliwym.... O! stokroć szczęśliwszym i lepszym od ziemi....

Jemu na ziemi smutno być zaczęło. Bywały dnie, w których bezwładne zniechęcenie ogarniało go i dręczyło. Nie, — stanowczo nic nie umiał i nic nie mógł. Marzenia jego były szaleństwem i grzechem wobec majestatu nauki. Całemi godzinami przesiadywał przy stole swym z osłupiałém okiem i kurczowo zaciśniętemi dłońmi. Potém jedna nowa myśl jakaś, jedna godzina ukojenia w zupełnéj ciszy lub jeden promień słońca spadły na ścianę izdebki i migocący po niéj rubinową smugą, wyrywały go z odrętwienia a napełniały zdwojoną energią i nadzieją. Rzucał się znowu do pracy i z wytrwałością mnicha a zapamiętałością człowieka, który prócz niéj, nic nie posiadał na ziemi, pisał, kreślił, przerabiał, uczył się i douczał. Bywały wtedy chwile, w których uczuwał się tak silnym, że myślał, iż mógłby górę pochwycić w ramiona i przenieść ją na drugi koniec świata; w których zmęczony aż do wyczerpania sił padając na ubogą swą pościel, zamykał do snu oczy z westchnieniem głębokiéj roskoszy.

Trwało tak długo. Gruby zeszyt całkiem już był zapisanym a jednak leżał jeszcze na stoliku Ławicza. Nie śmiał oddać go człowiekowi, który, jeden z pomiędzy wszystkich znanych mu ludzi, mógłby mu być światłem i pomocą. Mógłby, gdyby chciał. Czy zaś chciał albo niechciał, niktby na pewno określić tego nie mógł. Zamyślone zresztą zawsze i surowe czoło sekretarza Izby, stawało się teraz chmurném, kryształowe źrenice jego miewały czasem posępne błyski. Czas upływał, a w położeniu jego nie zachodziła zmiana żadna. W sali posiedzeń sądowych, ludzie zasiadający krzesła z wysokiemi poręczami, zmieniali się dość często. Ci, którzy znikali, szli kędyś wyżéj; następcy ich wstępowali tu ze szczebli niższych. Lecz Maryan Dębski siedział lub stał zawsze przy umieszczonym u okna biurku sekretarza. Raz nie przybywał on do biura przez miesięcy parę. W biurze wiedziano powszechnie, że zażądał urlopu i wyjechał do stolicy, w celu bronienia naukowéj rozprawy

i otrzymania tytułu naukowego. Gdy wrócił, wiedziano téż powszechnie, że przywiózł z sobą dyplom doktora praw. Coś jakby wielka glorya rozpromieniała mu czoło a surowe usta odświeżyły się i odmłodniały w uśmiechu szczęścia. Co myślał o zdobytéj przez się godności, nie wiadomo, ale musiał ufać bardzo potędze jéj, bo obejście się jego z ludźmi stało się swobodniejszém niż było dawniéj. Możnaby rzec, iż mniéj teraz lękał się „rekina sentymentalizmu“ i mniéj czujnie omijał rafy. Zbliżył się téż raz do Ławicza i półgłosem, z wesołym prawie uśmiechem rzekł:

— Winszujże mi! Miałem dzień wielkiego szczęścia a przyszłość mam tak dobrze jak w kieszeni!

Ławicz miał wielką ochotę z głęboką czcią uścisnąć mu ręce a może nawet przyklęknąć przed nim przynajmniéj na jedno kolano. — Dostojnik nauki! — myślał. Z nieśmiałością w wejrzeniu a prośbą w głosie, przypomniał mu obietnicę, daną w czasie owych nocnych odwiedzin.

— A! te pisania twoje.... przynieśże mi je, zobaczę! Uprzedzam tylko, że zwrócę nieprędko. Pracy mam po urlopie więcéj jeszcze niż zawsze.

Pracował téż znowu tak jak dawniéj i więcéj jeszcze, uporczywiéj niż dawniéj. Tylko z upływem czasu na czole jego gasły promienie przywiezione z ogniska wolnéj i czystéj nauki; przygasać téż w nim musiała ufność we wpływy zdobytego dostojeństwa. Rębko mawiał o nim znowu.

— E! *musi być* z niego nic nie będzie! Trzeci rok jest u nas sekretarzem, a Mikołaj Hilaryonowicz ani myśli puszczać go wyżéj!

Trzy lata stanowiły wiele dla dwu córek Mikołaja Hilaryonowicza, z których żadna za mąż jeszcze nie poszła, a im więcéj czasu upływało od dnia ich urodzin, tém częściéj wyraz troski czy zgryzoty okrywał twarz ich ojca. Tém częściéj także atmosfera burzy wisiała nad salami Izby i tém częściéj posępne błyski strzelały z oczu sekretarza, a drżenie bólu czy zniecierpliwienia wstrząsało, umiejącemi zawsze milczéć jego ustami. Raz, mijając krzesło na którém siedział Ławicz, rzekł w przechodzie:

— Przyjdź-że do mnie dziś wieczorem po szpargały swoje.

Wieczorem, w źwierciadle zdobiącym przedpokój Dębskiego, przesunęła się twarz młodzieńcza zmięszana i niespokojna i postać szczupła, naprzód nieco podana a przybrana odświętnie. W mieszkaniu tém nietylko zbytku lecz istotnego dostatku nie było. Szczupły rozmiar pokojów i taniość sprzętów, zdradzały niezamożność gospodarza. Jednak objawiały się tam także nietylko staranność wielka o zachowanie ścisłéj przyzwoitości ale i pewna dbałość o modę

i efekt. W przedpokoju palił się kinkiet, na posadzkach leżały tanie lecz kwieciste dywany, u drzwi i okien zwieszały się draperye w złym gatunku lecz zdobne bronzami. Zresztą wielki porządek i czystość wszędzie; na stołach książki i gazety, kilka rodzinnych portretów na ścianach.

W saloniku, przy okrągłym stole, na którym paliła się duża lampa, siedzieli dwaj młodzi chłopcy, z których jeden był w szkolnym jeszcze mudurze, drugi miał na sobie ubranie, odznaczające ucznia wyższego naukowego zakładu. Starszy rysował, młodszy czytał, przez drzwi otwarte i spuszczającą się nad niemi ciemną firankę, widać było gabinet, w którym przy biurku oświetloném lampą z zieloném okryciem, nad stosem urzędowych papierów siedział Dębski. Obecność dwóch chłopaków, łagodne światło lamp i głęboka cisza nadawały mieszkaniu temu charakter rodzinny i poważny. Zawołany przez jednego z chłopców, Dębski wyszedł do saloniku, na spotkanie Ławicza.

— Zdaje mi się, że znałeś kiedyś trochę braci moich. Oto są oni.— Powyrastali, prawda? — Adaś już w szóstéj klasie realnego gimnazyum, Józef sposobi się na inżyniera. Dziwisz się że są tutaj?— Przyjechali do mnie na święta. Na każde święta sprowadzam ich do domu. Nie trzeba abyśmy odzwyczajali się wzajem od siebie; przytém widując ich często, łatwiéj nad młodemi głowami ich kontrolę utrzymać mogę! — Ale masz ze mną do pomówienia. — Chodźże do gabinetu!

Swobodniejszym tu był i cieplejszym niż tam— w biurze; w zamian wydawał się trochę zmęczonym i smutnym. Gdy mówił o braciach i patrzał na nich, twarz jego rozjaśniła się uśmiechem i wesołém prawie wejrzeniem, które jednak zniknęły wkrótce. W gabinecie odsunął szufladę biurka i wyjął z niéj rękopis Ławicza. Usiedli obaj.

— Mój drogi—zaczął Dębski—mam ci do powiedziedzenia rzeczy przykre. Książka twoja, z wyjątkiem kilku oryginalnych istotnie poglądów, zawiera w sobie to tylko, o czem w literaturze przedmiotu znajduje się już kilka dzieł bardzo znakomitych. Widocznie nie znasz literatury przedmiotu do którego się wziąłeś.

— Zdawało mi się że ją znam — szepnął Ławicz.

— Otóż to, brak ci sposobów systematycznego badania rozwoju wybranéj gałęzi naukowéj i dlatego podjąłeś pracę ogromną, nie wiedząc, że inni dokonali ją już daleko lepiéj niż ty uczynić to mogłeś. Myślę zaś, że powtarzanie pacierza za panią matką i w dodatku słabszym głosem, na nic się nie zda ani tobie ani światu.... prawda?

Tu wymienił tytuły i autorów dzieł, o których mówił.

— Ponieważ to dziedzina historyozofii, wiedziałem już o nich odbywając moje studya prawne. Niektóre z nich czytałem wtedy jeszcze, niektóre późniéj...

— Czy to są rzeczy bardzo drogie? z takim wybuchem głosu zapytał Ławicz, że Dębski, który mówił dotąd z oczami błądzącémi po przestrzeni spojrzał na niego z uwagą i ciekawie.

— Cóż? rzekł, czy chciałbyś je czytać? Nie zdajesz się być zmartwionym?

Na twarzy Ławicza, zmartwienie w dziwny sposób mięszało się z uradowaniem.

— Owszem, szepnął przykro mi... ale z drugiéj strony, cieszę, się, że miałem te same pomysły i poglądy... które mieli ludzie z uznaną nauką i talentem?

— Prawda, że jest to dowodem wielkich twoich zdolności ale, cóż z tego? Zdolności, które w należyty sposób zużytkowanemi być nie mogą, są właśnie, mój drogi, największém z nieszczęść, któremi łaskawe nieba obdarzać nas raczą...

— Jednak, mówiłeś pan, że są tu rzeczy oryginalne...

— Tak; ale bez odpowiedniéj metody przedstawione... ztąd chaos, zaprzeczanie samemu sobie i to, co w naszym studenckim języku, nazywaliśmy naukowémi bąkami. Metoda, mój drogi, metoda... znajomość literatury przedmiotu i metoda, są to dwie rzeczy, których ci całkiem lub nawpół brakuje a bez których dziś, w nauce genjusz sam, nic nowego i prawdziwie porządnego uczynić nie potrafi.

Sąd swój udowodniał potém długo. Ożywił się i prawie zapalił. Widać było, że rzeczy i sprawy umysłowe, silnie obchodzić go mogły. Wyjął z szafy kilka książek, przerzucał je i przeczytywał niektóre ich ustępy, przerzucał téż rękopis, wskazując, znajdujące się w nim braki i błędy. Skończywszy, wpatrzył się w Ławicza bystro, ciekawie i krótko zapytał.

— Cóż?

Długich dowodzeń Dębskiego, Ławicz słuchał chciwie, z wlepionemi w twarz jego oczami, rumieniąc się i blednąc na przemian. Teraz, siedział w nieruchoméj postawie, bardzo blady, z dłońmi splecionemi na kolanach i spuszczonemi powiekami. Na zapytanie Dębskiego, podniósł wzrok, uśmiech cierpiący lecz łagodny przewinął się mu po ustach.

— Cóż? odpowiedział z cicha,—trzeba jeszcze uczyć się daléj i wiele...

Dębski wstał, skrzyżował ramiona na piersi i przez chwilę stał w milczeniu, wpatrzony w ziemię, potém, niespodzianie, dwie białe, silne dłonie spoczęły na wątłych ramionach Ławicza, dwie siwe źre-

nice, z których kryształowéj głębi patrzała teraz dumna lecz głęboka żałość, wpatrzyły się w twarz jego.

— O! niedola nasza.....

Chciał widocznie mówić daléj, lecz jakby zawstydził się rozpoczętéj skargi, jakby zląkł się uczutego w sobie „rekina sentymentów“ wyprostował się, ze stojącego na biurku, świecącego przyrządu wyjął cygaro, drugie Ławiczowi podał.

— Nie palisz? prawda! alboż anachoreci pozwalali sobie kiedy na takie próżności i zbytki!

Zapalił cygaro.

— Czem jeszcze służyć ci mogę?

Ławicz wstał.

— Dziękuję panu... zaczął.

— O! nie dziękuj! Gdybyś był ograniczonym albo zarozumiałym, pozbyłbym się ciebie komplementem i miałbyś wtedy za co mnie dziękować. Chcesz może, abym ci pożyczył te książki... te i inne? Mam sporę biblioteczkę, możesz z niéj czerpać... ponieważ jest to już twoją *idée fixe*... Ha! któż zresztą z nas niema idei jakiejś, do urzeczywistnienia któréj dojść pragnie... pomimo wszystko?...

Kiedy przechodzili przez salon, Dębski dotknął dłonią głowy starszego z braci i rzekł z uśmiechem.

— Ten już chyba... dójdzie z pewnością! Wybrałem mu zawód bardzo praktyczny. I sam on zresztą zgodził się z wyborem moim. Zdolności ma, pracę tylko, żelazną pracę doradzam mu zawsze i... patrzéć w górę!

VII.

Obciążony rękopismem swym i pożyczonemi książkami, Ławicz, wrócił do swéj izdebki. Bez gniewu, bez rozpaczy wsunął rękopis do małéj szafy, w któréj znajdowało się kilka koszul, para znoszonych butów, kilka liber czystego i gruby zwój zapisanego papieru, potém z powolnemi ruchami głęboko zamyślonego człowieka usiadł przy swym stoliku, i roztworzył jednę z pożyczonych mu książek. Im dłużéj czytał książki te, tém więcéj utrwalał się w przekonaniu, że Dębski powiedział mu zupełną prawdę. Zanadto był oświeconym, aby módz nie zrozumiéć wskazanéj mu prawdy, zanadto czcił naukę, aby módz prawdzie zrozumianéj zaprzeczać. Zdumiony głębokością nieświadomości własnéj, zamyślał się często i patrzał w zagadkę małéj owocności ogromnéj swéj pracy. Zamyślał się teraz daleko częściéj i cięższéj niż wprzódy. Czytywał chciwie, chciwiéj nawet niż dawniéj, lecz, od czasu do czasu, podobnym bywał do człowieka, bu-

dzonego ze snu przez doświadczane wewnętrzne ukłucia. Kłuło go coś wewnątrz, podnosił głowę i ściskał ją w obu dłoniach albo też, nagle splecione ręce na kolana opuszczał i z pochyloném czołem, szklistym wzrokiem wpatrywał się w brudne deski podłogi. Bywały też już wieczory takie, w których nie czytywał wcale. Ukłucia uczuć, których określać, ani w które wsłuchiwać się nie chciał, podnosiły go ze stołka. Wstawał, brał czapkę i wychodził na miasto.

Na mieście, w zmroki zimowe, pełno było kuligów, szumnie pędzących środkiem ulic, lamp oświetlających okna sklepowe, twarzy kobiecych przesuwających się na oświetlonych tłach, śpiesznych stąpań po skrzypiącym śniegu, tonów muzyki, brzmiącéj w głębiach domów a jękiem lub chichotem wnikającéj w uliczny szum. Z całéj téj mięszaniny świateł, linij i dźwięków, jedna tylko muzyka zwracała uwagę Ławicza. Jakież inne zjawisko ze świata otaczającego obchodzić go mogło? Nigdy, przy chóralném brzęczeniu dzwonków, nie pędził on wesoło z żadnym kuligiem takim, nigdy nie zaglądał do bogatych wewnątrz oświetlonych tych sklepów, żadnéj z przesuwających się w świetle twarzy tych kobiecych, nie umiał nazwać po imieniu. Od wielu też lat, od czasu gdy z mieszkania matki jego wyniesiono fortepian, po klawiszach którego przebiegały często białe jéj palce, tyle tylko słyszał muzyki, ile z wnętrza domów dójść jéj może do uszu ulicznego przechodnia. Świat sztuki, zawsze i szczelnie był przed nim zamknięty. I nie skarżył się on na to, tak jak nigdy nie skarżył się na nic, ani przed ludźmi, ani przed samym sobą. Lecz tylko, ile razy, z wnętrza domu, pod ścianą którego przesuwał się, w szum ulicy wniknęła i w pierś jego wdarła się pieśń tęskna albo namiętna, stawał i słuchał. W cieniu wysokiego muru albo w świetle ulicznéj latarni, wątła postać jego wydawała się postacią żebraka, nieśmiało choć chciwie oczekującego na spaść mu mający okruch jałmużny. Był to może w istocie żebrak, pochwytujący okruchy użycia, którego świat ten tak jest pełnym, a które, nakształt porwanych i wciąż uciekających promieni ideału, dochodziły go w lotnych i wciąż rwących się tonach muzyki.

Raz, stanął tak i zasłuchał się, przed domem w którym sam mieszkał. Od czasu pewnego, na pierwszém piętrze tego domu, często i rzęsiście oświetlał się rząd okien, za któremi grano i śpiewano wiele. Cichość zaułka ułatwiała słuchanie. Nad dachem domu, okno facyatki, które przez lat tyle, świeciło co wieczór bladem światłem małéj lampy, ciemne było i niewidzialne. Na pierwszém piętrze piękny i silny głos kobiecy śpiewał przy wtórze muzycznych akordów. W zmroku zaułka śpiesznym i energicznym krokiem idący mężczyzna, potknął się o człowieka stojącego u ściany domu w zamyśleniu

takiem, że zbliżających się kroków nie usłyszał i z drogi się nie usunął.

— Przepraszam, dotykając ręką kapelusza rzekł przechodzący i śpieszył daléj, lecz potrącony z dźwiękiem uradowania w głosie, zawołał.

— Michasiu! poznałem cię po głosie!

— O! słowo honoru! i ja po głosie poznaję... Ławicz, czy co? no, góra z górą... kopę lat... ale czegóż ty tu tak stoisz?

— Ja w tym domu mieszkam i słuchałem tego ślicznego śpiewu na pierwszém piętrze...

— Prawda, że ona ślicznie śpiewa! zawołał Kaplicki, ale gdybyś ją samę widział, jaka śliczna! patrz! ja tu codzień na pierwszém piętrze bywam a niewiedziałem, że ty w tym samym domu... Ale słuchajno, poczekaj, czy nie o tobie tylko one mówiły... no, no! gdzież twoje mieszkanie?

— Na poddaszu.

— Akurat! z pewnością o tobie! Szczególny wypadek, słowo honoru i zabawny!

Mówiąc to wszystko aż zanosił się od śmiechu tak go coś rozweseliło. Ławicz ze zdumieniem zapytał.

— Z czego się tak śmiejesz? Kto o mnie mówił? Kto może wiedzićć o mnie?

— No, chodź ze mną, to ci wszystko opowiem, przytém, winien jestem przed tobą i usprawiedliwić się muszę, przez tyle lat straciłem cię był z oczu ale kłopoty widzisz, interesa... człowiek jak przyjedzie do miasta niewie na którą nogę ma stanąć a teraz jeszcze i o czemś ważniejszém myślę... Chodź do mnie!

Ławicz nie opierał się. Kaplicki gwizdnął na dorożkę. Po kilku minutach znajdowali się obaj w obszerném i wykwintnie urządzoném hotelowém mieszkaniu, które służący z usłużnym pośpiechem, oświetlił kilku zapalonemi świecami. Sztywny zbytek hotelowy, wywarł znać na Ławicza ziębiące wrażenie; od kilku lat zresztą, nie widział on już gospodarza mieszkania tego. Zmięszany, z czapką w ręku, stanął przy aksamitem obitym fotelu. Ale Kaplicki, z tąż samą co dawniéj, trochę tylko rubaszniejszą niż dawniéj serdecznością, w ramiona go pochwycił, w oba policzki wycałował i na fotelu posadził. Był to teraz tęgi, barczysty mężczyzna, z wyraźną skłonnością do otyłości, z zawiesistym płowym wąsem zdobiącym twarz okrągłą, pełną, rumianą i błękitnémi jak niebo oczami przyozdobioną.

— Kontent jestem tak jakbym na sto koni wsiadł. Myślałem o tobie często ale cóż? jak człowiek wpadnie do miasta... W Izbie da-

wno już nie byłem i teraz dopiero przyjdzie mi znowu... bo wyobraź sobie: dwa procesy, jeden z chłopami o łąki, drugi z żydem... Ale mniejsza o to! późniéj ci to wszystko opowiem. Teraz, interes najważniejszy: wiesz, żenię się!

W tém co powiedział nie było nic dziwnego, miał lat dwadzieścia kilka i majątek. Ławicz jednak, wydawał się zdziwionym, tak zdziwionym, że Kaplicki patrząc na niego śmiechem parsknął.

— A mój ty Salomonie! czegóż tak na mnie oczy wytrzeszczyłeś? Czy ci się zdaje, że ty i ja, jesteśmy jeszcze takiemi dzieciakami, jak wtedy kiedyśmy razem, pamiętasz? nad tą przeklętą greczyzną ślęczeli.

— Nie, ale wiesz? mnie nigdy na myśl to nie przyszło!

— Spodziewam się... w twojem położeniu, trudno o takich rzeczach... bo, wszak zawsze w biurze służysz i z tą samą pensyą... no cóż robić? Kiedy inaczéj nie można! Zresztą, ty zawsze byłeś jak panienka... Ja znowu jestem innéj natury człowiek. Mnie zakochać się, to jak z bicza palnąć. Tak jednak jak w pannie Alinie, szczerze mówię, nie kochałem się nigdy. Panna piękna, dobrego rodu i utalentowana... słyszałeś jak śpiewa! przytém, trzydzieści tysięcy posagu... ja o to niedbam i bez tego ożeniłbym się z nią, ale kiedy są, to i lepiéj... bo wiesz? interesa, trochę długów i gospodarstwo teraz jest taką rzeczą, że bez kapitału ani rusz... Ojciec zupełnie się już zestarzał i rządy majątku mi oddał. Gospodyni téż w domu bardzo potrzebna...

Służący, na srebrnéj tacy, przyniósł herbatę, ciasta i przekąski. Kaplicki częstował gościa.

— Nie zostałem dziś u nich na herbacie, bo pogniewaliśmy się trochę z panną Aliną. Dumna jest a ja tego nie lubię. Jutro dają wieczór tańcujący a tancerzy mają tyle co nic. Zaproponowałem że przyprowadzę kilku moich tutejszych znajomych, mieszczuchów sobie ale porządnych chłopców. Nie chciała; powiedziała, że ani ona ani jéj kuzynki, z byle kim tańczyć nie będą. Ja tego nie lubię, u mnie człowiek byle uczciwym i porządnym był... Wziąłem to może z téj mięszaniny, która u nas w szkole panowała... pamiętasz np. Derszlaka? syn cieśli a jaki był sympatyczny! Posprzeczaliśmy się i poszedłem. Nic to! jutro pójdę, przeproszę, ale na swojem postawić muszę...

Ławicz, wydawał się znowu bardzo zdziwionym.

— Ależ mój drogi, zawołał, czyż są jeszcze na świecie ludzie, którzyby tak myśleli jak twoja narzeczona!

Z kolei Kaplicki ze zdziwieniem nań popatrzał.

— Ależ naiwny jesteś! wzruszył ramionami. Połowa świata, mój drogi, jeszcze tak myśli. Ale prawda, alboż ty, Salomonie w książkach wiecznie zagrzebany, świat znać możesz! *A propos*, śmiejąc się znowu i zrywając się z krzesła zawołał, wiesz? w domu mojéj narzeczonéj, wiele mówią o tobie i niezmiernie ciakawi są ciebie poznać...

— Ale skądże...

Ot, głupstwo! wiesz? baby zawsze ciekawe a zaciekawiła je żona stróża, jakaś Rębkowa, która dziwne dziwy im o tobie opowiada: że po całych nocach nie sypiasz i nad książkami siedzisz, że sam książki piszesz, że sam do siebie gadasz, że, nakoniec, jak ona myśli, jesteś sobie trochę...

Tu, ręką wskazał na czoło.

— Waryatem, uśmiechając się dokończył Ławicz.

— Ale, z lekkiem zmięszaniem tłómaczył się Kaplicki, te panie nie wierzą w to... tylko kancelista, czytający i piszący książki, w głowie im pomieścić się nie może... przytém, jedna z nich widziała cię kilka razy na wschodach i dowodzi, że jesteś przystojny i masz oczy marzyciela... Ja to tam tego obojętnie słuchałem, bo ani przypuszczałem, że to wszystko o tobie... Te panie, nie zapytały Rębkowéj o nazwisko twoje a może i nie zapamiętały go... ale, nadzwyczajnie, nadzwyczajnie chcą ciebie poznać... nawet panna Alina...

Ławicz całego opowiadania tego słuchał dość obojętnie. Parę razy jednak zarumienił się trochę.

— Ani przypuszczałem, szepnął, abym mógł być przedmiotem...

— Rozmów i ciekawości ładnych pań! widzisz! a gdybyś wiedział jaka to śliczniutka panienka nazwała cię przystojnym i mówiła, że masz oczy marzyciela...

Ławicz zarumienił się znowu.

— Zdaje mi się, szepnął, przypominam sobie, że istotnie, od czasu pewnego spotykam często na wschodach jakąś młodę panienkę...

— Szatynka, średniego wzrostu, ośmnastoletnia...

— Zdaje się...

— Bardzo biała, z szafirowemi oczami...

— Zdaje się...

— To najpewniéj ona, panna Jadwiga... cóż? prawda że bardzo ładna?

— Nie uważałem.

Kaplicki wpatrzył się w niego wielkiemi oczami i znowu parsknął śmiechem.

— A niechże cię Pan Bóg ma w opiece swojéj! No, waryat nie waryat, ale że dziwak z ciebie wielki, to pewnie! Spotykać się często,

z taką śliczną dziewczyną i nie uważać... jednak, w czepku widać rodziłeś się, bo ona zauważyła cię i nawet dość dokładnie, kiedy o twoich oczach mówiła. Cóż? znowu rumienisz się! A! jakiż dzieciak z ciebie! Toż ty, słowo honoru, chyba z innéj gliny ulepiony, jak wszyscy...

Tu, przyszedł mu snać do głowy pomysł jakiś, bo dłonią uderzył się w czoło.

— Genialna myśl, zawołał, zaprowadzę cię jutro do nich na wieczór...

— Ja, na wieczór! Ależ mój Michasiu... ja nigdy nie byłem, na żadnym...

— Byłeś, byłeś, pamiętasz? kiedyś, kiedy moja nieboszczka matka tu przyjeżdżała...

— Ależ ja wtedy miałem lat...

— No, dzieciak byłeś, to prawda, ale pocóż mówisz... zlituj się... nie mów tylko tym paniom, że nigdy na wieczorach nie bywasz, bo pomyślą o tobie, że jesteś człowiekiem dzikim...

— Mój Michasiu, wedle mnie, ten tylko człowiek jest dzikim, który nie zna nauki i nie rozumie wielkich idei, przez nią...

— Wedle ciebie tak jest, a wedle tych pań inaczéj... dla nich człowiek nie obeznany z towarzystwem jest dzikim i co prawda, ja sam, zdanie to podzielam... Nie obrażaj się tylko; o tobie nie mówię. Ty jesteś Salomonem i najpoczciwszym w świecie chłopcem... pójdziesz jutro zemną na wieczór, prawda?

— Nie, mój drogi!

— Ależ pójdziesz, mój Zygmusiu, mój najmilszy... ja cię chcę w świat wprowadzić i, jak powiem pannie Alinie, że cię przyprowadzę, to mi łatwiéj dzisiejszą kłótnię przebaczy...

— Jednakże, sam mówiłeś, że pogardza ona...

— Ależ to zupełnie co innego. Twój ojciec był takim samym dobrym szlachcicem jak i mój, przytem, jesteś moim szkolnym kolegą i człowiekiem.... interesującym. Cóż? pójdziesz? prawda!

Wycałował go znowu w oba policzki i podając mu drugą filiżankę herbaty, zaczął.

— Jutro, o godzinie drugiéj, włożysz frak i pójdziemy z wizytą...

— Ależ mój Michasiu, ja fraka niemam...

— Masz tobie! fraka niema! któż bo na całym świecie może nie mieć fraka? Cóż robić? poprowadzę cię bez fraka... człowiekowi z oczami marzyciela wszystko ujdzie... Tylko pamiętaj, o 2-giéj...

— Ja o drugiéj jestem jeszcze zajęty w biurze...

— Z biurem znowu bieda! No już mniejsza o to! obejdzie się i bez wizyty! Zresztą i ja cały dzień zajęty będę... chodzić będę za

interesami i robić sprawunki. Ekwipuję się... powozy i konie już mam ale uprząż dla koni, liberya dla służby, meble, dywany, lampy, własna moja garderoba, wszystko to jeszcze na karku mi siedzi. Przyjdę więc po ciebie przed samym wieczorem. Mniéj więcéj o ósméj... bądź gotów!

— Ależ, ja na ten wieczór nie pójdę...

— Pójdziesz...

W parę godzin późniéj, rozstając się, zamienili się jeszcze tem samemi wyrazami. Jednak, z twarzy Ławicza i dźwięku jego głosu wnieść można było, że trwoga przed nieznanym mu światem walczyła w nim z chęcią zobaczenia go, myśl o niedoczytanéj książce jakiejś, ze wspomnieniem słyszanego dziś śpiewu. Nazajutrz, wychodząc do biura, spotkał wbiegającą na wschody pierwszego piętra szatynkę ośmnastoletnią, średniego wzrostu, bardzo białą, z szafirowémi oczami. Wszystkie te właściwości jéj osoby, mignęły przed nim jak błyskawica, bo uczuł w twarzy wielkie gorąco, spuścił powieki i tak prędko zbiegł ze wschodów, że zaledwie nie upadł. Pierwszy raz w życiu spostrzegł kwiat na kapeluszu kobiecym. Był to figlarny, roztrzepany, czerwony mak polny.

Około godziny 9-téj wieczorem, Kaplicki wpadł do izdebki na poddaszu i znalazł dawnego kolegę swego ubranego odświętnie. Zrazu jednak nie zwrócił uwagi na jego ubiór. Był tak zmęczonym, że padł na najbliższy stołek i kilka sekund przemówić nie mógł.

— Zhasałem się dziś za sprawunkami temi jak koń pocztowy a tu do ciebie cztery piętra. Jak ty możesz tak wysoko mieszkać?

Powiódł spojrzeniem po izdebce.

— Więc ty tu mieszkasz? tu?

— Naturalnie; od sześciu lat.

Kaplicki posmutniał.

— Mój Zygmusiu, rzekł z cicha, ależ to nędza!

— Jaka to nędza! nie jest to wcale nędzą żadną! gniewnie prawie sarknął Ławicz.

Nie po raz to pierwszy już raziło go i niecierpliwiło, że w położeniu jego ludzie naprzód a czasem i tylko materyalne niedostatki spostrzegali. On sam, gdyby mu o nich nie mówiono, nie spostrzegłby ich nigdy.

— A! jeżeli myślisz, że to bogactwo, niech sobie będzie bogactwo. Z innéj gliny ulepiony jesteś jak wszyscy ludzie. Cóż? tam zaraz tańczyć zaczną, chodźmy!

Spójrzał teraz na czarne ubranie Ławicza.

— No, rzekł... ujdzie! A gdzież rękawiczki?

— Rękawiczki! jak echo powtórzył Ławicz.

— Jakto! nie pomyślałeś o rękawiczkach! Niechże cię... cóż teraz będzie? Aha! ja mam dwie pary, żeby módz zmienić, jak ręce spotnieją... nie będę już zmieniał... masz!

Wyjął z kieszeni fraka parę rękawiczek maślanego koloru, Ławicz wziął je, dziwnie na nie patrząc.

— Wkładajże...

Wkładał i uśmiechał się, bo szło mu to niezgrabnie! Były one dla niego za duże, tak duże, że gdy je włożył, ręce jego wydawały się spuchniętemi.

— Okropność! zaśmiał się Kaplicki; zawsze jednak lepiéj w takich jak bez żadnych... Bierz-że teraz kapelusz i idźmy...

Ławicz wziął czapkę. Na widok czapki Kaplicki usta szeroko otworzył.

— Kapelusz... aha!... bez kapelusza żyjesz... zapewne... widać że to możliwe ale słuchaj no... na wieczór tańcujący z czapką nie sposób...

— Słuchaj Michasiu, zawołał Ławicz, ja tam nie pójdę! Widać, że tam formy wszystko stanowią a ja formę uznaję wtedy tylko kiedy objawia ona...

— Ależ wstydź się! jakie formy! co za formy! przeciwnie, panie te są za treścią, wierz mi, że za treścią... I my przecież wieśniacy, choć Salomonami nie jesteśmy, wiemy co to treść... tylko, wiesz co? weź mój kapelusz, ja tam domowym prawie jestem, mogę z twoją czapką... zostawię ją w przedpokoju...

Wyszli. Na wschodach drugiego już piętra usłyszeli muzykę, złożoną z dźwięków fortepianu i skrzypiec. Ławiczowi oczy błysnęły. Kaplicki zaśmiał się.

— A co! rzekł, jakbyś innym człowiekiem był. Teraz przynajmniéj widać żeś młody. Zobaczysz, jak wybornie będziemy się bawili. Wdzięcznym mi będziesz...

Słów tych Ławicz prawie nie słyszał, bo oblany rzęsistem światłem napełniającém przedpokój a bardziéj jeszcze gwarem licznych głosów, szumiącym za zamkniętémi drzwiami przedpokoju, walczył z paltotem swym, którego zdjęcie utrudniały mu, zsuwające się wciąż z rąk rękawiczki. Lokaj, uniżenie usługujący Kaplickiemu lekceważąco spojrzał na znanego mu z widzenia lokatora poddasza i ani myślał przychodzić mu z pomocą. Kaplicki, piorunująco spójrzał na pełnego pychy sługusa i sam do kolegi poskoczył.

— Cóżeś się tak zmięszał! szepnął, wstydź się! mój Zygmusiu! nikt cię tam przecie nie zje!

W przedpokoju, czuł się trochę tylko zmięszanym ale gdy przez drzwi otwierające się na oścież, buchnęły mu w twarz światło, ciepło i gwar napełniające dwa salony a przed oczami zamigotała mozaika twarzy i ubrań, zbladł bardzo, spuścił powieki i podobnym stał się do niezgrabnego i nieszczęśliwego jeńca, którego pod silną strażą prowadzą tam, gdzie on iść nie chce.

Pierwszy od wejścia niewielki salon pełny był mężczyzn, drugi znacznie większy, wielką girlandą otaczały kobiety. Kaplicki nie postawił znać na swojem i *mieszczuchów* do domu narzeczonéj nie wprowadził. Tancerek znajdować się tam musiała liczba dwa razy większa niż tancerzy. Siedziały one dokoła salonu, tworząc grupy, podobne do klombów z kwiatami. Na widok dwu wchodzących młodych ludzi, w gruppach tych powstał dość żywy ruch. Białe twarze, otoczone utrefionémi włosami zwróciły się ku drzwiom, z za wpółnagich ramion starszych towarzyszek wysuwały się głowy młodziutkich dzieweczek, zdobne w gładkie warkocze i niewinne kwiaty;—wachlarze zaszeleściły, gwar rozmów spadł do cichego szmeru, nad którym unosiły się dźwięki fortepianu i skrzypiec, wygrywających wstęp do kontredansa.

Kaplicki, opiekuńczym ruchem, trzymał rękę kolegi pod swém ramieniem i prowadził go w róg salonu, kędy nad kanapą, fotelami i stołem pełnym albumów, kołysały się, w piórach i ciemnych kwiatach całe, poważne głowy matron. Stanęli przed gospodynią domu, Ławicz usłyszał że wymawiano imię i nazwisko jego, uczuł że powinien ukłonić się. Ukłonił się ale w sposób taki, że na ustach stojącéj tuż panny Aliny, przewinął się uśmiech? Kaplicki, zwrócił go ku pannie Alinie i znowu wymówił nazwisko jego. Ławicz ukłonił się znowu, tak samo jak pierwéj i z tą tylko różnicą, że podniósł oczy aby na narzeczonę przyjaciela spojrzéć. Wzrok jego spotkał się z taką postacią kobiecą, jakiéj z pewnością nie widział dotąd nigdy. Panna Alina ze swą wysoką i kształtną kibicią, z wysoko podniesionémi płowemi włosy, w których świeciła brylantowa szpilka, z zimną białością twarzy swéj i zimniejszym jeszcze błękitem swych oczu, wyglądała bardzo wspaniale i imponująco. Dyana! pomyślał Ławicz i w piękną pannę wpatrzył się milcząc wprawdzie jak grób ale tak zaciekawionémi oczami, że w jéj oczach, wyraz ciekawości z jakiem go witała ustąpił przed wyrazem lekceważącéj ironii, przymrużyła powieki, z wysoka i zimno skinęła głową i odeszła. Długi ogon sukni jéj przesunął się przed stopami Ławicza, jak szybko uciekający obłok; wydało mu się, pewnym był nawet tego, że marmurowe ramiona jéj zadrżały od stłumionego śmiechu. Jego téż ręka, pod ramie-

niem Kaplickiego, zadrżała. Kaplicki ciągnął go teraz w inną stronę salonu.

— Przedstawię cię pannie Jadwidze, szepnął.

Widział już ją; widział tę śliczną głowę dziewczęcią, wysuwającą się jakby na spotkanie jego, z grupy starszych towarzyszek, błyskającą ku niemu dwojgiem szeroko, ciekawie otwartych oczu i kilku roztrzepanémi, czerwonémi maczkami, które zdobiły jéj włosy. Nie była wcale imponującą ani wyniosłą, swawolnicą raczéj i naprzemian marzycielką być mogła. Ławicz, porównywał ją w myśli, do jednéj z gwiazd, którą spostrzegał był nieraz w konstelacyi niedźwiedzicy. Zapatrzył się na nią tak, że nie spostrzegł dywana, przez który dążyć mu ku niéj wypadało i zaczepiwszy stopę o brzeg jego, padał już i byłby całkiem upadł, gdyby go był nie podtrzymał Kaplicki. W niezmiernem zmięszaniu swém, jak przez sen tylko usłyszał kilka bardzo krótkich, bo wnet stłumionych śmiechów a gdy podniósł oczy, tuż przed sobą, zobaczył twarz panny Jadwigi, całą w rumieńcu tak prawie gorącym, jak gorącą była purpura jéj maczków. Szafirowe źrenice jéj, pełne blasku, zdawały się pocieszać go, ośmielać, pociągać. Kaplicki wymówił znowu imię ! nazwisko jego. On, ukłonił się znowu mniéj jeszcze zgrabnie niż wprzódy, i w tejże chwili usłyszał głos Kaplickiego. Pan Ławicz prosi cię kuzyneczko, o przetańczenie z nim kontredansa.

Ławicz, przypomniał sobie, że kiedy miał lat 14, angażował do kontredansów siostry kolegów swoich i czyniąc to kłaniał się. Ukłonił się więc i teraz. Panna Jadwiga wstała i podała mu rękę. Powyżéj małéj ręki téj, którą ujął tak lekko jakby zaledwie śmiał jéj dotykać, było ramię białe jak śnieg i obnażone; z puszystych śniegów stanika wysuwała się obnażona téż szyja, po któréj wił się czerwony sznur korali.

Niewiele, bardzo niewiele pamiętał on z reguł rządzących malowniczo rozwijającym się śród salonu tańcem; trochę je przecież pamiętał i w pierwszéj figurze uniknął szczęśliwie wszelkiego błędu. Kaplicki, który z narzeczoną swoją naprzeciw niego i panny Jadwigi tańczył, krzyżując się z nim szepnął.

— Brawo! tańczysz wybornie! staraj się tylko nie mieć takich wystraszonych oczu!

Istotnie, miał on w oczach wyraz przestarchu. I nie dziw! zapamiętał z dzieciństwa, że reguły kontredansowe tak są niezłomne i nieubłagane jak rządzące światem prawa przyrody. Wiedział, że gdyby którąkolwiek z reguł tych nadwerężẏł, powstałby ztąd w tańcu chaos taki, w jaki niezawodnie popadłby świat, gdyby którekolwiek z praw przyrody zwichniętém zostało. A wcale pewnym nie

był, czy pamięć jego jest mu wierną, czy w tę stronę iść należy albo w tamtą, czy tancerce rękę podać trzeba w téj chwili albo w innéj. Panna Alina z uśmiechem mówiła o czemś do narzeczonego, on zdawał się coś jéj tłumaczyć lub kogoś przed nią usprawiedliwiać.

Pomiędzy pierwszą a drugą figurą nastąpiła pauza. Ławicz odetchnął z głębi piersi, grubą chustką otarł pot z czoła i spójrzał na swoją tancerkę. Spostrzegł, że patrzała ona na fałdujące się mu na rękach rękawiczki i na grubą jego chustkę. Wnet przecież podniosła oczy i zagadnęła:

— Pan stale mieszka w mieście?

— Tak, pani.

— Czy pan się dobrze bawi?

— Ja pani.... nie bawię się wcale.

— Jakto? — Nie bywa pan ani na wieczorach, ani na koncertach, ani....

— Nie bywam nigdzie....

Oczy jéj ze zdziwieniem tkwiły w jego twarzy, lecz świeciła w nich zawsze ta sama co wprzódy pociągająca i uśmiechająca sympatya.

— Ależ... zaczęła, znajomi pana, muszą bardzo gniewać się za to, że im pan towarzystwa swego odmawiasz....

— Ja pani, niemam znajomych....

Spuściła oczy na wachlarz.

— To bardzo dziwne! — rzekła.

Ławicz przypomniał sobie przestrogę przyjaciela i ze szczególnym uśmiechem podchwycił:

— I dzikie także, nieprawdaż pani?

Dziewczyna zaśmiała się figlarnie i zawołała:

— Trochę dzikie, to prawda!

Figura kontredansa druga! Ławicz pracował znowu i raz nawet omylił się, jednak oczy jego były już mniéj wystraszonemi. Zjawiło się w nich zamyślenie. Pomiędzy drugą a trzecią figurą, pierwszy już zwrócił się do swéj tancerki.

— A pani stale mieszka na wsi?

— Tak, panie.

— Wieś z ciszą swą i swobodną naturą musi być bardzo piękną....

— Tak, w lecie. W zimie—nudno. Sąsiedztwa mamy niewiele.... Zimowe wieczory takie długie. ..

Ławicz nie odpowiedział. Myślał może o tém, jak krótkiemi bywały zawsze dla niego zimowe noce.

— A pan co robi w zimowe wieczory?

— Czytam pani.

— I my czytamy....

— A!...

— Tak, czytamy; ja bardzo lubię czytać.... przed wyjazdem do X. czytałam powieść jedną, w któréj..... w któréj....

Urwała, zaśmiała się, figlarném spójrzeniem rzuciła tancerza swego i zaczęła tańczyć figurę trzecią. Tańcząc, szepnęła: — Niech mię pan pięknie poprosi, to powiem co w powieści téj znalazłam....

Dziewczęce te spójrzenia i szepty oblały mu twarz rumieńcem.

— Proszę — szepnął.

I w téj saméj chwili stracił całkiem pojęcie o tém, co czynić mu należało. Wysunął się na środek salonu, gdzie spotkał się z Kaplickim, który oczami coś mu wskazywał; mniemając, że idzie za wskazaniem tém, poskoczył ku pannie Alinie, która wyniosłym ruchem usunęła się od niego; obejrzał się za tancerką swą; biegła ona ku niemu rozchichotana tak, że aż czerwone maczki drżały i roztrzepywały się nad jéj czołem, pochwyciła go za rękę i na właściwe miejsce powiodła. Z chichotem tym i z temi kwiatami skaczącemi w lesie loczków, wydała się mu dzieckiem, małem, pustem, swawolném dzieckiem. Uciszyła się jednak wkrótce i spoważniała trochę.

— Jeżeli pan prosi—ciągnęła przerwaną rozmowę— to powiem. W téj ulubionéj powieści mojéj jest bohater, nadzwyczaj podobny do pana. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam pana, zaraz pomyślałam sobie, że to podobieństwo dziwne....

Ławicz zdziwił się bardzo. On! podobny do bohatera powieści!

— Powierzchowność miał on zupełnie taką jak pan, tak samo mieszkał gdzieś na poddaszu i książki pisał....

— Ja pani książek nie piszę.

Spojrzała niedowierzająco.

— Jakto? nie pisze pan książek?

— Nie, pani....

— Naprawdę?

— Najpewniéj.

— Ach! a nam mówiono....

Wydawała się zmięszaną i zmartwioną.

— Więc.... cóż pan robi?

— W biurze służę....

Dziewczyna przygryzła zlekka usta.

— Jakto! i doprawdy pan książek nie pisze?

— Próbowałem pani pisać je.... ale nie udało mi się.....

— A! więc pan jednak pisze.... A jaki jest tytuł książki, którą pan pisać próbował....

— Nie miała ona jeszcze tytułu...

— Była to więc może „powieść bez tytułu“?

— Nie była to powieść.,..

— Cóż więc?...

— Było to coś z dziedziny historyozofii.

— Co to?

Pytanie to wymówiła z szeroko otwartemi oczami zdziwiona. Z kolei Ławicz śmiał się.

— Z czego się pan śmieje?

— Z zapytania pani.

Mocniéj białemi ząbkami przygryzła pąsową wargę i z pod brwi rzuciła na tancerza swego gniewne wejrzenie.

— Przy bliższém poznaniu staje się pan daleko mniéj podobnym do bohatera ulubionéj powieści mojéj....

Słowa te rzuciła zaczynając tańczyć figurę czwartą. W pauzie pomiędzy czwartą a piątą figurą nie przemówili do siebie ani słowa. Ona zdawała się być rozgniewaną trochę a trochę zasmuconą, on był tylko niespokojnym. Niepokój jego miał przyczyny ważne. Wiedział, pamiętał, że ostatnia figura kontredansa długą jest i rozmaitości pełną, jak w senném marzeniu przypominał sobie różne koła i jéj zwroty.

Wystraszonémi znowu oczami w Kaplickiego wpatrzony, objął on kibić tancerki swéj i krokiem galopady, przesuwając się z nią na drugi koniec salonu, w ciągnącym się za nią przezroczystym obłoku stopę swą uwięził. Obłok rozdarł się, ręce tancerki opuściły jego ramiona, on zaś z tarlatanowych strzępi otrząsał nogę swą tak pracowicie i z takiem niepowodzeniem, że dokoła wybuchnął znowu głośny choć prędko stłumiony śmiech. Panna Jadwiga pąsową była jak maczki, które teraz zdawały się sztywnie jeżyć w jéj włosach. Przygryzła sobie usta prawie do krwi i łzy kręciły się w jéj oczach. Żal jéj było zapewne podartéj sukni i straconéj figury kontredansa a może najbardziéj rozwianego marzenia. Żal ten objawił się w formie gniewu. Piorunującém wejrzeniem okrywając twarz swego tancerza, prędko drżącym głosem wymówiła:

— Bohater ulubionéj powieści mojéj umiał tańczyć, a gdyby nie umiał, nie tańczyłby wcale....

Rzekłszy to, zebrała w dłoń strzępy pozostałe po ogonie jéj sukni i frunęła w głąb mieszkania. Za nią wyszła z salonu panna Alina. Kaplicki utraciwszy tancerkę swoję i swe *vis à vis* opuścił też kontredansowe koło i zbliżył się do Ławicza, który zmięszany, silnie zarumieniony, ze spuszczonym wzrokiem i obwisłemi rękami stał na tém samém miejscu, na którém spotkała go katastrofa.

— No, nic to! nic! każdemu przecież coś podobnego zdarzyć się może! Chodź, poznajomię cię z mężczyznami....

Z kobietami nie udało mu się widocznie i stanowczo; Kaplicki wiedzieć musiał, że zgubionym on był w ich oczach. Trzeba go było wprowadzić w koło mężczyzn. Byli to w większéj części wieśniacy, w mniejszéj znacznie zamożni i do wyższego towarzystwa zaliczający się mieszkańcy miasta. Rozprawiano tu o urodzajach, podatkach, upałach, mrozach, koniach, o zmianie gubernatora, Gambecie i księciu Bismarku. Przy dwóch stolikach grano w karty. Ławicza przedstawił Kaplicki kilku młodym ludziom, którzy mówili z sobą o zeszłorocznych wyścigach konnych i którzy, sami we frakach, szybkiem spójrzeniem orzucili tużurek przedstawianego im kancelisty a bardzo grzecznie dotknąwszy dłoni jego końcem palców, rozmawiali daléj o zeszłorocznych wyścigach, o cyrku przebywającym w X., o polowaniach odbytych lub odbyć się mających w ich okolicy. W innéj grupie, z ludzi poważniejszych złożonéj, zajmowano się bardzo kwestyą wyborów do parlamentu francuskiego, a w innéj jeszcze rozprawiano o organizacyi i przypuszczalnych losach państwa Ottomańskiego. Przy dwu tych ostatnich grupach Ławicz stał dość długo, z uwagą przysłuchując się ich rozmowom, lecz żadnego w nich udziału nie przyjmując. Potém z cieniem uśmiechu na ustach, odszedł w stronę salonu w którym tańcowano.

Tańczono w téj chwili zawzięcie. Kaplicki z narzeczoną swoją prowadził w pierwszéj parze ochoczego mazura. Tańczył dziarsko i z zamiłowaniem; czuć było, że znajdował się we właściwym sobie żywiole, z twarzy jego promieniało szczęście i lał się kroplisty pot. Majestatyczną pannę Alinę mazur ożywił także. Wspaniale zawsze lecz z wdziękiem, w błękitnych obłokach cała płynęła przez salon, u boku narzeczonego. Panna Jadwiga z naprędce naprawionym ogonem swéj sukni, lekka i żwawa, tańczyła także z młodziutkim blondynem, który nie miał zapewne oczu marzyciela i książek nie pisał, ale tańczył ładnie. Oprócz tych dwóch, było tam jeszcze z ośm par tańczących. W mazurowych figurach zwijały się i rozwijały różnobarwne koła, ręce wyciągały się ku sobie, ramiona w czarnych rękawach obejmowały kibicie świecące bielą odkrytych ramion, pojedyńcze pary, z twarzami w ogniu i uśmiechach przelatywały salon, inne w oczekujących postawach stojąc, do dźwięków muzyki i szelestu sukien mięszały szmery i gammy, wciąż rwących się rozmów i śmiechów.

W drzwiach rozdzielających dwa salony, młody mężczyzna w czarnym tużurku i ogromnych rękawiczkach maślanego koloru z ramionami skrzyżowanemi na wątłéj piersi, stał i patrzał. Rzęsiste

światło lamp i kinkietów pozwalało dojrzéć na jego czole widoczne ślady zmęczenia. Nie było to zmęczenie takie jakie w téj chwili, kroplami potu oblewało czoła tancerzy ale takie, które zwolna i niewidzialnie, przez długi szereg dni i lat, zapisuje na obliczu człowieka historyą jego życia. Pomimo łagodnego zarysu ust i skromności postawy, to zmęczenie jego czoła i nieruchomość śród powszechnego ruchu, nadawały mu piętno surowości i zamkniętego w sobie smutku. Patrzał na tańczących i myślał. Myślał zapewne o tém jak obcym był dla niego świat ten wesołości i swobody. Czy był on dlań ponętnym? Zapewne, gdy blaski i odgłosy jego dolatywały go zdala....

Mazur miał się ku końcowi. Uczuł, że ktoś go potrącił w ramię. Był to lokaj, wnoszący do salonu tacę ze szklankami pełnemi limoniady i wody z sokiem. Ominął go, śpiesząc ku młodziutkiemu blondynowi, który umieściwszy na krześle pannę Jadwigę, płonącą twarz swą wachlarzem jéj ochładzał. Ławicz uśmiechnął się znowu. Teraz salon uciszył się nieco, muzyka umilkła, w szmery rozmów podobnych do brzęczenia pszczół, mięszały się fałszywe tony nastrojanych skrzypiec.

Dokoła panny Jadwigi utworzyła się grupa młodych dziewcząt i młodych mężczyzn. Ona królowała w niéj, bawiąc ją opowiadaniem bardzo widać zabawném, bo wszystkich rozśmieszającém. Ławicz nie spuszczał oczu z dziewczęcéj twarzy téj, która mu przez cały ubiegły dzień jak zaklęta przed oczami stała, dla któréj był tutaj, która dwie godziny temu olśniła go tak, że o mało na środku salonu nie upadł. Teraz z gestów jéj, minek, ruchu ust i przelotnych spojrzeń odgadł, że siebie i otoczenie swe dowcipnie zapewne bawiła opowiadaniem o jego ogromnych rękawiczkach i grubéj chustce do nosa, o tém, że niema on wcale znajomych i nigdzie nie bywa, że kłaniać się ani tańczyć ani rozmawiać nie umié. Po prostu wyśmiewała go. Domyślał się tego, odgadywał każdy prawie jéj wyraz i patrzał na nią i na tych, którzy jéj wtórzyli z obojętnością zupełną. Zmięszanie jego zarówno jak zachwycenie—minęło. Możnaby rzec, że raz uczuwszy się obcym zupełnie wszystkiemu co go otaczało, spoglądać zaczął na otoczenie to, z punktu nie uczuć swych ale myśli. Widocznie spoglądał on na nie z góry, sądził je, do pojęć swych o życiu przymierzał. W wyrazie twarzy jego nie było ani upokorzenia, ani urazy, ani żalu. Malowało się na niéj tylko zamyślenie i trochę ironii.

Po krótkim odpoczynku tańczono walca. Ławicz, aby nie zawadzać tańczącym, usunął się do mniejszego salonu, stanął u jednego ze stolików, przy których grano w karty i przypatrywać się zaczął obrazkom rzucanym na zielone sukno. Kaplicki stanął na pro-

gu i szukał go oczami. Znalazłszy, poskoczył i dotknął jego ramienia. — Możebyś chciał w karty zagrać? Możnaby jeszcze partyą jedną ułożyć.

Ławicz zaśmiał się głośno. O żadnéj grze kartowéj najlżejszego nie posiadał wyobrażenia. Narzeczony panny Aliny zanadto był zajęty tańcem i zastępowaniem nieobecnego pana domu, aby módz wiele czasu poświęcać jednemu z gości. Odbiegł więc, bo usłyszał, że w większym salonie proszono pannę Alinę aby śpiewała. Wkrótce też piękny i dobrze wykształcony głos kobiecy wzniósł się nad opadającym i w ciszę zamieniającym się gwarem. W tejże chwili Ławicz wyszedł do przedpokoju a zamieniwszy tam kapelusz Kaplickiego na swoję czapkę, znalazł się na wschodach. Czy wypadało mu tak opuszczać zebranie nikogo nie żegnając, ani pomyślał o tém. Nie chciał téż słuchać śpiewu panny Aliny.

(d. c. n.) *El. Orzeszkowa.*

WACŁAW POTOCKI

JAKO AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIÉJ".

Jak w wielu innych kierunkach pracy naukowéj tak i w badaniach nad dziejowym rozwojem naszéj literatury zostajemy daleko w tyle po za rezultatami, jakie inne ludy osiągnęły na tém polu. Pomimo stuletniéj przeszło pracy nad gromadzeniem i uporządkowaniem szczegółów biograficznych i bibliograficznych, dotąd jeszcze nie posiadamy najkonieczniejszych danych co do zewnętrznych kolei życia wielu pierwszorzędnych pisarzów, a niejedną ciekawą postać znamy zaledwie z nazwiska. Słowem nie ukończyliśmy jeszcze pracy przygotowawczéj, na któréj dopiéro winno się oprzéć umiejętne badanie dziejów literatury a tymczasem pora najbardziéj sprzyjająca téj pracy bodaj że przeminęła już wraz z pokoleniem, u którego miłość dla przeszłości ozłacała idealnym blaskiem najsuchsze poszukiwania i najskromniejsze zabytki. Dla ustępującego obecnie z widowni pokolenia pomniki literatury na równi z innémi zabytkami życia ojców stanowiły drogą pamiątkę, którą starannie przechowywano ale przytém, jak każdy drogi skarb, starannie zamykano. W rzadkich chwilach jedynie wydostawano z zakątów bibliotecznych te pamiątki i przeglądano—niekiedy odczytywano, z rozrzewnieniem, z jakim rozpatrujemy stare listy drogich nam osób. Taki nastrój ducha niedopuszczał rozbioru i chłodnéj oceny zarówno formy jak i treści pomników dawnéj literatury.

Dla obecnego pokolenia patrzącego obojętniéj a czasem nawet niechętnie na przeszłość, od któréj je oddziela szeroka przestrzeń drogi szybko przebytéj pod biczem bolesnych doświadczeń i cała suma zmienionych warunków, które wytworzyły nowy organizm społeczny na gruzach dawnego, potrzeba te zabytki oświetlać już nie idealnym blaskiem sympatyi—bo téj źródła bardzo zubożały,

ale światłem prawdy dziejowéj, ciepłem życia wskrzeszonego w nich samych. Zamiast szeregów dat, nazwisk, tytułów, przedstawiać żywe postacie pisarzów, zamiast ogólnikowych, deklamacyjno patryotycznych pochwał, zniechęcających jedynie ku dawniéj literaturze młode pokolenie na miarę tych sądów, szukające w niéj mniemanych arcydzieł poezyi—objaśniać z pomocą wskazówek, jakich dostarczają zabytki literatury, wewnętrzne życie ich autorów i epoki saméj i w uzyskaném ztąd świetle ukazać charakterystyczne cechy utworu, jego nieuchronne wady i ukryte pod przestarzałą formą zalety,—wydobyć wreszcie z pod zesztywniałych powijaków i cudacznego przystrojenia obrazy życia dawnego w całéj pełni i barwności, oto zadanie dzisiejszego badacza, zadanie wdzięczne ale niełatwe, tém trudniejsze, że dane, na jakich się opierać potrzebuje, (zewnętrzne koleje życia autora, wydania poprawne pism, szczegóły odnośne do życia epoki i otoczenia autora) nie są należycie zebrane, sprawdzone i uzupełnione. Mimo to pracy téj odkładać nie można, bo pokolenie obecne nie uzna w staréj literaturze „arki przymierza między dawnymi a młodszymi lata“ i nie odda jéj czci należnéj, póki nie przekona się, że arka ta mieści istotnie rzeczy godne przechowania, że zawiera ona nie prochy i popioły lecz perły i dyamenty w których skrystalizowało się dawne życie i skoncentrowało światło wielkich umysłów i ciepło wielkich serc.

Takim dyamentem—nieoszlifowanym naturalnie, jest „Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego, w któréj przechowały się najlepsze dążenia, najpodnioślejsze pojęcia i uczucia ówczesnego szlacheckiego społeczeństwa, wypowiedziane z całą siłą wymowy i ogniem szlachetnego zapału, przez usta jednego z najznaczniejszych a względnie i najrozumniejszych jego przedstawicieli.

Przez dwa blizko wieki nieznany światu utwór ten z chwilą odnalezienia wywołał powszechny podziw śród literatów zdumionych, bo nie mogących pojąć, jakim sposobem epoka uznana za czas upadku mogła się zdobyć na podobne dzieło. Olśnieni blaskiem tego klejnotu krytycy nie dostrzegli jego plam i skaz a w zapale patryotycznym lecz nie krytycznym, (Wojcicki, Mecherzyński) wyczerpali cały zasób pochwalnych epitetów, jakim rozporządzali. Publiczność przecie, choć jak zwykle przyjęła za prawdę „słowa mistrzów,“ jednak nie podzieliła ich zapału i nie kwapiła się do bliższego poznania tego arcydzieła. Powtórne wydanie które w lat trzydzieści po pierwszém się ukazało (r. 1880) zawdzięczamy czci dla tego utworu wśród jednostek, nie zaś żądaniom oświeconéj części naszego społeczeństwa.

Rzecz widoczna, że ani przesadne pochwały Wojcickiego i Mecherzyńskiego, ani chłodniejsze i gruntowniejsze oceny Szajnochy,

Bełcikowskiego i Tyszyńskiego nie zdołały przekonać publiczności, nie potrafiły przedstawić jéj tego dyamentu w sposób uwidoczniający grające w nim ognie, których blask wynagradza hojnie plamy i chropowatości, rażące nawykłych do klejnotów delikatnie obrobionych i wykwintnie oprawionych. Ognie te wywołać może jedynie promień tego samego światła, które drga dotąd zamknięte w utworze, promień ducha autora i ducha ówczesnego społeczeństwa. Pochwycenie tego promienia stanowi operacyą dość trudną i bardzo delikatną, któréj wykonać nie mogli dotychczasowi krytycy ogarniający w swém badaniu cały obszar olbrzymiéj prawdziwie działalności literackiéj Potockiego. Jak badacz przyrody dostrzega w niewidzialnéj prawie komórce lub cząsteczce prawa rozwoju i układu, których by daremnie szukał przez obserwacyą całych brył lub złożonych organizmów; tak i w zakresie literatury rozbiór jednego trafnie wybranego utworu może dostarczyć światła wyjaśniającego nietylko całą działalność danego pisarza ale i epokę, któréj jest przedstawicielem. Ten wzgląd w połączeniu z wyżéj wskazanemi pobudkami skłonił mnie do wyboru „Wojny Chocimskiéj“ za przedmiot studyów, w których starałem się, o ile umiałem, pochwycić te niewidzialne nici wiążące każdy donioślejszy utwór z duchem autora i życiem epoki, a przytém odtworzyć cały łańcuch pojęć jakie przewodniczyły ówczesnym ludziom tak w tworzeniu jak sądzeniu płodów literackich.

Chciałem przytém uwydatnić czytelnikom dzisiejszym nietylko tę bezwzględną, wiecznotrwałą piękność, któréj blaski przeświecają choć przyćmione w „Wojnie Chocimskiéj,“ ale i to drugie względne, czasowe piękno zadawalniające w każdéj epoce wymagania szerszego koła czytającéj publiczności, lecz rażące i odstręczające czytelników z późniejszych pokoleń.

I.

Choć przebywaliśmy niejednokrotnie ciężkie bardzo chwile dziejowe, nigdy jednak nie trwały one tak długo, nie przedstawiały takiego nawału klęsk, takiego rozprzężenia społecznego, takiego rozpaczliwego przeciwieństwa anarchii, nieradności i bezsilności w rządzie i społeczeństwie—z liczbą, potęgą i zawziętością występujących ze wszystkich stron nieprzyjaciół, takiego zniszczenia zasobów materyalnych i rezultatów parowiekowéj kultury—jakiém odznacza się okres dwunastoletnich wojen od 1648 do 1660 r. Początek tego dziejowego kataklizmu odmalował z wielką prawdą i siłą Szajnocha w dziele „Dwa lata dziejów“; dalszy przebieg przecie i stan kraju

po uspokojeniu się burzy nie znalazły dotąd równie uzdolnionego historyka. Kto ma odwagę odczytać olbrzymią rymowaną kronikę tych wojen, skreśloną pod świeżém wrażeniem wypadków przez Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, ten, śród sucho i prozaicznie opowiadanych szczegółów akcyi wojennéj i politycznéj, spotka dość często pełne prawdy i siły wykrzyki bólu, oburzenia i rozpaczy, wyrywające się z chłodnéj piersi dworzanina i panegirysty urzędowego, na widok tego co się dokoła niego dzieje.

I niech sobie światowych ruin kto natworzy
Niech stawi przed oczyma królestw inszych zguby
Troję upadającą i dom z nią Hekuby,
Popioły Numancyi, Sagunty zburzone,
Zunety, Kartageny z gruntu wywrócone,
Opłakańszy daleko (Bóg li w swojéj pieczy
Już jéj niema) naszéj, stan Pospolitéj Rzeczy,
Bo tam termin przejrzany prętkiéj był ruinie
A ta kona powoli i dziesięć lat ginie
. . . .
Światowi wszystkiemu
Ze Wschodu i Zachodu z Południa i Północy
Nie było z-to potęgi i naszéj już mocy
Im odeprzéć. ......
Co większa nieprzyjaciel tam palił i ścinał
Tu żołnierz nie karany chlebów swych dopinał
I mizerne domowe przeżymał wnętrzności
. . . .
.........Czem miasta pierwéj spustoszono
Toż wsi zrosły odłogiem i wszystko powoli
Sprawowanie roli
W Polsce ustawało. Prócz tego nierządy
Wielkie insze; od starych pokrzywione sądy,
Senat z dzieci dobrany i mógł każdy żądze
Swojéj dopiąć, kiedy miał co chciał za pieniądze.
Snadno nędznym dokuczyć i popchnąć to ciało,
Które ni krwie ni władze żadnéj już nie miało,
A przecie nie armaty i straszne te boje
Jako więcéj prywaty zgubiły nas swoje
Doma Aleksandry za stołem bijemy
A na wojnę bez prochów i lontów idziemy......

Dla społeczeństwa przenikniętego przekonaniem o swéj wielkości i potędze jakże bolesnym być musiał taki nagły upadek, takie upokorzenie:

Ach byliśmy Trojany, była możność, była
Sława między narody, która przechodziła
Do obu oceanów......

woła Twardowski, który tak niedawno jeszcze opiewał złoty spokój i świetność czasów Władysława IV.

Taki gwałtowny przewrót w losach, takie silne i długotrwałe wstrząśnienie, zgasiło przedewszystkiém utrzymujące się dotąd ogniska życia umysłowego, rozniecone pod wpływem prądów epoki odrodzenia, tak po większych miastach (Kraków, Lwów, Lublin, Poznań, Raków i inne) jak na dworze królewskim i po wielu tak magnackich jak i szlacheckich dworach. W pożarach i rabunkach miast zniszczały szkoły, księgozbiory, drukarnie, po kościołach i dworach wiejskich również ruchawka Chmielnickiego i szwedzcy żołdacy popalili i porabowali zbiory ksiąg, dokumentów historycznych i artystycznych zabytków zgromadzonych przez kilka stuleci. Życie umysłowe ustaje chwilowo; Twardowski ucieka ze zniszczonéj siedziby (Zarubińce pod Zbarażem) unosząc swe prace literackie jedynie i na drugim krańcu kraju (w Wielkopolsce) szuka schronienia, zkąd wypłasza go znów najazd szwedzki, zmuszając do chwycenia za oręż w podeszłym już wieku; Zimorowicz patrzy z boleścią na zniszczenie swego cichego domku w uroczem położeniu pod murami Lwowa; Kochowski i Potocki służą w pospolitém ruszeniu. Zubożenie materyalne wszystkich stanów przez pożary, rabunki i ciągłe opłaty i kontrybucye, bądź przez najeźdców wybierane, bądź też nakładane przez sejmy na obronę kraju, uniemożliwiło, zwłaszcza przy warunkach nieprzyjaznych dla rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu—przywrócenie do poprzedniego stanu tego, co wojna zniszczyła.

Prądy epoki odrodzenia rozwinęły wprawdzie i w polskiém społeczeństwie wyższy stopień życia duchowego, polegający na wyzwoleniu myśli i uczucia z zależności od form i formuł, ale stopnia tego dosięgły jedynie nieliczne grupy śród zamożnego mieszczaństwa i garnącego się dość skwapliwie do nowego światła ziemiaństwa w południowo-zachodnich okolicach dawnéj Polski. Światło to roznosiły nieliczne jednostki, które odbywały nauki na zagranicznych uniwersytetach. Z upadkiem zamożności miast, wygaśnięciem dynastyi Jagiellońskiéj tak dbałéj o szerzenie oświaty, z przeniesieniem stolicy do Warszawy—życie umysłowe niepodtrzymywane należycie zaczęło gasnąć i średniowieczna pomroka, rozjaśniona chwilowo blaskiem kilku gwiazd, zapadać na nowo. Wcielenie Litwy i Mazowsza do państwowego organizmu Polski, dało polityczną i społeczną przewagę tłumom ciemnéj szlachty litewsko-mazowieckiéj, przedstawiającéj co do umysłowego i obyczajowego ukształcenia ten stopień zaledwie, na jakim dziś znajduje się nasz włościanin. Nieliczna stosunkowo szlachta małopolska i wielkopolska, mimo całéj swéj wyższości umysłowéj i obyczajowéj, straciła swe znaczenie i nie mogła stawić czoła najazdowi téj butnéj, ruchliwéj, krzykliwéj, silnéj w ręku, lecz ciasnogłowéj braci, która w krótkim czasie zdołała narzucić jéj i swe

obyczaje i swą wolę na sejmikach, a przytém swą zabiegłością i przemyślnością w gospodarstwie rolném zagarnąć znaczną część jéj posiadłości. Wprawdzie małopolscy ziemianie, dumni wielowiekową dawnością swych rodów i wyższością swéj oświaty, pogardliwie spoglądali na takich przybyszów „co wziąwszy *ski* albo się od Bracławia albo piszą się z Mazowsza,“ ale swoją drogą przyznać musieli, że taki przybysz mimo wątpliwego szlachectwa, braku wykształcenia i ogłady obyczajowéj „trzęsie przecie sejmikiem“ i zastępując sprytem brak nauki, wrodzoną wymową nieznajomość Cycerona, pewnością siebie i butą brak wychowania, odgrywa ważną rolę w życiu polityczném i towarzyskiém (1).

Jedna religia mogła okiełznać fizyczną bujność tych ludzi i ukazać im potęgę przed którą pokorniała ich buta. Przyjąwszy w siebie te nowe żywioły, musiała piastowska Polska przechodzić z niemi powtórnie średniowieczną dobę i to nietylko w duchowym lecz i w polityczno-społecznym rozwoju. Dla nich była to konieczna szkoła, dla niéj ciężka pokuta za błędy polityczne, niesprawiedliwość społeczną, życie nad stan, wygaśnięcie ducha rycerskiego i zaniedbanie uprawy umysłowéj i obowiązków obywatelskich. Klęska Pilawiecka, ten Sedan polskiego rycerstwa — skwapliwe poddanie się Wielkopolski Szwedom a pod wielu względami i rokosz Lubomirskiego, oto jaskrawe pojawy choroby nurtującéj organizm piastowskiéj Polski, pojawy tłómaczące zarazem bezsilność polityczną i społeczną pierwotnych prowincyj wobec nowych żywiołów i wyrastającéj z ich pomocą oligarchii. Bieda materyalna sprowadzona długoletniemi wojnami i nierządem ekonomicznym, coraz silniéj przykuwała średnią i drobną szlachtę do dworów magnackich, ciemnota i anarchia coraz konieczniejszém czyniła szukanie protekcyi, rad i wskazówek u magnata dobrodzieja i opiekuna. Stosunki średniowieczne wytwarzały się tu same przez się; było to lennictwo tylko nieterytoryalne ale moralne i materyalne zarazem, nieprawne ale obyczajem uświęcone i określone co do natury usług i obowiązków obustronnych.

Wstrząśnienie spowodowane przez dwunastoletnie wojny i towarzyszące im klęski, przyśpieszyło to rozwinięcie się średniowiecznych stosunków zarówno w życiu umysłowém jak i polityczno-społecznêm. Z drugiéj strony przyczyniło się ono wielce do zatarcia tych licznych a wybitnych różnic jakie przedstawiały dotąd w pojęciach, obyczajach i uczuciach rozmaite części Rzeczypospolitéj. Wspólność niedoli, wspólność nienawiści przeciw najeźdzcom, koleżeństwo obozowego życia, konieczność szukania nowych siedzib w miejsce spu-

(1) Patrz Wojna Chocimska str. 157.

stoszonych zbliżyły z sobą ludzi i obudziły w nich poczucie jedności, słabe wprawdzie ale zawsze stanowiące ważny krok naprzód w dziele wytwarzania się jednolitego organizmu narodowego. Jedyną też to było korzyścią jaką osiągnęła Rzeczpospolita z tak ciężkiego przejścia. Straszne to i kosztowne doświadczenie nie otworzyło wcale oczu na przyczyny złego, już nietylko mazowiecko-litewskiéj szlachcie, po któréj trudnoby się tego spodziewać, ale ziemiaństwu dawnéj Małopolski i Wielkopolski, liczącemu wtedy sześć wieków życia politycznego i od sześciu wieków ulegającemu wpływom cywilizacyi zachodniéj. Jak w wieku XVIII wpływ francuzkiéj oświaty sprowadził trwałe i ogólne przekształcenie w ubiorze tylko i zwyczajach życia towarzyskiego, tak i prądy wieku odrodzenia przekształciły tylko w XVI w. urządzenie domów, stroje i tryb życia, odnośnie do pokarmów i napojów obyczaje; idee zaś tego wieku przyjęły się w nielicznych tylko umysłach i znikły wraz z niemi nieznajdując dla siebie gruntu. Dzieła tych wyjątkowych umysłów zostały w XVII wieku zapomniane zupełnie. To téż po przebyciu strasznego przesilenia, wszystkie umysły światlejsze czują że przyczyny tych klęsk szukać należy nie w złéj woli nieprzyjaciół ale w błędach narodu; jednak nie umieją sobie jasno określić istoty tych błędów, istoty złego tkwiącego w organizmie Rzeczypospolitéj. Jedno złe tylko zwracało na siebie powszechną uwagę, a mianowicie upadek ducha rycerskiego, wygaśnięcie dawnego męztwa udowodnione haniebnemi porażkami w wojnach z kozakami i przypisywane powszechnie zniewieściałości i zbytkom wynikłym z przejęcia zwyczajów i trybu życia od ludów zachodnich.

Drugą przyczynę nieszczęść krajowych dopatrywano i to na całym obszarze Rzeczypospolitéj choć z niejednakowych powodów, w królach cudzoziemcach zagrażających nieustannie swobodom szlacheckim, troszczących się przeważnie o swoje sprawy i lekceważących życie i zwyczaje narodowe. Jedyną więc deską ocalenia, jedyną reformą jaka miała zabezpieczyć Rzeczpospolitą od ponowienia się podobnych nieszczęść był wybór króla rodaka, króla-Piasta, jak się wyrażono. Wierzono że sam widok rodaka na tronie rozbudzi w narodzie i utracone męztwo i ducha obywatelskiego, że na jedno jego skinienie zapełni się pusty skarb, pojawią hufce dzielnego rycerstwa, znikną gwałty i nadużycia, ustaną zbytki a złoty wiek wolności, sprawiedliwości, potęgi i pokoju zakwitnie w dziedzinie Lecha. Oprócz tych wspólnych nadziei, jakie opierano na wyborze, do którego przecie nie upatrzono jeszcze kandydata, hasło to miało swe specyalne znaczenie, inne dla Małopolan a inne dla Mazurów i Litwinów. Dla pierwszych wyrażało ono powrót do staropolskich urzą-

dzeń, do obyczajów piastowskiéj epoki, z któréini razem powrócić muszą dawne cnoty i dawne znaczenie starożytnych rodów szlacheckich tych prowincyj, w których jedynie przechowały się czysto prawdziwe pojęcia o szlachectwie i obowiązkach tego stanu. Dla drugich znowu znaczyło to jedynie prawo swobodnego głosu na elekcyi, prawo wybierania kogobądź i stawienia choćby swéj własnéj kandydatury. Bądź co bądź było to hasło streszczające w sobie wszystkie pragnienia i wszystkie nadzieje znękanego tyloletniemi klęskami narodu, to téż przemogło ono nad zabiegami dyplomatów partyi francuzkiéj. Nasunięty przypadkowo uwadze szlachty zebranéj na elekcyą książę Michał Wiszniowiecki, ponieważ ubóstwem swém przypominał legendowego Piasta, a jako syn mężnego wodza z czasów wojen kozackich, powinien był odziedziczyć ducha rycerskiego, urósł w jednéj chwili w zapalnéj fantazyi szlacheckiéj na tego wymarzonego przez nią króla rycerza, Piasta-wybawcę i zasiadł najniespodziewaniéj na tronie. Aureola cudowności roztoczyła się po nad tym wyborem. Wobec obioru tego nieznanego i nie marzącego nigdy o koronie człowieka, wbrew zabiegom partyi francuzkiéj rozporządzającéj licznemi środkami, naród uznał w tém wolę Boga i widoczny dowód jego opieki nad Rzecząpospolitą. Zapał ogólny nie miał granic; przyszłość cała przedstawiała się teraz w barwach najpiękniejszych. Nowego króla zasypywano darami. W sto lat późniéj podobny wybuch zapału powtórzył się wskutek uchwalenia przez sejm czteroletni 100,000 wojska. I nieraz jeszcze ponawiał się ten fajerwerk, po którym tym gęstszémi, tym przykrzejszémi wydawać się musiały ciemności, jakie po chwili wracały. Co najsmutniejsza przecie, to każdorazowa utrata sił i wiary w przyszłość, po spaleniu się których w potężnym wybuchu, społeczeństwo nie miało ni świateł, któreby je mogły prowadzić, ni energii i odwagi do posuwania się powolnego śród mroku.

Elekcya Wiszniowieckiego nietylko zniweczyła starania partyi francuzką zwanej o wprowadzenie silniejszego rządu, ale i stłumiła budzące się w narodzie poczucie konieczności reform tak w rządzie jak i obyczajach, konieczności odrodzenia się moralnego, które upatrywano w powrocie do staropolskiego ładu, do pradziadowskich cnót i obyczajów. Opaliński, Starowolski, Kochowski, Twardowski i Potocki nawołują szlachtę do poprawy życia, powściągnięcia zbytków i swawoli, ale niestety, głosy poetów i publicystów są bezsilnémi zawsze, jeżeli nie wesprą ich instytucye, jeżeli głoszone przez nich idee nie pobudzą śmiałych inicyatorów, którzyby je wcielili w odpowiednie prawa i urządzenia. Gdy ów posadzony na tronie Piast, od którego wyczekiwano wszystkiego, choć nie dano mu środków od-

powiednich, okazał się słabym i nieudolnym, wtedy opuszczono ręce i z tym większą żarliwością uchwycono się jedynéj idei, która nie straciła kredytu, lecz przeciwnie wobec doznanego zawodu tém większéj nabrała siły—idei religijnéj.

Ta suma wrażeń budzących trwogę i rozpacz, niepokój o jutro, o losy nabliższych, o własne życie i mienie, klęski materyalne i moralne, powtarzające się przez tyle lat, musiały wywołać w umysłach szereg odpowiednich pojęć i nowych uczuć równoważących te wrażenia i łagodzących wywolane przez nie cierpienia, inaczéj bowiem niepodobna by było znieść takiéj ciągłości jednostronnie przygnębiających stanów duszy bez rozstroju władz umysłowych. Nie brakowało zapewne ludzi, którzy, jak to o sobie Pasek niejednokrotnie opowiada, w trunku szukali lekarstwa na zabicie frasunku lub téż wpadali wstan idyotycznego cierpienia i niedbałości na wszystko. U znacznéj większości narodu klęski te rozbudziły lub spotęgowały uczucie religijne, których uzewnętrznienie przybrało rozmaite formy odpowiednio do stopnia rozwinięcia umysłowego różnych grup i warstw społecznych. U jednych wyraziło się ono bezmyślném powtarzaniem pacierzy, odbywaniem pielgrzymek do miejsc cudownych i rozlicznemi czysto formalnemi praktykami; drudzy starali się znowu pozyskać opiekę niebios darami i zapisami na pobożne i dobroczynne cele, odnawianiem porujnowanych przez wojny świątyń, zakładaniem nowych kościołów i klasztorów; wielu wreszcie znękanych materyalnymi i moralnymi stratami szukało w klasztorach pożądanego tak spokoju i pociechy dla duszy w ciągłém obcowaniu z Bogiem. Twardowski, który ze światowego dworzanina stał się czynnym członkiem aż dwóch bractw pobożnych (u Bernardynów w Kobylinie około 1653 r.), zachęca płeć niewieścią do życia klasztornego, przedstawiając w „Nadobnéj Paskwalinie“ tryumf miłości niebiańskiéj, chrześciańskiéj nad pogańską, zmysłową. Kupidyn zwyciężony odbiera sobie życie, a nadobna bohaterka poświęca swą urodę Bogu i zostaje ksienią w klasztorze. Poraz pierwszy religia zespoliła się u nas tak silnie z życiem społeczeństwa; ksiądz wogóle, a zakonnik w szczególności zaczął w życiu towarzyskiem używać szacunku i sympatyi jakiéj nie znał w wiekach poprzednich.

Najpodnioślejszą formę przybrało uczucie religijne tam naturalnie, gdzie życie umysłowe zdawna już się rozwinęło, mianowicie na południowo-zachodnim pograniczu Rzeczypospolitéj. Świadomość błędów politycznych i niesprawiedliwości społecznych, świadomość zaniedbania obowiązków i zapomnienia cnót obywatelskich obudziła tam myśl o potrzebie odrodzenia się moralnego i narodowego, przebłagania Boga za popełnione winy dobremi czynami, a nade-

wszystko ofiarą krwi własnéj w obronie ojczyzny i kościoła przeciw niewiernym. Konfederacya Tyszowiecka była pierwszym objawem tego dodatniego dążenia objawiającego się głównie śród ziemian małopolskich z pośród których wyszedł ówczesny wybawiciel Rzeczypospolitéj—Stefan Czarniecki.

Uczucia te i pojęcia znalazły również wymownych tłómaczów i żarliwych propagatorów w dwóch małopolskich poetach: Kochowskim i Potockim i wydały dwa najciekawsze i najwybitniéj charakteryzujące duchowe życie téj epoki utwory: *Wojnę Chocimską* i *Psalmodyą* (1).

Pierwszy z nich wybrałem za przedmiot niniejszego studyum gdyż odbija nietylko najgłębszą treść ówczesnego ducha narodu ale zarazem odtwarza liczne barwne i wybitne rysy jego zewnętrznego życia. Jak w rzeczywistości ówczesnéj tak i w Poemacie Potockiego myśli i uczucia podniosłe splatają się z rubasznemi i pospolitemi, szczegóły dodatnie z ujemnémi w całość niejednolitą ale bogatą pod względem treści, tworzą obraz nie piękny, bo brak mu harmonii, symetryi i perspektywy ale wierny, szczery i zajmujący w drobiazgach swoich jak płótno flamandzkiego mistrza.—Myśl przewodnia nie przenika tu wszystkich szczegółów lecz snuje się śród nich jak owe wstęgi z napisami na starych obrazach, wychodzące z ust postaci lub unoszące się nad ich głowami.

II.

Nim zaczniemy rozpatrywać się bliżéj w samym utworze, wypada nam, w warunkach otoczenia i kolejach życia jego autora, poszukać źródeł tych pojęć i uczuć, tych tradycyi i wrażeń, których wierne i dosadne odtworzenie czyni Wojnę Chocimską tak zajmującém i pouczającém świadectwem życia naszych praojców w drugiéj połowie XVII wieku.

Szczupły zapas wiadomości jakie o życiu Wacława Potockiego zebrał i podał Szajnocha (Szkice Historyczne T. I) nie został przez późniejszych biografów i krytyków (Mecherzyński, Bełcikowski, Tyszyński) wzbogacony nowémi szczegółami lub wyjaśnieniem dawniéj znanych. To jednak co wiemy może nam, zwłaszcza przy zestawie-

---

(1) Starowolski i Kordecki są przedstawicielami tego rozbudzenia życia duchownego śród duchowieństwa małopolskiego. „Lament“ Starowolskiego można postawić obok „Psalmodyi“ jak „Reformacyą obyczajów“ obok satyrycznych ustępów „Wojny Chocimskiéj.“

niu ze świadectwami poczerpniętémi z pism Potockiego posłużyć za wystarczającą wskazówkę do osięgnięcia zamierzonych rezultatów.

Potocki pochodził ze starodawnego i licznie rozgałęzionego rodu Szreniawitów, którego pierwotną siedzibą była piękna i żyzna dolina rzeczki Szreniawy przerzynającéj dzisiejszy powiat miechowski w kierunku od Miechowa na Słomniki i Proszowice ku Wiśle, do któréj wpada pod Koszycami. Szreniawa, pierwotne „zawołanie“ (hasło i godło wojenne) całego rodu, przeszła późniéj na miano herbu wielu pojedynczych rodzin powstałych po rozbiciu, pierwotnéj rodowéj organizacyi. Te nawet rodziny, które inny herb lub inną nazwę dla pierwotnego godła przyjęły, mieszkając w okolicach pierwotnego gniazda nie zatracały z pamięci:

> .... spólnéj strugi
> Którąśmy długim pasmem jako bieży z góry
> Jeszcze kiedy rozmierzał Lech tę ziemię sznury,
> Kiedy Krakus gdzie smocy ludzie żywo jedli
> Miasto swoje stoleczne zakładał, osiedli.
> Przy téj ścianie gdzie nieba bystre Tatry bodą.
> Gdzie nas winną *Lyacus*—podsyca jagodą
> Zkąd jako orzeł z gniazda, koń trojański z brzucha
> Odważne kawalery (nie ujrzysz piecucha)
> Wysadza na theatrum koronnego świata.

Tak mówi o swym rodzie sam Potocki w przedmowie do „Wojny Chocimskiéj“ i w słowach jego nie należy dopatrywać czczéj przechwałki, panegirycznéj przesady, lecz istotne przeświadczenie oparte na odległéj starożytności i wielowiekowéj służbie tego rodu (a raczéj całego ziemiaństwa okolic Krakowa) w sprawie kraju i cywilizacyi. To téż każdy Szreniawita czuł się o wiele lepszym obywatelem, o wiele dostojniejszym szlachcicem od mieszkańca Mazowsza lub puszcz Zaniemeńskich; pojmował przytém że powinien służyć innym za wzór rycerza—obywatela, że oświata z jakiéj od tylu pokoleń korzysta czyni go wyższym umysłowo i moralnie, nakłada obowiązek nauczania i oświecania młodszéj braci. Nie każdy wprawdzie Szreniawita pojmował tak podniośle swe obowiązki o ile wysoko cenił swą rodową dostojność, ale nam chodzi tu o wyjaśnienie źródła pojęć i uczuć jednego tylko, w którym ród ten znalazł tak świetnego przedstawiciela.

Gdzie urodził się Wacław Potocki, czy w gnieździe rodowym Potoku lub jego okolicach, czy téż w owéj Łużnéj, w któréj spędza swe życie, tego nie wiemy; data urodzenia (1622 r.) opiera się na słowach ustępu z „Pocztu herbów“ wydanego w r. 1696, w którém poeta

nazywa się „siedmdziesięcioletnim starcem“ (1); Mając na względzie iż Potocki utwory swe zupełnie przygotowane do druku i opatrzone przedmowami i dedykacyami zwykł był przechowywać u siebie, odczytując je tylko czasami odwiedzającym go sąsiadom a jeżeli zdecydował się ogłosić niektóre za życia to dopiero w przewidywaniu blizkiego zgonu. „Nowy Zaciąg“ ukończony 1 sierpnia 1680 r. wyszedł z druku 1698 r. zaraz po śmierci poety; jednocześnie prawie bo w 1697 r. ukazała się „Argenida“ napisana między 1660 a 1670 r. jeden tylko „Poczet herbów“ wyszedł za życia Potockiego może na krótko przed śmiercią (2). Przez analogią można by datę wykończenia tej pracy cofnąć przynajmniej o 10 lat w tył do 1686 r. a tym sposobem i data urodzenia prawdopodobnie przypadnie między 1610 a 1615 r. co stwierdzają poniekąd i same słowa Potockiego gdy powiada w „Argenidzie“ iż „kiedy człowieka minęło południe, nie wadzi téż się napić z helikońskiéj studnie“ lub gdy w „Wojnie Chocimskiéj“ nazywa siebie „starym ziemianinem“ (str. 374).

O stosunkach rodzinnych Potockiego nie wiele wiemy; miał on dwóch braci, z których jeden Jerzy był sędzią krakowskim drugi Jan stolnikiem Bielskim. Czy swoję późniejszą zamożność o jakiéj świadczy, prócz posiadania rozległéj i ludnéj wsi na Podgórzu karpackiém, własne wyznanie poety w dedykacyi Syloreta swéj synowéj, zawdzięczał bogatemu ożenieniu i pracy czy téż mienie to przypadło mu w spadku po rodzicach, o tém dla braku dowodów nie można nic pewnego powiedziéć. Również domyślać się wolno tylko biografowi iż autor „Argenidy“ odbywał nauki w Krakowie i tam miał sposobność zawiązać stosunki tak z Kochowskim Wespazyanem jak i Janem Sobieskim (3). Dość rozległa erudycya jakiéj dowodem jest przedewszystkiém przedmowa do „Wojny Chocimskiéj“ świadczy, iż Potocki w swéj młodości dużo czasu poświęcał studyom szkolnym i prawdopodobnie ukończył nauki w akademii krakowskiéj. Choćby same szkoły nie podniecały w młodzieży ducha prawdziwéj pobożności to

---

(1) W wierszu do Andrzeja Żydowskiego (str. 278), w przedmowie przecie do rycerstwa polskiego mówi: „sześćdziesiąt lat dochodzi jako z mężnych dłoń raz dobytych do pochew nie chowacie broni“ (Przypuszczając że wojnę chocimską mógł mieć na myśli jako początek zapasów z Turkami (o które mu głównie chodzi) wypadłoby że słowa te pisał w 1680 roku.

(2) Potocki przeżył choć nie długo Sobieskiego, jak tego dowodzi nagrobek dla tego króla zamieszczony w Wetach Parnaskich, umarł więc prawdopodobnie przy końcu 1697 roku.

(3) Daty urodzenia Potockiego (1610—1615) windykowane przez autora nie zupełnie odpowiadają temu zestawianiu go z Kochowskim (ur. 1630—33) i Janem Sobieskim (ur. 1620) *Przyp. Red.*

w każdym razie pobyt dłuższy w Krakowie, te ciągłe uczestnictwa w licznych obchodach i odpustach kościelnych, rozbudzało pewne zamiłowanie do tych rozrywek w swoim rodzaju, działających na młodą wyobraźnię okazałością i bogactwem przyborów, w czém wyścigały się nawzajem liczne kościoły, klasztory i bractwa krakowskie by przyciągać jak najgromadniejsze zastępy pobożnych.

Ani jednak cześć bałwochwalcza dla starożytnéj mądrości, ani zamiłowanie do praktyk pobożnych nie przeszkadzały, zarazem uczonemu jak i pobożnemu towarzystwu, oddawać się tym niewyszukanym i nielicznym rozrywkom i uciechom jakich mogło dostarczać ówczesne życie krakowskie. Gardła ochrypłe od śpiewów, kazań, wykładów domagały się częstego odwilżania; umysły znużone przeżuwaniem suchéj i obcéj im treści tęskniły za świeższą, żywotniejszą strawą. Liczne winiarnie, cele i refektarze klasztorne gromadziły codziennie dokoła stołów zastawionych dzbanami, flaszkami różnych napojów wesołe i różnorodne towarzystwo. Szlachcic polski w tym jedynie razie nie zważał na pochodzenie swych współtowarzyszów i byle dobrze pił i sypał jak z rękawa facecyami i anegdotami był tu pożądanym każdy bez względu na stan i nazwisko. Za kim najbardziéj się ubiegano to za cudzoziemcami, od których dowiadywano się szczegółów o dalekich krajach i miastach; obcych rządach, prawach, zwyczajach, cudach zamorskiego świata, skarbach Indyi i Ameryki, oswajano się przy sposobności z dźwiękami obcéj mowy i wyuczano kilka lub kilkanaście słów i frazesów nieznanego języka. Wiadomości historyczne, geograficzne, obyczajowe jakie brat szlachcic z tych wynosił pogawędek, stanowiły dla niejednego na późniejsze życie cały zasób wiedzy o współczesnym świecie, koncepta zaś i dykteryjki dobrze zapamiętane a często i zanotowane, służyły również w dalszém życiu do zabawienia sąsiadów i domowych. Tym wesołym zebraniom, różnorodności plemiennéj i stanowéj biorącego w nich udział towarzystwa, miłemu i trwałemu wspomnieniu jakie pozostawiły w umysłach uczestników zawdzięcza nasza literatura większą część Fraszek Kochanowskiego, Kochowskiego i Potockiego, w których poeci podają nam bądź naszkicowane wizerunki wydatniejszych współbiesiadników, bądź téż zasłyszane tam anegdoty i trefne przypowiastki.

Kobiety, duchowieństwo i panowie nadewszystko służyli za przedmiot tych opowieści i żartów, nieoszczędzano zresztą nawet samych współuczestników tych wesołych zebrań. Skrępowany szkolnemi formułami umysł tu dopiero odzyskiwał swą giętkość i świeżość, tu uczył się obserwować życie i malować je bądź w opowieści własnych przygód, wrażeń, uczuć, bądź w trafnéj charakterystyce

wad i właściwości otoczenia. I doprawdy, w téj drugiéj szkole często więcéj odnoszono pożytku, niż ze ślęczenia nad komentarzami do Arystotelesa i Wirgiliusza, potomność przynajmniéj która z politowaniem patrzy dziś na nudne popisy z erudycyą, na niesmaczne i nielogiczne poematy pozlepiane z obrazów porównań i postaci wziętych z autorów starożytnych, na niedorzeczne przebieranie przedmiotów z życia współczesnego w szaty starożytne, z prawdziwą radością wita te ciężkie, rubaszne i niezręczne niekiedy ale tak świeże, naturalne, naiwne w swym realizmie obrazki, wytworzone pod wpływem téj drugiéj szkoły.

Nie znając kolei życia Potockiego nie możemy oznaczyć bliżéj warunków śród których rozwijały się pojęcia i uczucia z jakiemi spotykamy się w „Wojnie Chocimskiéj", nie możemy nadewszystko przedstawić głównych momentów tego procesu duchowego, którego rezultat jedynie mamy przed sobą. Domyślać się tylko możemy, iż jako członek zamożnéj rodziny, potomek starodawnego rodu, człowiek posiadający piękne mienie, dobrą głowę, serce szlachetne i liczne stosunki śród małopolskiego ziemiaństwa, musiał brać czynny udział w życiu towarzyskiém i publiczném, że był nietylko pożądanym dla dowcipu i wymowy i ogłady obyczajowéj gościem, ale téż chętnie słuchanym doradzcą i mówcą na wszelkich obchodach i zebraniach. Czy w młodości swéj służył wojskowo niewiemy; późniéj brał, o ile się zdaje udział w pospolitém ruszeniu w czasie wojen kozackich i Szwedzkich (1); sceny wojenne i obrazy obozowego życia w „Wojnie Chocimskiéj" są nakreślone tak żywo, drobiazgowo i z takim realizmem, że tylko osobiste wrażenia i własne doświadczenie mogło dostarczyć poecie tych barw i rysów.

Wojny i wypadki z epoki 1648 do 1668 r. musiały naturalnie wywrzéć wielki wpływ na Potockiego. Wpływ ten przecie podziałał nie tyle na umysł ile na serce; zamiast zburzyć dawniejsze pojęcia i dać początek układowi nowych grup podniecił jedynie patryotyzm i ducha religijnego. Widząc w spadających na kraj klęskach gromy zagniewanego Boga, nie pomyślał on nawet z ogółem ówczesnéj szlachty, by rozpatrzéć się w fundamentach rozpadającego się gmachu, lecz szukał jedynie najbliższéj przyczyny tak strasznéj kary i takiego gniewu Bożego. Przyczyną tą wydało mu się zaniedbanie posłannictwa ciążącego na szlachcie i polegającego na ciągłych bojach z niewiernymi w sprawie religii. Zaniedbanie to znowu wynikło ze zniewieściałości, zbytków i wpływu cudzoziemskich obyczajów wprowadzonych głównie przez królów cudzoziemców, którzy przytém nie

(1) Por. ustępy na str. 68 i 70.

rozumiejąc pojęć, obyczajów i dążeń narodu nie mogli w nim podtrzymywać rycerskiego ducha i przestrzegać wiernego wypełnienia świętego posłannictwa. Ztąd pochodzi u Potockiego ta zacięta niechęć ku królom z dynastyi Wazów, którym przypisuje znaczny udział w nieszczęściach krajowych. Nie wiemy wprawdzie jak się zachowywał Potocki podczas rokoszu Lubomirskiego, jednakże zarówno widoczna życzliwość dla téj odrośli Szreniawitów, występująca wielokrotnie na kartach „Wojny Chocimskiéj,“ jak i niechęć ku Wazom a Janowi Kazimierzowi w szczególności, o któréj świadczy przedmowa do tego poematu, pozwalają nam domyślać się, iż stał po stronie rokoszan i jedynie może dla podeszłego wieku nie brał udziału w bratobójczych walkach.

Gdy więc z wielką radością Potockiego znienawidzony Waza ustąpił dobrowolnie z tronu, dla którego nie mógł znaleść potrzebnego oparcia, otucha najżywsza napełniła jego serce pałające miłością dla Rzeczypospolitéj. Teraz otwierała się, w mniemaniu jego, narodowi pora i pole do rehabilitacyi, do odświeżenia przyćmionego blasku i upadłéj wielkości. Nic nie przeszkadzało już do przywrócenia dawnych obyczajów, za któremi zawitają dawne dobre czasy. Dość osadzić na tronie króla rodaka—Piasta, a powróci dawne męstwo, prostota życia, uczciwość, pobożność, a z niemi wielkość i potęga czasów Bolesławowych.

Chcąc w miarę swych sił i zdolności przyczynić się do urzeczywistnienia najrychlejszego téj wymarzonéj ery szczęścia swobody i potęgi, zamierza Potocki wypowiedzieć te idee w wymownym manifeście, przedstawić zarazem współczesnym wzór do naśladowania i to wzór tym więcéj zachęcający, iż wzięty nie z odległych wieków lecz niedalekiéj przeszłości.

Co pobudziło Potockiego do rymotwórczéj działalności, kiedy i od czego zaczął swój zawód literacki, tego dotąd nie wiemy. Być może, iż powodzenie szkolnych ćwiczeń, przy wrodzonéj łatwości w nadawaniu swoim słowom wierszowego układu, było pierwszą podnietą do dalszego uprawiania tego pola. Silniejszym bodźcem były zapewne pochwały i zachęty grona wesołych towarzyszów, śród których przy kielichu tworzył Potocki drobne okolicznościowe wierszyki lub przyoblekał w rymowaną szatę ulubione facecye i anegdoty. Posyłając zbiór Fraszek swemu „bratu“ Andrzejowi Żydowskiemu (stolnik i sędzia grodzki krakowski a późniéj chorąży) powiada, iż pisał je „przed lat trzydziestą jeszcze z młodu.“ Czując się na siłach i zachęcany zapewne przez krewnych i przyjaciół by nie marnował przyrodzonego „dowcipu“, zaczął z kolei podejmować coraz większych rozmiarów i poważnéj treści utwory. Jedną z pierwszych

prac była prawdopodobnie „Smutna przygoda i śmierć żałościwa nadobnéj Wirginii dziewicy rzymskiéj rymem opisana 1652 roku.“ (1).

Dla umniejszenia sobie trudu Potocki brał zwykle jakiś łaciński poemat lub romans i takowy z wszelką swobodą nie przekładał ale raczéj odtwarzał, rozszerzając, skracając lub przekształcając dowolnie. W ten sposób została utworzoną „Argenida“ napisana około r. 1666. Czy to jednakże skutkiem nieufności w swój talent, czy dla zbytniéj drażliwości o honor swego rodu, trzymał Potocki utwory te w rękopisie odczytując jedynie rodzinie i dobrym znajomym i posyłając je od czasu do czasu w darze komuś z bliższych z obszerną i czułą zwykle dedykacyą. „Fraszkami“ obdarza jak to już wspomnieliśmy swego „brata“ Andrzeja, „Syloreta“ poświęca z rzewną przemową wdowie po jednym z synów Aleksandrze z Rościszewskich Potockiéj, „Wojnę Chocimską“ swemu zięciowi Andrzejowi Lipskiemu.

Z podobnego postępowania wnosić można, iż Potocki uważał rymotwórstwo za przyjemną i przystojną dla szlachcica rozrywkę i że z początku nie myślał wcale służyć swym piórem sprawie publicznéj. Z wiekiem dopiero gdy starzejącéj się dłoni oręż ciężyć zaczynał, zmienił swe przekonania pod tym względem.

Na zmianę tę wpłynąć mogły prócz wielu innych czynników, ówczesne pojęcie o istocie i zadaniu poezyi. Przedewszystkiém należy zwrócić uwagę, że nietylko u nas lecz i w zachodniéj Europie, sztuka wtedy nie wyzwoliła się jeszcze z zależności od rzemiosł z jednéj a od nauki z drugiéj strony. Jak nieuznawano różnicy między malarzem artystą a malarzem rzemieślnikiem i obu zaliczono do jednéj, korporacyi, tak z drugiéj strony nie robiono różnicy między uczonym literatem a poetą. Łatwość wyrażania myśli w wierszowéj formie (zwłaszcza po łacinie) była miarą zdolności i mądrości ówczesnych uczonych. Wszystko co stanowiło treść nauki mogło służyć za osnowę utworu poetycznego, ztąd tak często spotykamy w dawniejszych wiekach poematy astronomiczne, teologiczne, filozoficzne, ztąd nietylko prawidła gramatyki i retoryki ale także zasady uprawy roli,

---

(1) P. Piotr Chmielowski w rozbiorze tego poematu („Tyg. Illustr. z maja 1881 r.) opierając się na ustępie odnoszącym się widocznie do śmierci syna poety chce datę napisania tego utworu posunąć o 20 lat, jednakże prócz dowodów jakie się nam nasuną w dalszym ciągu téj pracy widzimy, że i sam rękopis „Wojny Chocimskiéj“—jak świadczy opis jego przy pierwszém wydaniu (str. XIII i nast.) zamieszczony, ulegał późniejszym przeróbkom i dopełnieniom; toż samo mogło mieć miejsce i w „Przygodzie Wirginii.“

gry w szachy itp. wykładano wierszem. Wszystko co chciano trwale upamiętnić (fakt dziejowy, zasługi pewnéj jednostki) jak również te reguły czy téż szczegóły pewnéj nauki, które należało wpoić w pamięć ucznia przybierano w formę wierszową. Jedyném zadaniem sztuki w mniemaniu ówczesnych było, prócz chwały Bożéj, przekazywanie dla potomności wydarzeń wieków poprzednich i zasług wielkich ludzi. Doniosłe dziejowe wydarzenia upamiętniano wznoszeniem świątyń i kościołów, zasługi i czyny ludzkie posągami i wizerunkami. Jednakże pamiątki te łatwo i często niszczy „zazdrość ludzka“ powiada Potocki (1), jedno pismo tylko jéj się nie lęka, ono jedynie mogło przechować nam wiadomości nietylko o wielkich tryumfach lecz i o wielkich klęskach, nietylko o wielkich czynach i cnotach lecz i o strasznych zbrodniach. Jak całe znaczenie kolumny, posągu lub wizerunku polega na zasługach i czynach jakie unieśmiertelnia, tak cała wartość utworu poetycznego polega przedewszystkiém na jego treści, i na faktach jakie upamiętnia i bohaterach jakich opiewa. Iliada i Eneida zawdzięczają swą sławę i piękność temu, iż opisują wielkie czyny i wielkich bohaterów dwóch największych ludów starożytności. Zasługa Homera i Wirgiliusza polega głównie na wyborze przedmiotu, na podjęciu tak wdzięcznego i zaszczytnego zadania. Ówczesnego polskiego czytelnika zachwycała Iliada lub Eneida, nie pełném prawdy i plastyki odtworzeniem życia starożytnego, obrazami przyrody i uczuć ludzkich, ale samą jedynie treścią, samą fabułą, nadzwyczajnemi przygodami bohaterów i bogów. Pierwszy Kochanowski w „Muzie“ sformułował i wyrozumował główną zasadę ówczesnéj poetyki, iż Muzy są córkami pamięci i ztąd zadaniem ich upamiętniać wielkich ludzi i wielkie czyny, albowiem to tylko pozyska sławę nieśmiertelną co upamiętni poeta ozdobnym rymem. Kochanowski choć nie pojmował jasno lecz odczuwał piękności Iliady i Eneidy i dla tego nie czując się na siłach by „mężom i bojom podołać“ wolał ograniczyć swą działalność epicką na drobnych poemacikach jak „Proporzec“, niż w zamierzonym ale niewykończonym „Władysławie pod Warną“ narażać się na porównanie jeżeli już nie z Homerem i Wirgiliuszem to przynajmniéj z Tassem. Inni przecie wierszopisowie nie wiele sobie robią zachodu z temi wielkiemi imionami. Taki Maciéj Stryjkowski naprzykład w przedmowie do „Wjazdu do Krakowa Henryka Walezego“ stawia siebie z całą naiwnością po nad Wirgiliuszem i Owidyuszem „bo oni folgując ozdobie chybiali gościńca a tak słów nie rzeczy tylko byli historykami“ on zaś „pisał

(1) Wstęp do Wojny Chocimskiéj str. 39 i 40.

poprostu bo prostoty potrzebuje prawda.“ Słowem w tych dwóch rzymskich poetach widzi on swych kolegów kronikarzy i to nieszczególnych, bo za mało dbających o prawdę. Twardowski Samuel który w dwóch olbrzymich poematach zostawił rymowaną kronikę wypadków od 1600 do 1660 r., z góry upewnia czytelnika, iż daje mu zupełnie prawdziwą opowieść“ („gołą naracyą“), bez „barw i ozdób poetyckich“, że pisze to tylko „co prawdziwego rozumiał“ i rzeczywiście w utworach swoich, jest suchym i drobiazgowym kronikarzem współczesnych wypadków i choć chwilami staje się wymowym a nawet podniosłym, to zaraz wraca do swéj poprzedniéj roli. Najdobitniéj wypowiedział to pojęcie o poezyi Kochowski w dedykacyi swego zbioru królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu:

Muzy są bowiem córkami pamięci
Kiedy imiona bohaterów głoszą;
Te królom ryją na wieczność pieczęci
I chwałę w różne klimata roznoszą.
Instrumentami ich ktoś pańskich dzieł zowie
Ja, że są sławy w potomność posłowie.

W wierszu p. t. „Muzy potrzebne Marsowi“ stanowczo twierdzi, że „Jeśli grono dziewiętne, Dam parnaskich niechętne—A Kaliopy piórem sławne dzieje, Na świat nie wyjdą, zwycięstwo zniszczeje“ Ilium gdyby „nieznało Homerowych chęci w wiecznéj by dawno zgasło niepamięci“ również „waleczność wielkiego Macedona dla tego dzisiaj w takowéj jest cenie, że wzięła na wieczność paszport w Hipokrenie.“ To samo powtarza Kochowski w innym wierszu: „Muzy.“ Zgodnie z tą teoryą nazywa Twardowskiego „Wirgiliuszem słowiańskim“ i twierdzi z całym przekonaniem że posiadając go Polska nie ma co zazdrościć „Mantuéj wieszczka.“ Treść poematów Twardowskiego interesuje go daleko więcéj niż opowiadania Eneidy o tak odległych półbajecznych czasach; artyzm rzymskiego mistrza nie istnieje dla niego; nie czytał on prawdopodobnie Eneidy w całości, a szkolny wykład odwrócił jego uwagę od prawdziwych piękności nudnym, pedanckim komentowaniem drobiazgów, które zniechęciło do bliższego poznania całego poematu.

Sława Twardowskiego mogła skłonić Potockiego do spróbowania sił na tym samym polu. Inna szlachetniejsza pobudka zachęcała go również do wstąpienia w ślady autora „Legacyi.“ Skoro, według przedstawionego powyżéj poglądu ówczesnego, poetyczne dopiero odtworzenie zapewniało nieśmiertelność faktów i postaciom dziejowym, przeto uchronienie od zagłady w toniach niepamięci świetnych wydarzeń z dziejów narodowych było obywatelskim obowiązkiem

każdego uzdolnionego i stanowiło prawdziwą zasługę. Mając przed oczami wierny obraz męstwa, cnót i potęgi przodków: potomkowie znajdą w nim otuchę w niedoli, pobudkę i wzór do naśladowania i pod tym względem przeto poeta przysłuży się ojczyźnie i zjedna sobie prawo do wdzięczności odległych pokoleń.

Pojmując a więcéj odczuwając potrzeby i pragnienia społeczeństwa w chwili gdy abdykacya Jana Kazimierza postawiła je w konieczności radzenia o sobie i wytknięcia kierunku na przyszłość, powziął Potocki prawdziwie zacną i podniosłą myśl, godną prawdziwego poety i obywatela, myśl odtworzenia w wielkim poemacie jednéj ze świetnych chwil dziejowéj przeszłości, by zarówno swemu społeczeństwu jak i całemu światu przypomniéć w obec świeżych klęsk i upadku politycznego, dawniejszą wielkość i zasługi Rzeczypospolitéj. Świetny tryumf oręża a w istocie strategii wodzów polskich nad olbrzymią armią turecką, która w 1621 r. rozpostarła się obozem na polach podchocimskich, stwierdzał w duszy poety jego silną wiarę, iż Bóg sprzyja tym co walczą dla chwały jego imienia, że walka z niewiernymi jest zadaniem polskiego rycerstwa, które należy na nowo podjąć by odzyskać Boże błogosławieństwo dla Rzeczypospolitéj. Upamiętniając rymem ten wielki fakt dziejowy, chce poeta dla obecnego i przyszłych pokoleń stworzyć pobudkę do męstwa w perspektywie zarówno „niebieskiego indygenatu“ który „wódz wojsk anielskich“ udzieli tym co mu „sprezentują blizny“ poniesione w obronie wiary, jak i ziemskiéj nieśmiertelności, którą zapewnia czynom bohaterskim poezya ilustrująca je całym zasobem ozdób, jakiemi starożytni poeci uczcili swych bohaterów.

Myśl swoję wymownie i z całą siłą uczucia wypowiada niejednokrotnie w poemacie wołając do współziomków:

Patrzcie na świątobliwe ojców swych obrazy
Które dokąd świat stoi nie uznają skazy,
Patrzcie a kinąwszy cień marnych ozdób płony
Ich się imcie przykładem Sarmackiéj Bellony
. . . . których całém gardłem
Niech Muzy moje pieją aby takie pieśni
Potomków ich ruszyły ze snu, z drzymu, z pleśni. (Część III)

Czyż nie tego samego pragnie wielki wieszcz gdy chce „ojczystą piosenką“ rozbudzić w sercach rodaków „dawną wielkość duszy i dawne serca bicie“ i sprawić „by choć jedną chwilę tak górnie przeżyli jak ich ojcowie niegdyś całe życie.“

Wybór sam przedmiotu, oceniając go z dzisiejszego stanowiska, nie możemy nazwać szczęśliwym. Studya nad rozwojem dziejowym

wszystkich literatur stwierdziły słowa poety niemieckiego, że „co ma żyć w pieśni winno zaginąć w rzeczywistości", że fakt dziejowy czy téż życie pewnéj epoki wtedy może być odtworzone poetycznie, gdy je przysłoni błękitna mgła oddalenia, po za którą znikną drobiazgi a fakty i postacie przybiorą idealne barwy, zarysy i wymiary. Tymczasem, w chwili gdy Potocki rozpoczynał pracować nad „Wojną Chocimską", nietylko że żyło bardzo wielu uczestników téj wyprawy, że znane wszystkim szczegóły takowéj utrudniały wielce zidealizowanie tak postaci wodzów jak i toczonych bojów, zidealizowanie niezbędne dla osiągnięcia zamierzonego przez poetę celu, ale nie wygasły wcale namiętności, nie znikły materyalne i moralne interesa, które tę wojnę wywołały, czyż więc podobna było utrzymać w odtworzeniu jednego aktu tego nieskończonego jeszcze dziejowego dramatu, objektywność tak niezbędną dla historycznego opisu czy poetycznego obrazu?

Cała siła i wartość Potockiego jako poety polegała na uczuciu, czynniku potężnym gdy chodzi o stworzenie krótkich lirycznych utworów, o przemówienie do serc słuchaczów podniosłą pieśnią lub satyrycznym oburzeniem, nie wystarczającym nigdy przecie do utrzymania poety na tém wysokiem stanowisku i przez tak długi czas jakiego wymaga poemat historyczny. Bez pomocy wyższéj myśli, bez poglądu filozoficznego, któryby uczuciu dostarczył trwałego zasiłku, celu i podniety w ideale, któryby ukazał poecie śród walczących tłumów władnące niemi idee, a śród nawału szczegółów wydatne momenta dziejowe, pod namiętnościami obustronnemi i materyalnemi pobudkami wojny przeciwstawność dwóch odrębnych ras i cywilizacyj, fanatyzmu religijnego złączonego z despotyzmem naprzeciw wyższéj kultury umysłowéj i swobody politycznéj—nie podobna było wypadków wojny chocimskiéj przedstawić w poetycznéj opowieści roztaczającéj przed nami wspaniałą panoramę kilkomiesięcznych bojów, scharakteryzowanych w głównych momentach akcyi wojennéj, wydatnych rysach obustronnego męstwa i postaciach kierowników tych bohaterskich zapasów.

Tymczasem losami boju kieruje u Potockiego Bóg mściciel, gniewny Jehowa skryty w ciemnéj chmurze ziejącéj piorunami, podnieca jedynie ideę i uczucie nienawiści i wzgardy dla wrogów. Okrywająca go chmura rzuca ponury cień na obóz niewiernych czcicieli Allaha skazanych na zagładę. Światło całe pada na wiernych, jednak nie jestto złoty blask słońca miłości ale jaskrawe błyskawice olśniewające i przerażające zarazem, przy których znika aureola zasług otaczająca głowy bohaterskich wodzów. W obec potęgi Jehowy

ludzie tu maryonetkami tylko spełniającymi ślepo i pokornie Jego wolę i pozyskującymi ofiarą własnéj krwi Jego łaskę i przebaczenie błędów.

Ideał taki i płynąca z niego idea, choć uszlachetnione przez uczucia patryotyczne, nie mogą naturalnie rozlewać koło siebie światła i piękna, nie mogą po nad obrazami wstrętnych rzezi, po nad wybuchami fanatyzmu i nienawiści rozbrzmiewać akordem ostatecznego pojednania, harmonii i miłości, nie mogą podnosić moralnie i zadawalniać estetycznie czytelników.

Na szczęście ideał ten nie wcielił się w utwór, nie przeniknął jego szczegółów, ale pozostał na zewnątrz niejako, jakby na postrach tylko niewiernym.

Czytelnik jednak niema prawa rościć sobie do Potockiego pretensyi z powodu zawiedzionych oczekiwań, gdyż na wynalezionéj świeżo a nieznanéj dotąd karcie tytułowéj poematu, dał on następujący napis:

„*Transakcya Wojny Chocimskiéj—gdzie Osman Turecki wszystkie państw swoich z Afryki, z Azyi i z Europy na Polski zgromadziwszy siły, z różnych jako manuskryptów i dyaryuszów tak z relacyi ludzi starych, którzy tam byli praesentes zebrana ale osobliwie z Tradycyi J. W. Im. Pana Jakóba Sobieskiego...... z Łacińskiego na Polskie dostatecznie dla nieśmiertelnéj narodu Polskiego sławy wierszem przetłómaczona. Roku pańskiego 1670, dnia X bra ostatniego*“ (1).

Jesto więc historya Wojny Chocimskiéj ułożona wierszem, ponieważ według ówczesnych pojęć forma ta zapewniała nieśmiertelność opisywanym faktom i uświetniała je zarazem. Trudno więc żądać od Potockiego, by jako historyk wzniósł się po nad kronikarską wierność, drobiazgowość i formę opowieści. Potęga uczucia wprowadza go wprawdzie od czasu do czasu na wyżyny prawdziwéj poezyi, lecz brak skrzydeł nie pozwala mu się na nich dłużéj utrzymać i zniewala do poprzestania na tym zasobie idei i obrazów, jakich mu dostarczają księgi i najbliższe otoczenie, i na tym stopniu uczucia, jaki odpowiada warunkom powszedniego życia.

Wejdźmy do pracowni Potockiego. Stanowi ją komnata szlacheckiego dworu, z którego okien roztacza się widok na poblizkie budynki folwarczne, łany pokryte zbożem i ciemne ściany lesistych wyniosłości stanowiących tło malowniczego krajobrazu, Łużna bowiem leży śród Podgórza karpackiego, niedaleko uroczego Grybowa,

---

(1) Porównaj wiadomość o rękopisach „Wojny Chocimskiéj“ podaną przez J. Kraszewskiego w „Przeglądzie bibliogr. archeol.“ z 1880 r. str. 31 i nast.

znanego dobrze tym co odbywali podróż koleją Tarnowsko-Leluchowską. Piękno przyrodzone nie przemawiało jednak do serc i wyobraźni ówczesnych poetów podobnie jak i piękno artystyczne. Kochanowski bawiąc tak długo we Włoszech, nie odczuł cudów tamtejszéj przyrody i pozostał obojętnym na arcydziela sztuki. Cóż dziwnego, że Potocki nie dostrzega piękności górskiego krajobrazu, do którego nawykł od dzieciństwa, jednakże to otoczenie nie zostaje bez wpływu na twórcę Wojny Chocimskiéj i odbija się poniekąd w zdrowiu i pogodzie ducha, w szlachetności i podniosłości uczuć, w téj czerstwości ciała i przytomności umysłu, jaką do późnéj przechowuje starości. Oddalony od świata, od ognisk życia politycznego, niezależny materyalnie i moralnie czuje się w swéj górskiéj ustroni człowiekiem, obywatelem, głową rodziny i w spełnianiu rozlicznych obowiązków swego stanowiska znajduje najwyższe zadanie życia.

W téj saméj zapewne komnacie, w kóréj pracuje nad swojémi licznémi utworami, przyjmuje Potocki chętnie go nawiedzających sąsiadów i krewnych. Serdeczna gościnność i wesołość gospodarza, zostawia trwałe i miłe wspomnienia każdemu co zawitał do Łużny. Przyszły podczaszy królewski, wychowaniec szkół krakowskich i mieszkaniec sąsiadującéj z Węgrami okolicy, musiał i znać się na winie i posiadać dobrze zaopatrzoną piwnicę. Gdy zbywało na przedmiocie do rozmowy, wydobywał gospodarz jednę z licznych ksiąg ze swémi utworami i stosownie do usposobienia i upodobań słuchaczów, odczytywał im bądź ustępy poważnéj *Argenidy*, bądź jowialne i tłuste historyjki z *Wetów Parnaskich*. Wrażenie jakie te utwory wywoływały na słuchaczach, ich spostrzeżenia, pochwały, służyły poecie za wskazówkę tonu i formy w jakiéj winien wypowiadać swe pojęcia i uczucia, jeżeli mają trafić do serc i umysłów czytelników. Gdy rozpoczął pracować nad „Wojną Chocimską,“ niejeden z tych gości będąc uczestnikiem wyprawy lub znając jéj szczegóły od bliskich sobie osób, dostarczył zapewne Potockiemu swych wiadomości, spostrzeżeń, sprostowań; we własnéj rodzinie zebrał on opowieści o czynach Lipskich, Pisarskich, od dalszych zaś, wiadomości tyczące się udziału ziemian małopolskich, jak Rzeczyccy, Kochanowscy i inni. Pierwotnym zamiarem poety było prawdopodobnie przerobienie łacińskiego opisu Jakóba Sobieskiego wierszem polskim, w ciągu pracy dopiéro przybywały mu z różnych źródeł szczegóły, których sumienność historyka i życzliwość dla swych współziemian nie pozwalała pominąć, z drugiéj strony myśl poety zmierzającego ku moralnemu podniesieniu współczesnych, zwracała się od czasu do czasu ku rażącym ją wadom i nadużyciom i pobudzała do kreślenia

satyrycznych obrazów ówczesnego życia, a nadewszystko do propagowania wszelkiémi sposobami pojęć poety o zadaniu szlachty i konieczności obalenia potęgi niewiernych siłą oręża polskiego.

Za wzór co do sposobu uporządkowania całego materyału historycznego i prowadzenia opowieści, przeplatanéj bądź klasyczno-mitologicznemi ozdobami, bądź lirycznémi i satyrycznémi zwrotami, służyły utwory Twardowskiego, którego znał i cenił Potocki. Wiejskie domowe życie i wesołe pogawędki z przyjaciołmi, dostarczyły także zapasu obrazów, porównań, wyrażeń i przysłów, któremi bardzo skwapliwie, choć nie zawsze właściwie, posługuje się poeta, nadając tym sposobem licznym ustępom swego poematu ton i charakter gawędy.

III.

Rozpoczynając swe dzieło Potocki, lubo czuje całą niewłaściwość odwoływania się do pomocy Apollina, przy opisie bojów toczonych w imię Boga chrześciańskiego i dla Jego chwały, jednakże nie śmie zerwać ze szkolnémi nawyknieniami i odrzucić powagę wzorów klasycznych, ztąd w niepotrzebnie przyczepionym, nawiasowym ustępie lokuje Marsa i Muzy przed właściwym wstępem tworzącym podniosłe wezwanie do Boga o błogosławieństwo dla podjętéj pracy. Modlitwę swą zwraca poeta nie do tego ojca dobroci, dla którego wszyscy ludzie są równie drogiémi dziećmi, lecz do groźnego Jehowy, Boga mściciela krzywd ludu wybranego, który tak samo mdłém piórem jak i groźną władnie stalą, „co hardych tyranów dumy wywraca na nice, miesza pysznych z błotem, mści się nad ostatnim domu tego węgłem, gdzie kto usty przysięga sercem nieprzysięgłém.“ Pojęcia te najszerzéj i najpodnioślej rozwinął Kochowski w swéj „Psalmodyi.“

Utrzymując daléj tę rolę poety kapłana przemawiającego to w imieniu narodu do Boga, to naodwrót zwracającego się ku współziomkom z groźbami i upomnieniami, roztrząsa im sumienie wyrzucając szkaradne samolubstwo, zawiści, zdrady, zbrodnie. Przeciwstawiając cnotom i harmonii złotego wieku ówczesny upadek moralny, dochodzi do wniosku, iż całego udoskonalenia rozumu użył człowiek na to, by znaleść środki szkodzenia bliźnim i zabijania się wzajemnego, że pod tym względem chrześcianie zaszli daléj niż poganie i mahometanie. Przejęty obawą by Bóg nie zesłał za to na kraj cały jednéj z tych klęsk, któremi gromił grzechy Izraelitów, zwraca się ku Niemu z prośbą, by nie poddał grzesznych w niewolę

niewiernym, przez wzgląd na zasługi przodków, na krew jaką przelali w sprawie wiary. Światu chrześciańskiemu wyrzuca obojętność i wewnętrzne rozterki, z których korzystają Turcy ujarzmiając pojedynczo rozdzielonych przez samolubstwo i zawiści.

Ztąd ci, ztąd trzeba będzie zdać liczbę koniecznie
Bogu, gdy przyjdzie na świat dekretować wiecznie.
Ta krew, którąście z sobą lali sami chustem
Jawnym wam będzie świadkiem, jawnym nieodpustem,

woła tonem kaznodziei Potocki, który sam to zboczenie od przedmiotu właściwie charakteryzuje, dodając:

Ale mnie cóż potem brać prowincyą cudzą?
Są ambony, niechże was kaznodzieje budzą
Z tego snu w którym wszystkie utopiwszy zmysły
Sprosnym zbytkom...........
Swe rady, swe fortuny, a szkodę ku szkodzie
Poddajecie........

Mimo to nie wraca do przedmiotu, a z kaznodziei staje się moralistą i w niesmacznym choć dosadnym obrazie okazuje iż:

Pieszczota nieszczęśliwa kominem, a miechy
Pycha, zbytki i wszystkie cielesne uciechy.
W tym węglu, nie będzieli od rozumu wstrętu,
Zmięknie choćby z twardego serce dyamentu.

Samson, Aleksander Wielki, Hannibal, dostarczają przykładów upadku męztwa w rozkoszach; Epaminondas znowu, Agryppa, Emilius przekonywają:

Jako zawsze stroniła bohaterska cnota
Od wszelakich rozkoszy i od składów złota
. . . .
Żelazem Mars do sławy odkłada wrzeciądze
Niech się gach złoci, niech żyd gromadzi pieniądze.

I znów poraz drugi zapytuje poeta, gdzie go to zaniosło pióro rozpędzone, gdyż

......niemoje rzemiosło
Wodzom i bitnym pisać żołnierzom reguły.
Polską naszą Bellonę na teatrum świata
Sarmackiego prowadzę: tężby jescze lata
I czas z ojcy naszemi miał zagrześć pożerny?
Nieda Bóg swej roboty, otwieraj odźwierny

Wrota, gdzie na szerokiéj méj ojczyzny sali
Wielcy bohaterowie będą się pisali.

Nim jednak rozpocznie się ten pośmiertny turniéj, nim podniesie się zasłona okrywająca wielkie dziejowe *teatrum*, staje przed publicznością sam poeta, już nie jako kaznodzieja i moralista, lecz dziejopis tego turnieju i prosi o pobłażliwość dla swéj „swady.“ Pracę swoję zaś oddaje pod szczególną opiekę najwyższego dostojnika ówczesnego Jana Sobieskiego, marszałka koronnego i wielkiego hetmana. Teraz nareszcie rozpoczyna się nie widowisko jednakże, ale prolog podający dziejowy zarys stosunków między Turcyą a Polską.

Już we trzech częściach Turczyn rozpościera świata
Twardy tron.......

Co chwila przecie przerywa Potocki swą opowieść to wybuchem oburzenia, że „mizerna śmieć ludzka“ „ubogich skotopasów zgraja czcza i nikła, z pastucha zbójca, żołnierz ze zbójce,“ miała „cały świat shołdować.“

I są jeszcze cesarze rzymscy? i bez wstydu
Od téj nędze od tego wykąsani gidu
Tym się piszą tytułem?

To znowu, wspomniawszy o przyjaznych stosunkach jakie utrzymywał Zygmunt I z Solimanem, rozwodzi się nad korzyściami zgody i potrzebą wybaczania drobnych uraz, co przywodzi mu na myśl podanie o Floryanie Szarym, które daje sposobność do wspomnienia świeżo obranego Wiszniowieckiego (zrodzonego z Zamojskiéj) i wezwanie współziomków do zgody gdy „Jelita w koronie.“ Jak widzimy, Potocki w swéj „swadzie,“ zwyczajem ówczesnych kaznodziei i oratorów politycznych, nie trzyma się żadnego planu, lecz ulega asocyacyi pojęć grupujących się dowolnie w jego umyśle. Choć czuje że schodzi z drogi, nie ma siły oprzéć się pokusie rozwinięcia nasuwającéj mu się a miłéj myśli; możnaby w tém dopatrywać odbicia się nierządu i samowoli politycznéj nawet w zakresie życia umysłowego. Mowy sejmowe i okolicznościowe, kazania, panegiryki, broszury polityczne i pisma satyrycznéj treści, oto zwykły pokarm umysłowy ówczesnego szlachcica. Utwory te, jak wiadomo, przedstawiają dziwaczną mieszaninę ustępów podniosłych z trywialnemi anekdotami, teologicznych i politycznych wywodów z obyczajowémi obrazkami, patryotycznych zwrotów obok panegirycznych kadzideł, cytacyj z klasycznych autorów i Pisma św., obok rubasznych wyrażeń i przysłów czerpanych z języka potocznego. Nic więc dziwnego, iż każdy próbujący swych sił pisarz trzyma się utartych

dróg i posługuje środkami, które zapewniły innym powodzenie. To też i „Wojna Chocimska“ układem, a raczéj bezładem i dowolnością z jaką mięszają się tu rozmaite style i przedmioty, przedstawia ścisłe pokrewieństwo z płodami ówczesnéj swady tak politycznéj jak i kaznodziejskiéj.

Doprowadziwszy wreszcie historyą stosunków Polski z Turcyą do 1621 r. przystępuje Potocki do objaśnienia powodów wojny. Daje tu trafną i barwną charakterystykę Tatarów co:

Urywczy żywot wiodą o kobylim zdoju
Ani chcą ani mogą posiedzieć w pokoju
. . . .
Dom talaga pleciona, strój futro baranie,
Bankiet źrebię, w bachmacie ukontentowanie.
Żon co trzeba któremu, z niewolników sługi
W domu zabawa: derhy, uzdeczki, kańczugi;
Więc czego niedostaje, jakby słusznem prawem,
Jeśli ukraść nie mogą, bojem biorą krwawém.

Druga przyczyna wojny kozacy:

........naród także ludny
Spadszy mskłemi z porohów swego Dniepru sudny
Oświecą Czarne Morze i tej co Podole
Orda, trwogi nabawią Konstantynopole.
.........odlewami z miedzi
Ryczą smocy: (1) po wieżach wyją *hodzie* bledzi
Wre miasto, ziemia jęczy a pomorskie skały
Szkaradnych kartaonów echem rozlegały.
Darmo: bo Zaporożec mając to za bajki
Sunie chyżo ku Dniepru obciążone czajki
I jeżeli za sobą zobaczy pościgi
Tak zbliska jak zdaleka pokaże im figi (str. 90).

Obustronne rozjątrzenie wywołane przez ciągłe ponawianie się tych rozbójniczych najazdów, zwiększyła znacznie samowolna wyprawa Stefana Potockiego do Wołoszczyzny dla popierania przeciw Turcyi zabiegów Mohiły, zakończona klęską polskiego hufca pod Dzieżą. Wywołane przez to zawikłania doprowadziły do istotnéj wojny, która się zakończyła nową, straszną klęską rycerstwa polskiego na polach Cecory. Dwukrotne powodzenie tak ozuchwaliło i zachęciło Turków, iż chcąc stanowczo zabezpieczyć się zarówno od najazdów kozackich jak i wtrącania północnych sąsiadów w spra-

---

(1) Działa ówczesne, którym nadawano formę smoków i t. p. potworów. Kartaony były to także ciężkie oblężnicze działa.

wy chrześciańskich prowincyj swego państwa, podejmują olbrzymią wyprawę dla zgniecenia zupełnego Rzeczypospolitéj.

Teć były proscenia, że rzekę po nasku,
Poselkowie chocimskiéj wojny, któréj trzasku
Pełen był świat..........

powiada Potocki, kończąc część pierwszą swego utworu opisem klęski cecorskiéj, słabszym o wiele od ciekawéj i pięknéj miejscami opowieści jaką pomieścił Twardowski we „Władysławie IV.“

Przedmiotem części drugiéj są narady i przygotowania wojenne, odbywające się zarówno na dworze tureckim jak i polskim.

Porywczy Osman w młodzieńczym swym zapale
Już w Krakowie popasa i koń poi w Wiśle

a dla tym pewniejszego dopięcia swych zuchwałych planów gromadzi olbrzymią armią.

Europie *randewu* pod murem swéj Porty
Że najbliższa Stambułu pyszny cesarz znaczy
Azyą i Afrykę ku Dunaju zmyka.
. . . .
Dzieci tylko maleńkie a z niemi płeć biała
Wolna od wojny w państwach tureckich została.

Udział chrześcian poddanych Turcyi w téj wyprawie boli wielce poetę:

.........czemużby ze świętej rozpaczy
Nie złączyć szable z nami na pogaństwo raczéj,

Jedną z niewielu ozdób jakiemi pozwalali sobie historycy i poeci dawniejsi urozmaicać suchą kronikarską opowieść i jakie dawały im sposobność popisać się ze swą swadą, były zmyślone mowy wkładane w usta głównych postaci dziejów lub poematu. „Wojnie Chocimskiéj“ nie zbywa na tego rodzaju ozdobach, stanowiących najczęściéj wierne kopie ówczesnych mów sejmowych i okolicznościowych. Nizki stopień rozwinięcia umysłowego nie pozwalał dawniejszym pisarzom wystawiać sobie życia nieznanych im ludów inaczéj jak w tych formach do których nawykli. Mowa Muftego do Osmana mogła być z małą zmianą włożoną w usta polskiego senatora duchownego stanu.

Mnieć przyznam się należą pacierze
Nie Mars, lecz i ty przyznaj i miej to ode mnie

Że Mars w polu i Wulkan darmo robi w Lemnie
Bez Boga..........

Będąc przeciwny zamierzonéj przez Osmana wojnie, usiłuje ochłodzić jego zapał i skłonić go do zgody przez zezwolenie na chrześciańskiego hospodara w Wołoszczyźnie.

Bo wiara najpewniejsze spraw ludzkich ogniwo
Tą żyjemy, to światło, to nasze krzesiwo
Z którego gdy chce w różne iskra serca wskoczy
Wlot je wiecznem płomieniem miłości zjednoczy.
Choć zła, choć dobra jaką kto wyssie z macierze
Każdyby w takiéj rad żył i umierał wierze.

Przedstawiając następnie trudności i niekorzyści wojny z Polakami, tak myśl tę uzasadnia:

Nie liczba wojska bije, ani miast dobywa
Ale wojny przyczyna, panie, sprawiedliwa!
. . . .
Naród w złoto ubogi nic nie ma przy zdrowiu
Prócz chleba, soli, serca, żelaza, ołowiu,
Pierwej cię droga znuży i Bałkany śnieżne
Niźli równie Dnieprowe oglądasz pobrzeżne.
Gdzie całoletnim chodem utrudzonych ludzi
Skoro mróz nieprzywykłej jesieni wystudzi
Których wszystkich pieszczone wychowały nieba,
Broni na nich polakom dobywać nie trzeba;
Pomrą jako jaskółki, jako muchy posną,
Tylko że drugi raz nie ożyją z wiosną.

Od czasu do czasu wielki dygnitarz duchowny zapomina i o swém stanowisku i o dostojności tego, do którego mówi i gawędzi sobie jak stary polski szlachcic dający nauki synowi:

Proszę..... racz szczeréj radzie méj dać ucha,
A czci na wszystkich młodych ta padła pomucha
Że nie radzi gdy im kto ich propozyt porze,
Lecz jako nieraz ginął kto stał przy uporze
Tak i ten nie żałował kto chciał starych słuchać,
Próżnoż na zimną wodę sparzywszy się dmuchać.
.........Szczęśliwy człek co go cudze szkody,
Uczą rozumu, jako w najpewniejszéj szkole,
I dadzą poznać głupstwo w sąsiedzkim rosole.

Osman, który wbrew temu co o jego zapalczywości powiada poeta, dał wielki dowód cierpliwości i panowania nad sobą wysłuchaniem długiéj gadaniny Muftego, co „powaga siwizny sprawiła bi-

skupiéj,“ odpowiada tonem syna zniecierpliwionego naukami rodzicielskimi, a których nie myśli usłuchać.

Nie tak-em, ojcze prawi, rozumu daleki
Żebym go słuchać nie miał i acz-em z opieki
Wyszedł i wszystko mi się według woli darzy
Aniby mi potrzeba więcéj bakałarzy,
Słuchałem cię, choćbym się obszedł bez twej rady.
Krótko tedy na twoje odpowiem kazanie:
Tak chcę! to moja wola.........
Powiem jeszcze, aleć to proszę niech nie cięży
Że najlepiéj w kościele dyskurować księży,
Nie mieszać się w ratusze; przez cóż się rozsuły
Państwa glaurskie jeżeli nie przez kapituły,
Miecz mieczem a plesz pleszem, kto się czemu święci
Tego niechaj pilnuje......

Mimo całéj swéj pobożności mającéj wszelkie cechy „kruchcianéj dewocyi,“ Potocki nie jest ani fanatykiem jak o tém świadczy tchnący tolerancyą ustęp mowy Muftego, ani téż nie jest wcale pokornym sługą hierarchii duchownéj, któréj pretensye do kierownictwa świeckiemi sprawami ostro, jak widzieliśmy, potępia a obyczaje i wady surowéj niejednokrotnie poddaje krytyce, nieoszczędzając nawet saméj głowy kościoła. „Cóż mi po opończy gdy już zmoknę do nici“ powiada drwiąco z okoliczności odpowiedzi papieża, który zbył poselstwo polskie proszące go o zasiłki na wojnę z Turkami obietnicą udzielenia takowych wtedy gdy cesarz skończy wojnę z heretykami (toczącą się podówczas trzydziestoletnią wojnę). O kilka stron przedtém z pod tego samego pióra wyszła przecie modlitwa nacechowana tak wybitnie mistyczną pobożnością owéj epoki:

Patrz na polskich patronów, patrz na naszych ziomków
Pokorę, a nie spuszczaj biczów swych ułomków!
Patrz na świecznik swéj chwały, który w téj koronie
Ogniem niezagaszonym ku czci Twojéj płonie,
I chociaż przez złość naszą przez nasze niecnoty,
Często go w oczu Twoich zaciemiają knoty,
Utnij knot, masz nożyce miłosierdzia w ręce‘
Że nie zgasisz ufamy Jezusowéj męce......
Potęga turecka to Goliat a Polska to Dawid
..........którego armata
Pięć kamyczków i proca, lecz przy Twéj pomocy
Możem ufać tym pięciom kamyczkom i procy;
Bo węgłowemu każdy rówien z nich kamieniu
Co ich jest w Zbawiciela naszego imieniu.

Sprzeczność to pozorna tylko, bo właśnie ta gorąca i szczera pobożność, ta siła religijnego uczucia jaką spotykamy u Potockiego stała się źródłem tych surowych sądów o duchowieństwie, którego życie było dalekiem od ideału kapłana jakiego sobie przedstawił poeta. Jestto zresztą jedną z cech wyróżniających pobożność mistyczną średniowieczną i dawną staropolską od nowoczesnéj, ultramontańskiéj dewocyi.

Opis przygotowań obronnych przedsiębranych w Polsce jest wierném i ciekawém odtworzeniem pogadanek szlacheckich o sprawach politycznych w końcu XVII wieku. Wprawdzie poemat przechodzi tu w gawędę, polski Tasso staje się godnym współzawodnikiem Paska, lecz bądź co bądź zyskujemy na tém mając zamiast lichego naśladownictwa Eneidy lub Jerozolimy wyzwolonéj rubaszne i trywialne niekiedy ale prawdziwe echo życia ówczesnego. Oto zebrani w szlacheckim dworku lub krakowskiéj winiarni radzą ziemianie nad zbliżającą się wojną. Powtarzają sobie wiadomość, iż wyprawiono posłów do wszystkich królów co są „pod zbawiennym krzyżem,“ niewiadomo przecie z jakiemi wrócą odpowiedziami. Lecz się na to upijać szkoda, kędy a nuż będzie (pomoc) albo nie będzie? Szkoda stawiać garnka jeżeli dopiero prosić u sąsiada ziarnka.“ Ponieważ zwykle „czyja tonie kobyła ten najgłębiéj brodzi,“ tedy o swoich rzeczach samym przyjdzie radzić, kogo obrać hetmanem, zkąd ludzi gromadzić, a co najpotrzebniejsza do wojny zkąd zasięgnąć pieniędzy.“ Co do wyboru hetmana nie było potrzeba długo się namyślać: Żołkiewski zginął, Koniecpolski w niewoli, rzecz naturalna iż „wszyscy oczy i serca na jednego zgodnie zwrócą Chodkiewicza“; na hetmana polnego zaś któż właściwszy jak „Stanisław Lubomirski hrabia na Wiśniczu“ szwagier jęczącego w „żałosnéj Jedykule“ Koniecpolskiego. Trudniejsza sprawa z pieniędzmi które by należało zebrać z najmniejszém stanu szlacheckiego uciśnieniem, boć on krew swoją przyniesie w ofierze ojczyźnie. Kto może i powinien dać to duchowni, lecz oni „choć się milionami w ojczyźnie wielmożą“ przecie tylko „półtorakroć złożą“ i „wolą nieprzyjaciołom na rabunek chować, niż suplementować konającą ojczyznę, wolą wieść za granicę i darmo dać komu, niźli węgłów podeprzeć pochyłego domu.“ Cóż to jednak znaczy wobec potęgi tureckiéj na którą się składają trzy części świata. Nic dziwnego więc iż „na posiłki wyciągamy oczy, bo nam téj gry pomogą sąsiedzi ochoczy.“ Tymczasem nadzieja ta zawodzi: Odpowiedź papieską przytoczyliśmy już powyżéj wraz z dosadną jéj oceną. „Lepszéj nowiny wyglądamy z Wiednia, naprzód, że krew przyjaźni najpewniejszym gruntem, dwie siestrze cesarz mając za naszym Zygmuntem (Boskiego i ludzkiego uchiliwszy prawa), dru-

ga, że z jego przyczyny ta wrzawa (1)... Ztąd jako na trzy tuzy bez wszelkiéj omyłki, tak śmiele na rakuskie każemy posiłki... Ale niech się tu każdy niewdzięczności zdziwi: za psa krew (jako stara przypowieść natrąca: z bratem na lwa, a z szwagrem ledwie na zająca); za psa nasza uczynność, bo póki świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem. Nie tylko nam posiłków winnych odmówili lecz werbunku w swéj ziemi cale zabronili.“ Widocznie „wolność nasza co im w oczu solą, przyczyną że nas chcieli wterebić w niewolą“... „Hiszpan bardzo żałował że z tym potentatem“ który kiedy się ruszy całym trzęsie światem, Polacy się zwadzili“ bo „niżeli mysz skoczy daléj, kocur trzaśnie“... „W ten sens i Wenetowie i wszyscy sąsiedzi niewdzięczne posłów naszym dają odpowiedzi, równi owym doktorom co widząc w malignie chorego, że nie wstanie, że już duszą rzygnie, miasto jakich syropów co mu jeszcze cięży, każą mu się z sumieniem rachować u księży“ (2).

Troska o losy kraju i niepewność wyników wiszącéj nad nim wojny nie przeszkadza przecie gawędzącemu przy kielichu gronu używać uciech jakie nastręcza pora zimowa:

Już i pasterze swoje puścili koszary
I ptak poszedł na zwykle do cieplic opary
Twardy mróz ujął ziemię, chociażbyś po bagnie
Kartaony prowadził, pewnie się nie zagnie,
Kryształowym wątpliwe brody spiął pokostem
I bystre rzeki szklanym poujmował mostem
Biały śnieg jako zmora na ten świat się kida

. . . .

Więc komu przyszła wojna głowy nie ugryza
Delikacko na płytkich saneczkach się śliza.
Świszczą smyczki z daleka gościńcem utartem
A dropiaty, jak raróg., leci pod lampartem.
Kto myśliwy po śniegu zwierza z charty tropi
Nasz starzec przy kominie grzanki w piwie topi
A co raz pisanego nachylając garca,
Już syty tego świata czeka z gołą marca.
Nie idą mu w gust żadne przejażdżki i sanki
Zjadszy zęby woli ssać rozmoczone grzanki

---

(1) Ponieważ Zygmunt III wyprawił cesarzowi posiłki przeciw Gaborowi Betlemowi, który chcąc się od Polski zabezpieczyć podburzał Turcyą i posłał im cztery tysiące piechoty swéj na wojnę z Polską.

(2) Takimże wiernem odbiciem rozumowań politycznych szlachty ówczesnéj jest prócz wielu innych ustępów, mowa Sobieskiego na radzie wojennéj (str. 191 po 193).

Toć ostatnia człowiecza uciecha komu się
Da Bóg zstarzeć i późne oglądać prawnusie.

Ten obrazek rozrywek zimowych, na które z okien swéj komnaty spogląda zgrzybiały staruszek, rzucony od niechcenia jak miniatura zdobiąca margines starego rękopisu, jest widocznie późniejszym znacznie dodatkiem. Nudy starości skracał sobie Potocki przeglądaniem dawnych prac, przyczem niejednokrotnie pozwalał sobie robić poprawki i dopiski, ilekroć nadarzyła się sposobność wypowiedzenia swych pojęć i uczuć z lat późniejszych. Tą drogą dostały się do „Przygody Wirginii“, jednego z najpierwszych niewątpliwie utworów Potockiego ukończonego już w r. 1652, ustępy odnoszące się do śmierci ukochanego syna, zmarłego w dwadzieścia lat późniéj. W taki sam sposób należy wytłómaczyć pochodzenie tego prawdziwie flamandzkiego krajobrazu zimowego z postacią starca bezzębnego rozgrzewającego się polewką piwną przy oknie szlacheckiego dworu. Starzec ten to sam poeta, który jak dawni malarze umieścił na uboczu wielkiego obrazu, swój wizerunek. Opisując wypadki przeszłości ciągle Potocki ma na myśli chwilę obecną, współczesnych dla których zbudowania podjął tę pracę. Swobodny ton i luźna forma gawędy, którą mimowolnie i bezwiednie nadał swemu poematowi, pozwalają na takie przerywanie toku opowieści rozlicznémi zboczeniami. Porównywując współczesnych sobie z idealnym typem rycerza—obywatela, którego urzeczywistnienie upatruje w bohaterach bojów chocimskich, dostrzega z całą wyrazistością liczne i doniosłe różnice sprowadzone przez moralne i fizyczne wyrodzenie się szlachty i kontrast ten uwydatnia się w wymownych pełnych siły i wydatności zarysach.

„Przed laty, powiada poeta, nie pierwéj młody do szabelki przypadał, aż od wojewody lub króla samego do niéj był przypasany, około lat dwudziestu, i nie pierwéj godziło mu się prawić o wojnie i radzić około ojczyzny aż pierścień żelazny dany mu przy pasowaniu na rycerza zbroczył krwią nieprzyjacielską i odniósł na swem ciele blizny“. Dziś „dziecku małemu do kasze drugi ojciec szabelkę i łuczek przypasze i gdy wzrosłszy przy doiwie krowiem, zwiedzi w Warszawie co przedniejsze wiechy (winiarnie), ażeby dom nie zaginął dla onéj pociechy, ożeni go; a ten téż jakby wlazł do twierdzy ani szable przypasze ani ostrze ze rdzy, zasznuruje się w duchnę i namnoży podobnych sobie gapiów ni to Bogu, ni ludziom. Nic zna jako żyw pancerza, nie widział kirysu, lecz czy to flisem czy wołmi, czy brdęgą, czego inszy krwią nie mógł, takowi dosięgą; albo idzie do dworu i tak świni ucha nie uciąwszy senator z onego piecucha“......... „Wi-

dzieć ich po jarmarkach lub prywatnym feście, gdy się strojno, czeladno przechodzą po mieście; pójdzie z nim do publiki, choć w onéjże lamie, tak skromny, tak pokorny że wilk a wilk w jamie.“ Dopiero gdy wypadnie im wystąpić w pole „stać na posłuchu i zmoknąć do nici“ gdy „grzbiet kirys orze a szyszak perfumowaną prasuje czupryne“ gdy trafi się potrzeba „o któréj słuchając włosy z czapką wstawają do góry“ gdy wypadnie „stać na miejscu cały dzień jako cel przed działy, patrząc gdy drugich niosą, słysząc świst nieluby, oczy w górę podnosić, czynić Bogu śluby;—stanie i za śmierć strach śmierci bo sto razy umiera kto tchórzy.“ Cóż więc dziwnego „iż mierznie wojna naszym galantomom co nawykłszy od młodości domom, słuchają rychło w polu będzie po herapie, rychło im kto potrzebę przyniesie na mapie“ Ale za to pochopni wielce „żołnierzów obmawiać i hetmanów szczypać“ i mocno bywają rodrażnieni gdy wypadnie dać im „kopę na pobór:“ „Długoż, prawi, sypać będziem darmo pieniądze? Wierz, zdaniem mojem jużby czas Ukrainę widzieć za pokojem“ Drugi znowu „nie godzien z kijem chodzić mitręga za bydłem, że wiewiórczym ogonkiem dał opuszyć kołnierz aż już wąsy odyma, aż sędzia, aż żołnierz! Wdajże się z nim w rzecz, chociaż nie był daléj bursy... już on wiadom porohów, czajek i kudaku, wiadom złotego i kuczmańskiego szlaku... wszystko wie, tego nie wie do siebie nieborak że sklep dziurawy ledwie stoi za półtorak“ Niechno tylko pojawi się gdzie panicz młody a bogaty „co zdarłszy się z opieki jako ryba z wędy i blaskiem nowéj swobody zaślepiwszy oczy, prawdy słuchać nie może;“ zaraz zleci się zewsząd zgraja przyjaciół, pasorzytów „którzy wziąwszy na swoję panicza opiekę w koło go jako gęste otaczają strzępki, wielkie jego dostatki, mowy i postępki z pokorném podziwieniem od rana do zmierzchu w oczy chwalą. A jako psi do jatki idąc za baranem powtarzają niedługo będziesz wielkim panem“

Cała ich robota polega na tém by „skłamać, zagrać kto umie i chodzić przed półmiski póki czują o kocie i ojcowskim zbiorze, lecz gdy reszty w ostatnim przewąchają worze, rozbiegą się i każdy w swoję stronę kinie a jedynak jak beczka zbywszy soli spłynie, toż ubitym gościńcem i bez kałauza trafi lub do zakonu lubo do zamtuza.“

W tych pełnych życia, prawdy i dowcipu obrazkach gawędziarz staje się satyrykiem, rymotwórca poetą, niezdarny rysownik artystą. Potocki tu dorównywa niemal świetnym satyrykom stanisławowskiéj epoki. Artyzm ten, który od czasu błyska na kartach „Wojny Chocimskiéj“ ma swe źródło w uczuciu poety, w jego miłości dla społe-

czeństwa, które chciałby odrodzić, udoskonalić w cnotach i w uwielbieniu dla ideału przewodniczącego jego pracy. Ideał ten służy mu za skalę do oceny współczesnych postaci, które przy jego blasku ukazują wszystkie swe niedostatki i całą małość; oburzenie jakie wskutek tego porównania uczuwa poeta dodaje siły i werwy jego pióru, z pod którego wychodzą wizerunki wprawdzie niewykończone, nie obmyślane, naszkicowane tylko kilkoma wydatnemi rysami ale mimo to takie prawdziwe i charakterystyczne!...

(*d. n.*)

Bronisław Chlebowski.

DEMOKRACYA SOCYALNA
W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

II.

LASSALLE I MARX.

Franz Mehring. Die deutsche Socialdemokratie ihre geschichte und ihre Lehre Bremen 1878.—Emile de Laveleye. Le Socialisme contemporain. Paris 1881.—Georg Brandes Ferdinand Lassalle ein literarisches Charakterbild. Berlin 1877.

Mylić się—rzecz ludzka, najpoważniejszym uczonym zdarza się dawać o rzeczach sądy mylne, im zaś silniéj one będą motywowane, im głębiéj zdadzą się sięgać w samę naturę rzeczy, tém dziwniéj potém wyglądać muszą, kiedy fakta przyjdą im zaprzeczyć. Lorenz v. Stein w swojéj historyi ruchu socyalnego we Francyi wydanéj w r. 1850, usiłując dotrzéć do najskrytszych pobudek i najgłębszych przyczyn silnego krzewienia się pojęć socyalizmu wśród Francuzów, twierdził, że wypływa to przedewszystkiém z kierunku filozofii francuskiéj, hołdującéj sensualizmowi. Sensualiści najwyższe szczęście człowieka widzą w używaniu, nie dziw więc, że obałamuceni tą błędną filozofią lekkomyślni Francuzi pragną wszystkim ludziom otworzyć drogi do łatwego używania; nie mogą oni wznieść się do zrozumienia wielkiéj idei niemieckiéj, do pojęcia osobistości, owego *ja*, które żyje świadomością siebie, dla którego wiedza jest najwyższą rozkoszą. Zdawałoby się więc, że wzniosłe pojęcie osobistości ustrzeże naród niemiecki od zarazy socyalizmu; tymczasem któż przychodzi zaszczepić gałązkę teoryi socyalizmu na drzewie nauki niemieckiéj?—oto filozofowie wyuczeni w szkole Hegla. Wszystkie zaś rozkosze wiedzy, która sama sobie celem stać się może, ani wielkie *ja* niemieckie, ani pojęcie osobistości nie przeszkodziły téj gałązce wy-

bujać silnie i szerzyć w umysłach bodaj więcéj zniszczenia aniżeli wszystkie utopie Francuzów. Tak wypadki urągają medytacyom filozofa, namiętność nie słucha logiki a historyk, zbyt śmiały w twierdzeniach, staje obok publicysty wypowiadającego, pod wpływem chwilowego interesu, aksiomata niewzruszone, których jutro sam wyrzec się będzie musiał. Kilka lat agitacyi postawiło w Niemczech socyalizm na stanowisku górującém po nad wszystkiemi kwestyami wewnętrznemi; olbrzymie wojny, niebywałe tryumfy chwilowo tylko mogło przygłuszyć głosy agitatorów. Ludność rozbujana walką polityczną, stopniowo rok za rokiem zaczęła coraz silniéj przerzucać się na grunt aspiracyj socyalnych, i dzisiaj, chociaż przywódcy stronnictw w parlamencie usiłują spierać się z ministrami o prawa sobie przysługujące, jednakże, nie kwestye konstytucyjne, ale urządzenie cechów, ale kassy ubezpieczenia stonowią oś, około któréj obraca się życie publiczne w Cesarstwie niemieckiém.

I.

Opowiadaliśmy jak w r. 1862 rozwinęła się na wielką skalę agitacya polityczna; można było przewidywać, że wśród tego ruchu powstawać będą coraz to nowe kwestye, ale nikomu wtedy na myśl nie przychodziło, że prędko głośne wołania o reformy społeczne wystąpią naprzód sceny; nie przewidywano tego tém bardziéj, że człowiek najpopularniejszy wtedy pomiędzy ludnością rzemieślniczą Szulce z Delitzch był całą duszą oddany postępowcom, a szeroko rozwinieta jego działalność zdawała się ręczyć za utrzymanie robotników na wytkniętéj przez niego drodze. Kilka niezręcznych kroków, których się dopuścili kierownicy partyi postępowéj, były tymczasem powodem do rozwinięcia się akcyi zupełnie odmiennéj.

We wszystkich, niezmiernie licznych stowarzyszeniach, po wszystkich zakątkach Niemiec, rozprawiano ciągle o najrozmaitszych rzeczach, dyskusye prowadzili wobec rzemieślników ludzie wykształceni, którzy nie zawsze słuchali haseł wydawanych przez koryfeuszów stronnictwa. W Saxonii, gdzie ludność była niechętną przewadze i wpływowi prusaków w Niemczech, w fereinach nieraz była o tém mowa, że postępowcy zanadto oglądają się na Prusy, szukano sposobów jakby temu zaradzić, a profesor z Lipska Rossmäsler w r. 1862 podał myśl miejscowym rzemieślnikom, żeby się starali zostawać członkami National-fereinu i tam opinie swe wypowiadali; za namową jego wniesiono żądanie do dyrekcyi, aby pozwoliła członkom National-fereinu opłaty roczne wnosić ratami, coby rzemieślnikom ułatwiło wstęp do związku. Dyrekcya w odpowiedzi na to żą-

danie ofiarowała rzemieślnikom bezpłatnie tytuły członków honorowych, któreby jednak nie dawały im prawa zabierania głosu ani tém bardziéj wotowania. Obraziło to kilku wyżéj wykształconych rzemieślników, zgłosili się do Szulce Delitzscha, prosząc o radę co mają robić, odpowiedział: że powinniby zadowolnić się członkowstwem honorowém, bo pieniądze lepiéj użyć mogą na opędzenie potrzeb swych rodzin. — Niepodobali sobie w téj radzie, postanowili szukać poparcia w innych fereinach i zaprojektowali zebrać kongres ogólny rzemieślników z całych Niemiec, na którymby mogli porozumiéć się i żądania swoje przedstawić dyrekcyi National-fereinu w imieniu całéj pracującéj ludności. Porozumienia w tym względzie szły opornie, rok czasu przeminął, a jeszcze o zgromadzeniu kongresu nie można było myśléć, w lutym więc r. 1863 na wniosek szewca Valteicha, zgłoszono się z prośbą o radę, jak postępować należy, do kilku ludzi znanych z przyjaznego dla klas roboczych usposobienia, pomiędzy temi ludźmi był Ferdynand Lassalle.

Znanym był już w tedy w Berlinie w kołach zarówno politycznych jak i światowych i rzemieślniczych młody ten uczony, o pięknych rysach twarzy i szafirowych pełnych ognia oczach. Liczył on rok 37 życia, ale jeszcze w czasach pierwszéj młodości, kiedy po skończeniu studyów uniwersyteckich w Lipsku i Wrocławiu pierwsze zabierał stosunki w świecie, już Heine i Humbold, najwyższe ówczesne potęgi umysłowe Niemiec, witali w nim genialnego młodzieńca, przyszłą wielkość świata naukowego. W r. 1848 brał czynny udział w ruchach rewolucyjnych nad Renem, co mu na długo zamknęło wstęp do Berlina, pierwéj zaś jeszcze spotkał był hrabinę Hatzfeld kobietę starszą od siebie o lat dwadzieścia, która jednak pięknością swą i rozumem silne zrobiła na nim wrażenie i potrafiła zainteresować go swoją sprawą rozwodową z mężem, tak, iż poświęcił jéj usługom dziesięć lat swego życia, trzydzieści kilka razy występował przed sądami w jéj obronie i doprowadził interes do szczęśliwego rozwiązania przez korzystny dla hrabiny układ z mężem. Romansowo-przyjacielski stosunek Lassalla z hrabiną, nie wykluczał pieniężnego wynagrodzenia, po zakończeniu interesu pobierał dość znaczną dożywotnią rentę, a ponieważ własna jego rodzina była zamożną miał więc na świecie stanowisko zupełnie niezależne.

Proces, który prowadził i ruchy polityczne nie przeszkadzały mu w pracach naukowych, w r. 1858 potrafił na wstawienie się Humboldta osiedlić się w Berlinie, przed swym wystąpieniem w roli agitatora napisał już był dwa dzieła poważne naukowe, które mu między uczonymi niemały rozgłos zrobiły. Z odłamków i cytat zebranych u różnych autorów staro-greckich, odtworzył on postać Hera-

klitesa (1), filozofa, który na lat sześćset przed naszą erą, istny poprzednik Hegla, twierdził, że sprzeczności są identyczne, że niebyt ma swe istnienie, a zarazem nauczał, że państwo, jako wyraz woli ogółu, jest wszechwładném, a najwyższém jego powołaniem zajmować się uszczęśliwieniem ludzi, za najwyższą zaś cnotę człowieka uważał poświęcenie się dla dobra ogólnego. Lassalle rozmiłował się w swém bohaterze, dał mu duszę ognistą, w którą wlał własne popędy i przekonania, jednakże filologowie niemieccy wysoko cenili tę książkę i widzieli w niéj prawdziwe zrozumienie epoki i człowieka, o którym traktuje. W drugim dziele wydanym w r. 1862 „System praw nabytych" (2), porzuca już spekulacyą filozoficzną, trzyma się metody historycznéj, twierdzi, że pojęcia prawne nie mogą być absolutnémi: że własność, familia, dziedzictwo, społeczność cywilna, państwo, nie są to pojęcia metafizyczne, o którychby można rozumować jak o abstrakcyach, mogą zaś być tylko tém czém je widzimy w historyi greckiéj czy rzymskiéj lub nowożytnéj. Przyczynę wszelkich spółczesnych zatargów politycznych i społecznych upatruje w tém, że ludzie nie mają dokładnego pojęcia o *prawach nabytych;* że u narodów europejskich istnieje, słuszny zresztą wstręt do wstecznego działania prawa, jako do samowolnego naruszenia cudzéj wolności, ale rozciągają go bezzasadnie do tych wszystkich praw, które nie dotykają aktu wolnéj woli ludzkiéj, a stanowią o tém, co niezależnie od woli człowieka daje mu natura lub przyznaje społeczeństwo, co niesłusznie uważamy za prawa nabyte i co przy zmianie pojęć i instytucyj naruszoném być musi; teoretyczny ten wywód w dalszym ciągu popiera studyami porównawczémi nad prawem rzymskiém i germańskiém w kwestyi dziedziczenia własności.

Studya filologiczne ani prawne nie mogły jednak zapełnić życia Lassalla, rwał się do walki politycznéj, pragnął zostawić po sobie na świecie ślady trwalsze, aniżeli drukowane książki, chciał przyłożyć rękę do udoskonalenia instytucyj i pamięć o sobie zapisać w sercach ludzkich. Jak meteor ognisty przeleciał on wśród ówczesnego tak pełnego ruchu życia Niemiec, dwa lata niespełna trwała jego akcya polityczno-społeczna, ale zapalił pochodnię, od któréj po śmierci jego dopiero zatlił się materyał palny, obficie nagromadzony wśród robotniczéj ludności niemieckiéj.

Jerzy Brandes złożył osobną książkę ze studyów swych nad charakterem i pismami Lassalla, twierdzi on, że główną cechą jego

---

(1) Philosophie Heraklites des dunklen von Ephesus. 1857.

(2) System der erworbenen Rechte, eine Versöhnung des positiven Rechtes und der Rechts-philosophie. 1862.

osobistości była siła woli, posunięta do tego stopnia, iż nie mógł pojąć dlaczegoby nie miał, lub nie zdołał zrobić tego czego chciał. Dalej dopatruje on w nim sprzeczne popędy, które logicznie wytłómaczyć się nie dają, ale które psychologicznie nie rzadko wiążą się z sobą. Najwyższe poszanowanie dla wyższości umysłowéj i duchowéj wielkości łączyło się w nim z zasadami skrajnéj demokracyi, z przypisywaniem znaczenia liczbie i masom i z naiwną prawie wiarą w zbawcze działanie głosowania powszechnego. Uczeń metody heglowskiéj, genijalnym był w argumentacyi dyalektycznéj, ale nigdy nie błąkał się w abstrakcyach i zarówno genialną nazwać można zdolność jego w dobieraniu wyrażeń najdokładniéj odpowiadających rzeczy, którą przedstawiał, obok tego przesiąkły nawskróś realizmem nowoczesnym, przedewszystkiém praktyczny, zawsze do jednego tylko dążył celu. Umysł jego pracował ustawicznie nad wykryciem rzeczywistego stosunku pomiędzy siłą a prawem; patryota zapalony ale rozmiłowany we władzy silnéj, widział w potędze monarchii pruskiéj rękojmię przyszłości dla narodu niemieckiego i wszystkie swe usiłowania zwracał ku dobiciu się znaczenia, wpływu i władzy realnéj. Dusza jego paliła się namiętnością, ukochał słabych i cierpiących miłością prawdziwą i szczerą, ale bodaj na chwilę nie mógł się pozbyć miłości własnéj posuniętéj do zarozumiałości, do próżności nawet. Olbrzymie dzieło emancypacyi klas roboczych rozpoczyna on, nie jako doktryner w imię zasad ogólnych, ale jako polityk czystéj wody, chce przeprowadzić plan jasno wskazany i obmyślany w szczegółach, lecz rozpoczyna go sam jeden, licząc na swoje jedynie siły; wśród napaści, urągań, prześladowań, które się na niego sypią ze wszech stron, w obec obojętności tych dla których pracuje, półtora roku nadludzkich prawie wysileń poświęca na to, aby się dobić pozornego tryumfu i chwilowych oklasków tłumu robotników, a zaraz potém ginie marnie z powodu kobiety, rozkochanéj w nim namiętnie, ale zrażonéj, jedynym może w życiu krokiem, sprzecznym z jego naturą, kiedy nieusłuchał głosu namiętności i nad porwanie i ucieczkę przeniósł legalność i przyzwoitość.

Tak wygląda ten człowiek studyowany w książkach, które po sobie pozostawił, a które dzisiaj jeszcze jednają mu wielbicieli i zwolenników. Czynność jego praktyczna, chociaż nosi na sobie piętno zupełnie niepospolitego charakteru i genialnych zdolności, jednakże tak dalece nacechowana jest ciągle nad wszystkiém górującą miłością własną, tak szaloném zaufaniem w swoje własne siły, że nie można mu przyznać miana prawdziwego polityka, ani też można wierzyć w szczerość i czystość owéj miłości dla maluczkich, która o sobie zapomnieć nigdy nie umiała. Tragicznym zaiste musiał być

los człowieka, który podjął ciężar nad siły; mógł on wierzyć w prawdę swych zasad, tém bardziéj iż mniemał, że je czerpie ze źródeł nauki; ale genialny literat wykarmiony na dyalektycę, nie widział że frazes chociażby najjaskrawszy nie zwalczy interesu, że prawda nie przedziera się w umysły tłumów jasna, cała, nieskazitelna, jak ją widzimy w spekulacyi metafizycznéj lub w analizie naukowéj; w podrażnieniu namiętném nie mógł rozróżnić granic tak bardzo delikatnych w rezonowaniu samem dzielących prawdę od sofizmatu, a zaślepienie miłości własnéj kazało mu swoje sofizmata za prawdy wygłaszać; zaczął od nauczania, od tłómaczenia, ale wiedząc że go nie pojmują, a chcąc mieć zwolenników, musiał drażnić namiętności i schodził na drogi najpospolitszych agitatorów rewolucyjnych.

Kiedy w roku 1862 spór pomiędzy ministrami a parlamentem zaczynał przybierać ostry charakter, Lassalle nie mógł patrzéć na to obojętnie. Był on w bliskich stosunkach osobistych z przywódcami partyi postępowéj, przekładał im, że opozycya bierna, którą oni uważali za jedynie właściwą i do celu doprowadzić mogącą, na nic się nie zda, bo ministrowie mogą wybierać podatki bez zezwolenia parlamentu i tém łatwiéj mogą rządzić, że mają w swém rozporządzeniu wojsko i cały aparat administracyjny. Doradzał zaś jako środek skuteczniejszy zmowę czyli *strike* parlamentarny, odmówienie roboty prawodawczéj, krok to drażliwy, ale może zachwiać stałość ministrów i doprowadzić prędzéj do rozwiązania kwestyi. Postępowcy nie chcieli go słuchać, może lękali się jego zbyt radykalnych opinij społecznych, ambicyi nieograniczonéj, może skandale, których nie brakło w jego życiu, odstręczały od niego ludzi porządnych i przyzwoitych, reprezentantów bogatego i statecznego mieszczaństwa, dosyć że nietylko nie mieli ochoty iść za jego radą, ale niechcieli dać mu miejsca w parlamencie, ani w żadnym ze swoich komitetów. Poszedł więc szukać sobie zwolenników gdzieindziéj, zrażony i rozdrażniony niepowodzeniem w wyższych sferach politycznych, ufny w swoje siły, w jasne pojęcia o położeniu rzeczy i w wymowę, zamarzył o rozruszaniu ludu wyrobniczego, chciał w ten sposób zdobyć sobie prawo przemawiania w imieniu nowéj, przez siebie samego do życia powołanéj potęgi. Odważnie, a raczéj zuchwale, sam jeden, wystąpił do walki z partyą wówczas w kraju najpotężniejszą, złożoną z ludzi popularnych o rozgłośnych imionach, która miała na swe zawołanie dziesiątki gazet, setki stowarzyszeń i organizacyą gęstą siecią po całym kraju rozciągniętą.

Rozpoczął odczyty treści politycznéj w berlińskich fereinach cyrkułowych, a rozpoczął od tłómaczenia rzemieślnikom stolicy: czém jest konstytucya. Twierdził, że nie stanowią jéj spisane artykuły

prawa, ale że treścią jéj istotną jest stosunek realny sił społecznych pomiędzy sobą. Że korona, szlachta, mieszczaństwo i lud w królewstwie pruskiém mają znaczenie odpowiednie do sił moralnych i materyalnych, jakiemi mogą rozporządzać, konstytucya zaś legalnie spisana wtedy tylko może być prawdziwą i trwałą, kiedy jest rzeczywistym wyrażeniem stosunku faktycznego pomiędzy temi siłami. Pierwszy ten odczyt oburzył postępowców, w izbie panów za to bardzo mile przyjęto wiadomość o nim, a „Gazeta Krzyżowa“ uprzejmie wspomniała „o młodym żydzie, który wiedziony dobrym instynktem trafił na punkt prawdziwy.“ Lassalle nie zważając na nagany i pochwały, odpowiadając na niesłuszne zarzuty w osobnych broszurach, bo żadna z gazet liberalnych nie przyjmowała jego objaśnień, prowadził daléj rzecz swoję. W drugim i trzecim odczycie wyjaśniał całą błahość opozycyi biernéj, którą izba chce wywojować dla siebie—prawa, dla ludu—swobody; nazywał ją bękartem moralnym zrodzonym ze związku nieprawego pomiędzy poczuciem obowiązku opierania się rządowi, a tchórzostwem niedopuszczającym oporu czynnego; daléj wykładał, że w przebiegu dziejów teraz właśnie nadeszła chwila, w któréj stan czwarty ma do odegrania rolę przeważną. Oburzenie liberalnych organów wzmagało się ciągle, lud słuchał tych objaśnień zupełnie obojętnie, a prelegent zamiast torować sobie drogę do parlamentu, zdawał się owszem zagradzać ją na zawsze.

W tym czasie doszły go listy od komitetu robotników z Lipska, którzy zarówno jak on byli mocno zażaleni na „partyą postępową.“ Ze zwykłą sobie stanowczością Lassalle zdecydował się natychmiast, czując że stanowisko jego wśród stronnictw politycznych robi się nieznośném, chwycił się ręki, którą do niego wyciągano; listy otrzymał w połowie lutego r. 1863, 1-go marca ogłosił odpowiedź jako „List otwarty,“ w którym stanowczo przechodził Rubikon, ze sfery nauczania teoretycznego przerzucał się w akcyą praktyczną, a rzucając rękawicę mieszczaństwu i całemu politycznemu światu niemieckiemu, wzywał robotników by się organizowali jako ciało odrębne i myśleli sami o sobie, bo nikt pewno o nich nie myśli. Tłómaczy on robotnikom: że zarobek ich pod wpływem popytu i podaży musi się redukować do cyfry kosztu utrzymania ich życia, że przy dzisiejszym porządku ekonomicznym żadne usiłowania nie są w stanie przemódz tego *żelaznego prawa*, że w królewstwie pruskiem 89 do 96 procentów ludności żyje pod mniéj więcéj ostrym naciskiem tego prawa, że więc dla nich: samopomoc, oszczędność i wszelkie filantropijne urządzenia są tylko złudnémi marzeniami, które nigdy skutecznie działać przeciwko nędzy nie będą w stanie. Należy zaś domagać się od państwa kredytu dla stowarzyszeń wytwórczych,

które stopniowo będą mogły objąć wszystkich wyrobników i przekształcić dzisiejszy systemat przemysłowéj produkcyi. Na téj tylko drodze można myśléć o podźwignięciu moralnie i umysłowo stanu czwartego. Głosowanie powszechne — to jedyny środek, który może doprawadzić pokojowo i prawnie do udzielania robotnikom kredytu państwowego, dla skutecznego zaś dobijania się o prawo głosowania na wyborach do parlamentu, powinni oni związać się między sobą w jedno ogólne dla całych Niemiec stowarzyszenie. Kończy swój list otwarty temi słowy: „Podnoście tę chorągiew, przy niéj czeka was zwycięztwo, innéj dla was niema.“ Lassalle wiedział dobrze, że jeżeli robotnicy nie zechcą przyjąć jego teoryi, nie dadzą się poruszyć, będzie musiał dać za wygraną wszystkim swoim nadziejom, opinia potępi go jako marzyciela i wichrzyciela; liczyć na robotników nie mógł z dotychczasowego doświadczenia, ale liczył na swoje siły i śmiało rzucał się w przedsięwzięcie w nadziei, że potrafi stanąć na czele mas ludowych, wejdzie do parlamentu i tam zrównoważy wpływ i znaczenie swoich przeciwników.

Komitet lipski przyjął chętnie myśl sobie podaną i chciał zaraz zajmować się organizowaniem związku; ale cała prasa postępowa przyjęła list otwarty jednym okrzykiem zgrozy, oburzenia a nawet śmiechu, z powodu kroku tak dalece nierozważnego. Przypomniano warsztaty narodowe w pałacu Luxemburskim, w Paryżu roku 1848 i wyrzeczono, że świadomie czy bezwiednie, Lassalle robi się narzędziem reakcyi; związki rzemieślnicze, po całych Niemczech jeden za drugim, dziesiątkami całemi, oświadczały się przeciw niemu, w Berlinie nie mógł już odzywać się publicznie, krzyki, hałasy, przerywały mu mowę, dochodziło nawet do scen gwałtownych. Wyjechał więc do Lipska, tam wobec 1300 robotników zwołanych przez szewca Valteicha bronił swych zasad, a swoje *żelazne prawo zarobku* gruntował na cytatach z dzieł największych powag ekonomicznych, jak: Smith'a, Say'a, Stuarta Milla, Roschera i innych; tutaj wymowa jego odniosła pierwszy tryumf, wprawdzie kilkunastu ludzi za przewodem Bebla tokarza opuściło salę, oświadczając, że wolą trzymać z partyą postępowców, ale reszta zgromadzenia z zapałem przyjęła jego wnioski. Korzystając z tego natychmiast spisał statuta projektowanego stowarzyszenia i rozesłał je we wszystkie strony Niemiec.

Jakkolwiek powodzenie w Lipsku dodało mu otuchy i pozwalało mieć już lepsze nadzieje, jednakże bolało go mocno, że słowa jego nie wywoływały żadnego echa pomiędzy ludźmi wykształconymi i uczonymi, na których poparcie liczył napewno; mijały tygodnie, wszyscy milczeli, z pomiędzy najbliższych przyjaciół jeden tylko Lotaryusz Bucher po cichu i bardzo dwuznacznie przyznawał się do

zasad, które on z taką pewnością wygłaszał, jako niezaprzeczone prawdy naukowe. W długich godzinach rozwagi, kiedy się wytrzeźwiał z upojenia oklaskami tysiącznego tłumu, musiał przecież rozpoznawać, że chwilowy zapał i uniesienie gromady prostaczków, pod wpływem ognistéj wymowy człowieka natury energicznéj, przemija prędko, że na nim opierać planów poważnych ani budowy trwałéj nie można. Stowarzyszenia rzemieślnicze w coraz dalszych okolicach odrzucały zawsze jego propozycye, tylko we Frankfurcie nad Menem, Bernhard Beker potrafił jeden z fereinów namówić na nową naukę. Stowarzyszenia robotników w całéj dolinie Menu były przez postępowców scentralizowane w jeden związek ogólny, którym zarządzał komitet delegatów pod prezydencyą Maxa Hirscha, widząc odstępstwo cząsteczki swoich na rzecz Lassalla i chcąc zapobiedz dalszemu szerzeniu się zgubnéj doktryny, w nadziei że dysputa publiczna wypaść musi na niekorzyść Lassalla, zaproszono na 17 maja do Frankfurtu—jego i Szulce Delitzscha, prosząc ażeby wobec delegowanych w publicznéj dyspucie wykładali każdy swoje zasady. Szulce jednakże wymówił się nawałem roboty i nie stawił się na wezwanie, Lassalle przez dwa wieczory przed kilkuset ludźmi bronił swego projektu kredytu państwowego dla spółek robotników i rozwinął ostrą krytykę całego zachowania się partyi postępowéj; 50 osób opuściło salę z okrzykiem: „niech żyje Szulce Delitzsch,“ około 400 przystało na opinie Lassalla.

Wrócił z tamtąd do Lipska i 23 maja wobec 600 przyjaznie dla siebie usposobionych ludzi, zawiązał „Ogólne niemieckie stowarzyszenie robotników,“ które miało trwać lat 30, a celem jego było spokojne, na drodze legalnéj domaganie się dla ludu prawa głosowania powszechnego przy wyborach posłów sejmowych. Przewodnictwo związku należało do prezesa i 24 członków zarządu, lecz że członkowie zarządu mieli być rozrzuceni po całym kraju i prezes tylko miał prawo ich zwoływać, więc i władza nieograniczona musiała przypaść w udziale prezesowi, a to témbardziéj, że kasyer tylko za jego asygnacyą miał wydawać pieniądze; związek nie dopuszczał żadnych rozgałęzień, żadnych pobocznych stowarzyszeń, a wszyscy mieli stanowić jedność, skoro zaś w jakiéj nowéj miejscowości znajdowali się stowarzyszeni, prezes mianował tam delegata do prowadzenia interesów; wpisowe oznaczono na 6 gr. sr., a składkę tygodniową na 6 pf. Prezesem na lat pięć wybrano Lassalla, wahał się jeszcze dni parę, ale za namową hr. Hatzfeld przyjął prezydenturę i stanął na czele, ażeby kierować daléj swém własném dziełem.

Ulubionym wzorem dla niego był Cobden i jego agitacya przeciwko prawom zbożowym, marzył o tém, że potrafi znacznéj części

ludności niemieckiéj wytłómaczyć działanie praw ekonomicznych jak je sam pojmował, że wtedy na czele kilkunastu co najmniéj deputowanych znajdzie się w sejmie i wspólnemi siłami potrafią pchnąć prawodawstwo na drogę reformy społecznéj. Było to marzenie tylko, w rzeczywistości spotkał się z ludźmi, którzy nie tylko praw ekonomicznych nie pojmowali, ale dla których były one rzeczą zupełnie obojętną; ich zajmował młody i piękny pan, bardzo uczony, który wykwintnie ubrany staje wpośród nich i tak pięknie do nich mówi, i tak gorąco ich kocha, a tak dosadnie umie wyrzekać na tych, którzy się jemu sprzeciwiają. Lassalle sam narzekał pomiędzy zaufanymi: że wyrobników niemieckich trzeba jeszcze nauczyć iż są nieszczęśliwymi, bo oni nawet tego nie rozumieją; jakkolwiek umiał dobierać słowa, zestawiać je w obrazy najjaskrawsze i działać tém na wyobraźnią prostaczków, jednakże do umysłów ich te nauki przedrzéć się jeszcze nie mogły, trzeba było, co szło daleko łatwiéj, drażnić w nich uczucia, podbudzać gniew i oburzenie, łechtać ich miłość własną. Wspólnika w pracy nie miał żadnego, pomiędzy zwolennikami jego znalazł się tylko jeden człowiek, który plany jego pojmował, a zdolności umysłowe i wykształcenie wyższego rzędu zdawały się go powoływać na dzielnego pomocnika, był to adwokat z Frankfurtu Jan Szweitzer, ale ten był pomiędzy ludnością miejscową niepopularnym a nawet tak dalece nielubionym, że wszelki jego udział w robocie odstręczał adeptów; drugi—kasyer związku, düseldorfski kupiec Lewy, chociaż oświecony i rozumny ale temperamentu spokojnego, apatyczny nawet, nie mógł z natury swojéj brać czynnego udziału w agitacyi. Lassalle więc musiał sam jeden wszystkiemu starczyć, w robocie téj gorączkowéj, któréj mało kto z ludzi mógłby podołać, zużywały się jego siły, zasad swych trzymał się zawsze, ale szlachetne cele oświecenia ludu o jego interesach, podniesienia go moralnie, doprowadzenia go do samopoznania i zrozumienia swego położenia, musiały, wśród ustawicznego a nadmiernego natężenia nerwów, przekształcać się stopniowo na puste deklamacye demagoga drażniące namiętności,—dla zapewnienia sobie uznania i tryumfu.

W zarządzie znaleźli się rzemieślnicy, trochę więcéj niż ogólna masa oświeceni, ci którzy między swoimi uchodzili za mądrych, żaden z nich nie był w stanie zrozumiéć celów jakie sobie zakłada Lassalle, ani ocenić środków któremi można celu się dobijać; dla każdego z nich interes miejscowy był rzeczą najważniejszą, każdy chciał coś robić na miejscu, widziéć skutek swych zabiegów, za najważniejsze zadanie swoje uważali podtrzymywanie ducha dobrego i każdy po swojemu oto się starał, ten organizował chóry śpiewaków, ów zbierał składki na cele dobroczynne, a inny znowu urządzał zabawy

publiczne. Członkowie nie płacili składek, a niewielka ilość pieniędzy jaka się zbierała rozchodziła się na potrzeby agitacyi miejscowéj. Prezes musiał z własnych pieniędzy opędzać rozchody ogólne związku, a przytém nauczał, przekonywał i objaśniał, tłómaczył, rozkazywał i groził,—listy, odezwy, wezwania, cyrkularze, broszury sypały się jak z rogu obfitości z pod niezmordowanego pióra i niewyczerpanéj fantazyi jego, ale jak w beczce Danaid ginęło wszystko w obojętności masy; na te wszystkie odezwy nikt nieodpowiadał, albo co gorzéj odpowiadali tylko ci ludzie głupi, którzy są prawdziwą klęską każdéj rozpoczynającéj się roboty, amatorowie reformatorzy, którzy ze wsząd odpychani, jak szerszenie lub osy miód, obsiadają każdą robotę cudzą, żeby z niéj dla swych błahych planików jakąś korzyść wyciągnąć; kilka małych gazetek oświadczyło się za Lassallem, ale i te zapewne liczyły na jakieś subsydya od związku, rzeczywistéj usługi żadna z nich wyświadczyć nie była wstanie. Po trzech miesiącach wysileń i pracy, w końcu sierpnia, związek liczył tylko 900 członków zapisanych imiennie w regestrach, ale więcéj niż połowa z pomiędzy nich nie opłacała składek, czynnych zaś było tylko kilkudziesięciu. Boleśny to był zawód dla Lassalla, któremu się roiły setki tysięcy popleczników i zwolenników, i który powiadał, że ażeby wystąpić poważnie, jako godny reprezentant sprawy ludowéj, ażeby zaimponować nieprzyjaciołom i być przez nich szanowanym, musi liczyć w swym związku co najmniéj siedm razy tyle ludzi ile ich ma National-ferein.

Szukając dalszych zwolenników wybrał się Lassalle w podróż do okolic nadreńskich, tam między wyrobnikami oświata była bardziéj rozpowszechniona, liczył więc na to, że ich więcéj sobie zjedna; niezapominając zaś o wywołaniu efektu, ogłosił światu że wyjeżdża nad Rem odbywać „przegląd wojska.“ Ostatnich dni września w kilku miasteczkach miał mowy, które tak ogromne zrobiły na słuchaczach wrażenie, że tryumf jego zdawał się już bliskim, tłumy robotników przez dni kilka roiły się koło niego w najwyższym uniesieniu, zagłuszając go oklaskami i otaczając ciągłemi owacyami. W ciągu tych dni kilku upijał się sam Lassalle słodkim nektarem popularności, widział przed sobą, dotykał rękami dziesiątków tysięcy zapalonych zwolenników, nie była to przecież mara wyobraźni, ale rzeczywistość dotykalna, mógł już wierzyć na seryo, że rozbudził życie w masach, że powołał do życia nową siłę społeczną. Treścią mów jego był zjazd książąt we Frankfurcie świeżo odbyty i biczowanie prasy; wprawdzie prasa liberalna t. j. wszystkie organa partyi postępowéj prześladowały go niesłusznemi zarzutami i drwinami, zaskarżały coraz głośniéj że się oddał reakcyi i służy ministrom; ale i on w kryty-

ce swojéj zapomniał już o granicach przyzwoitości i dobrego smaku nawet, mówił dużo o swojéj miłości dla ludu, ale ludowi temu nie tłómaczył już jak ma się dobijać dobrobytu i praw politycznych, lecz narzekał coraz hałaśliwiéj na egoizm, tępość i obłudę mieszczaństwa, powtarzane zaś kilkakrotnie z coraz jaskrawszém zabarwieniem zestawienie, pomiędzy babską paplaniną postępowców a męskimi czynami ministra prezydenta hr. Bismarka zdawały się uzasadniać i usprawiedliwiać robione mu zarzuty, że przeszedł na stronę reakcyi.

Pod wrażeniem tryumfu wracając z nad Renu Lassalle postanowił jak się wyrażał „zawojować Berlin,“ ułożył odezwę do klas roboczych stolicy, w stylu biuletynów Napoleona wielkiego, wzywając ich aby się łączyli z braćmi z nad morza, z Saxonii, i z nad Renu, którzy wszyscy już idą pod jego chorągwią ku zdobyciu lepszéj przyszłości dla siebie i dla całego narodu niemieckiego. Odezwa ta rozrzucona po mieście w kilkunastu tysiącach egzemplarzy chybiła zupełnie swego celu. W Berlinie propaganda udać się nie mogła z powodu: najprzód wszechwładnego tam wpływu prasy postępowców, a powtóre dla tego że policya, nie chcąc w stolicy dopuścić scen podobnych do tych, które się działy w małych miasteczkach, założyła swe veto. Lassalle probował mówić w fereinach, ale wszędzie znajdowali się zaraz jacyś ludzie, którzy wszczynali nieporządki i tumulty, tak że mówienie stawało się niepodobieństwem: spróbował przemawiać publicznie, po wielu trudnościach znalazł nareszcie salę, którą mu na to ofiarowano, ale tu wśród mowy przerwano mu i zaaresztowano, a chociaż po paru dniach, za złożeniem kaucyi wyszedł na wolność, powtórnie jednak nie mógł już wystąpić. W początku r. 1864 związek jego w Berlinie liczył tylko 35 członków.

Zima przeszła dla Lassalla obok pracy nurzącéj i wyczerpującéj siły, na nie mniéj nurzących wątpliwościach. Umarł był król duński i kwestya Szlezwig—Holsztyńska stanęła na porządku dziennym spraw niemieckich. Rozpoczęto wojnę bez wyraźnego planu co zrobić z księstwami; jeżeli hr. Bismark mógł nie wypowiadać swych zamiarów i czekać co wskażą okoliczności, Lassalle, który podjął się kierownictwa ludu, czuł konieczność wskazania czegokolwiekbądź za cel jego żądaniom, a musiał się obawiać, że okoliczności mogą zaprzeczyć jego wyrokowi, przewidywał przytém że hr. Bismark, ażeby się uwolnić od opozycyi mieszczaństwa i osłabić wpływy książąt niemieckich, użyje prawa głosowania powszechnego dla złożenia parlamentu z nowych żywiołów. W takim razie prawo głosowania byłoby oktroyowane z góry, pomimo Lassalla jego związku i całéj jego agitacyi, na ten wypadek potrzebował mieć wyborców wielu, w wielu miejscowościach i być ich pewnym ażeby zająć w sejmie stanowisko poważne;

stąd coraz częstsze pochwały dla prezesa ministrów, ztąd chęć wyrozumienia go, starania o rozmowy z nim, które już na seryo zaczynają podawać Lassala w podejrzenie, że staje się stronnikiem rządu i reakcyi. Zarzuty to niewątpliwie błahe, śmieszne nawet względem człowieka, którego na całém terytorium pruskiem, od Królewca do Kolonii, prokuratorya na każdym kroku prześladuje procesami, nie przepuszczając jednego miesiąca, aby go na nowo przed kratki sądowe nie powołać; ale w obec nieprzyjaźni wszystkich stronnictw politycznych, ale w obec własnych stronników, ludzi niedaleko widzących, nie znających się zgoła na polityce i szukających zawsze namacalnych przyczyn każdéj zmiany, któréj zrozumieć nie mogli, zarzuty te i dowody były zupełnie dostateczne dla pomawiania go o zdradę.

Wewnętrzne sprawy związku szły zawsze nie najlepiéj, członkowie zarządu, znakomitości rzemieślniczego świata po małych miasteczkach, niechętnie patrzali na władzę prezesa, nie bardzo ochoczo poddawali się jego rozkazom, stąd pomiędzy nimi ciągłe usiłowania zaprowadzenia decentralizacyi, oswobodzenia się od kierownika, który im ciężył; nawet sekretarz związku szewc Valteich, ciągle wszystkim tłómaczył konieczność niezależności miejscowych organów. Lassalle nie mógł tego dopuścić, bo jeżeli związek mógł mieć jakieś znaczenie i do czegokolwiekbądź doprowadzić, to jedynie tylko jako całość jako stowarzyszenie ogólne wszystkich robotników niemieckich, a rozpadając się na części niezależne tracił ten charakter, na zewnątrz przynajmniéj poważny. Trzeba więc było bronić się od zarzutów, utrzymywać w karności stowarzyszonych, pobudzać do czujności i działania; trzeba było bronić się przed sądami w coraz to nowych procesach, bo każda obrona wypowiedziana w obec trybunału, skoro była potém drukiem ogłoszona, dawała powód do nowego procesu; trzeba było spisać samą treść nauki swojéj, żeby w téj książce agitatorowie znaleźli wyjaśnienie dostępne rozlicznych kwestyj teoretycznych, rodzących się co chwila a tak mało i tak słabo przez nich pojmowanych. Téj ostatniéj potrzebie zadość uczynił Lassalle pisząc w ciągu trzech miesięcy gruby tom „Herr Bastiat Schultze v. Delitzsch oder Kapital und Arbeit,“ iskrzący się dowcipem, ale zarazem w części krytycznéj pełny niesmacznych zarzutów przeciwko osobie przeciwnika i przeciw teoryom ekonomicznym wolno-handlowym czyli manczesterskim; w części drugiéj w dziwnie plastyczny sposób wyłożone są tam teorye Marxa o kapitale i pracy.

Po zimie przebytéj w tak ciężkich warunkach, Lassalle wyczerpany prawie na siłach, z nerwami choremi do takiego stopnia, że spać już zupełnie nie mógł i codzień zrana po bezsennéj nocy wstawał

z gorączką, zapragnął odświeżyć się i pocieszyć się nowémi tryumfami, wybrał się więc znowu do prowincyj nadreńskich. Tam w miasteczkach fabrycznych powtórzyły się znowu sceny przeszłéj jesieni piękniejsze jeszcze, przy pogodzie majowéj, niezmiernéj mocy kwiatów, któremi go wszędzie zarzucono, z entuzyastycznym udziałem kobiét w owacyach na publicznych gościńcach wyprawianych, z bramami tryumfalnemi, iluminacyami, podawaniem dzieci do błogosławienia, i wszystkiemi oznakami uwielbienia, których lud prosty nie szczędzi swoim ulubieńcom. Trzeba było czemś za to odpłacić. Charakter Lassalla musiał się bardzo zmienić w ciągu tych gorączkowych usiłowań około zbudowania dla ludu lepszéj przyszłości, a dla siebie podstaw do sławy i znaczenia, bo kiedy przed rokiem proponowano mu aby w sprawozdaniach podwajać liczbę stowarzyszonych odpowiedział na to wspaniale: „nam kłamać nie godzi się“—teraz zaś, korzystając z tego że niedawno król pruski przyjmował uprzejmie deputacyą tkaczów ze Szląska i przyrzekł im zaopiekować się nimi i dostarczyć im pieniędzy na założenie warsztatu, kiedy wszystkim było wiadomo, że deputacya i przyjęcie i obietnica były urządzone przez ministra w celu zagrożenia postępowcom; daléj korzystając z tego, że Biskup Ketteler, w niedawno wydanéj broszurze, jemu Lassallowi przyznawał słuszność w sporze jego z Szulce-Delitzsch‘em, niewahał się trybun wypowiedzićć zgromadzonemu ludowi, że sprawa jego tak dalece jest pewną tryumfu iż już obecnie może liczyć na poparcie i opiekę tronu i ołtarza. Po tym tryumfalnym pochodzie, musiał stanąć przed sądem w Düsseldorfie, gdzie skazany był na pół roku więzienia, założył apelacyą od wyroku i odjechał na kuracyą do Rigi Kaltbad. Tam musiał jeszcze napisać grubą broszurę przeciwko Valteichowi, ażeby się go pozbyć ze związku. „Dziwny los człowieka genialnego“—powiada historyk demokracyi socyalnéj niemieckiéj Mehring—„który rozpoczyna swój zawód wielkim dziełem o Heraklicie, ażeby go kończyć panfletem na szewca.“ Nazajutrz po odesłaniu rękopismu do druku spotkał na Rigi pannę Dönniges, i rozpoczęła się plątać około niego intryga, która doprowadziła go do pojedynku i rany śmiertelnéj—zakończył życie w Genewie 29 sierpnia 1864 r.

W dniu śmierci Lassalla „ogólny związek robotników niemieckich“ liczył 4610 członków zapisanych w regestra w 31 miejscowościach, pomiędzy nimi było tylko dwóch ludzi, którzy siłą ducha, nauką i talentem mogli równać się z przywódcami innych partyj, byli-to Jan Szwejtzer i Wilhelm Liebknecht; żaden jednak nie objął sukcesyi po mistrzu i dopiero znacznie późniéj dostały się im stanowiska

naczelne, ale w dwóch przeciwnych sobie i nieprzyjaznych odłamach stronnictwa.

Na tém się skończył akt pierwszy ruchu socyalistycznego wśród ludności niemieckiéj. Zaraz że, po kilku tygodniach rozpoczęła się akcya z drugiéj strony, z Londynu, pod wpływem i kierunkiem Karola Marxa, o wiele różna od agitacyi Lassalla.

Lassale wzywał pomocy rządu dla wyrobników, chciał z budżetu państwa czerpać środki, kóreby użyte w sposób właściwy usunęły przewagę kapitału nad pracą, spodziewał się, że proponowane przezeń spółki wytwórcze staną się najdogodniejszą formą produkcyi przemysłowéj, zapanują we wszystkich gałęziach stosunków ekonomicznych i wpłyną na wykształcenie się nowego gatunku własności, nie tak absolutnie osobistéj jak ją dzisiejsze prawo pojmuje i że się przez to otworzy droga dla własności zbiorowéj. Ale jakkolwiek teorye jego bardzo zbliżały się do komunizmu, nigdy jednak, w odezwach swych do robotników nie powoływał się na swoje teorye prawne, ani im mówił o zniesieniu prawa własności; o pomoc dla nich wołał do rządu istniejącego, specyalnie do rządu pruskiego, a w gorącym swym patryotyzmie chciał tego dokazać, aby przekształcenie stosunków społecznych, wedle jego pojęć o sprawiedliwości dokonane, dało rządowi pruskiemu w ręce siłę dziesięćkroć większą od siły armii regularnéj, i zabezpieczyło na zawsze wielkość narodu niemieckiego dając mu pierwszą rolę wśród ludów cywilizowanych. Był on socyalistą radykalnym, bo wywołując ruch w masach ludu chciał przez to zmusić rząd do wzięcia na siebie inicyatywy w przerabianiu porządku społecznego, do czego żaden rząd wedle pojęć prawa i nauk społecznych powołanym nie jest; ale to ustawiczne zachęcanie robotników aby trzymali się strony rządu i od niego wyglądali lepszéj przyszłości, było, wedle jego rozumienia rzeczy, gwarancyą porządku w przeprowadzeniu reform; jakoż nigdy nie doradzał gwałtu, nie nauczał że siłą pięści należy zburzyć istniejący stan rzeczy. W ciągu jednego z licznych procesów, w których obrony jego były zwykle nierównie gwałtowniejsze od przemówień do robotników, powiadał sędziom: „Czyż na to dwadzieścia lat życia poświęciłem nauce, czy na to we własnéj myśli przerobiłem cały proces rozwoju ludzkości w ciągu wieków, od filozofii starożytnéj i prawa rzymskiego do nowożytnéj ekonomii politycznéj przestudyowałem wszystko co myśl ludzką zajmowało, ażebym dzisiaj miał dawać w ręce proletaryatu pochodnię do rozpalenia pożaru, na to trzebaby być waryatem, a głupcy tylko mogą oto posądzać takiego jak ja człowieka.“ Rewolucyonista z natury, uznawał konieczność i żądał gorąco aby się wszystko w społeczeństwie zmieniło, ale od zarzutu nawoływania do rewolucyi

bronił się, twierdził że on jéj robić nie chce, ale ponieważ ona jest konieczną, więc przyjść musi. A jeżeli klasy rządzące nie potrafią przedsięwziąść w porę kroków stanowczych, opierając się na jasnych wskazówkach nauki i rozumu, nie zechcą z dobréj woli przystąpić do reform koniecznych i przezto zapewnić im wszystkie błogosławieństwa roboty spokojnéj, nadejdzie czas, którego nikt przewidziéć nie może, ale kiedy miara cierpień przewyższy cierpliwość ludu, rewolucya zjawi się sama z nożem i pochodnią i w wielkim kataklizmie pogrzebać może wszystkie najcenniejsze nabytki cywilizacyi.

Sam jeden chciał dźwignąć ciężar olbrzymi reformy społecznéj, mówił sam jeden a nikt prawie go nie rozumiał ani zwolennicy ani nieprzyjaciele, cały ogrom nauki, najpiękniejsze talenta człowieka publicznego, geniusz stylu i wymowy wszystko to nie dało mu powodzenia stałego. Przeciwnicy raczéj wyśmiewali go aniżeli rozbierali i krytykowali na seryo jego myśli i projekta, robotnicy zagłuszali go oklaskami, osypywali kwiatami, ale myśli jego rozumiéć nie mogli, bo po kilku chwilach uniesienia i zachwytu, wracali do stanu obojętności, pracując nad zadaną w fabryce robotą.

II.

W kilka tygodni po śmierci Lassalla d. 28 Września, w Londynie na meetingu w St. Martins Hall powstaje pierwsza myśl zawiązania „Stowarzyszenia robotników międzynarodowego“ owéj smutnéj sławy i pamięci „Międzynarodówki“, która przez lat blisko dziesięć była postrachem wszystkich rządów, wszystkich ludów Europy i Ameryki, a któréj ojcem rodzicielem, patronem i kierownikiem był Karol Marx.

Marx i Lassalle (1) mieli kilka cech zewnętrznych wspólnych— obadwaj byli pochodzenia Żydowskiego, obadwaj przyszli na świat w rodzinach zamożnych zajmujących w społeczeństwie stanowisko niezależne i poważane, obu trawiła nieustannie gorączka ambicyi, i oba byli obdarzeni pracowitością niepospolitą. Ale daléj nie szły te podobieństwa; Marx przewyższa Lassalla niezmiernie obszerną znajomością faktów życia ekonomicznego, konsekwentniejszy jest w rozumowaniu i pojmowaniu życia, nie ma w naturze swéj tych sprzeczności, któreśmy widzieli w Lassallu, ten zaś o wiele był wyższym

(1) Charakterystykę niektórych głównych działaczy podajemy wedle wyżéj wskazanéj książki Mehringa, używając niekiedy własnych jego wyrazów.

świetnémi talentami, instynktem organizatorskim i zdolnością do trafnych poglądów politycznych. Lassalle skłonny do popędów najszlachetniejszych, do zapału, ożywiony silném poczuciem patryotyzmu, w błędach swych i wybrykach demagogicznych wzbudza sympatyą, tyle w nim czuć zawsze ognia i życia. Marx zawsze oblicza, grzebie się w cyfrach, swobodnie oddycha tylko w sferach abstrakcyi, usiłuje oderwać ludzi od wiążącego ich z ziemią uczucia narodowości, a kosmopolitzm zdaje się być dla niego jedynie życiodajną atmosferą, w proklamacyach swych zaostrza zimne i zatrute antytezy, nie zapala ludzi ale ich jednych przeciw drugim podjudza. Lassalle gwałtowny, namiętny, nieoględny, zuchwały, często grubijański, wrzał gniewem dzikim, ale był to gniew ludzki; Marx w polemice swéj spokojny, ale czuć w nim małostkowość, skryte plany i chęci i wstrętną naturę podstępnego działacza,—mówi to tylko czego mu w danéj chwili potrzeba. Poświęcił on całe swe życie i wszystkie siły naukowemu uzasadnieniu teoryi komunizmu, w najbogatszéj bibliotece świata w Britisch Museum, pracuje już od lat trzydziestu, przestudyował tam cały niezmierny materyał ekonomiczny, dokumenta życia narodu Angielskiego z lat kilkuset, i wszystko to musi mu służyć jako dowód: że jedynie gwałt i siła mogą światem rządzić. Publicznie odzywał się bardzo rzadko, plany swe układał przy pomocy niewielu współpracowników, tłómaczył je w zamkniętych komitetach, dzieła jego naukowe tak są przepełnione niezrozumiałémi wyrazami heglowskiéj dyalektyki, że czytać je a tém bardziéj rozumiéć mało kto może, dlatego osobistość jego dotychczas bardzo mało znana, chociaż imię jego od lat dwudziestu służy za sztandar tym wszystkim, którzy się porywają do obalenia istniejącego porządku. Powiadają, że najtrafniejszą charakterystykę jego skreślił jeden z jego wielbicieli i stronników, emigrant pruski, były porucznik Techów. „Zrobił na mnie wrażenie—powiada on—nietylko umysłowéj potęgi pierwszego rzędu, ale i osobistości znaczącéj. Jemu jednemu pomiędzy nami można przyznać, że biegłym jest w sztuce panowania: wśród ważnych okoliczności, niezapominając o szczegółach, nie zgubi się nigdy w ich chaosie. Dla celów i prac naszych wielka szkoda, że człowiek ten przy tak wzniosłym umyśle nie ma serca szlachetnego, jestem przekonany, że ambicya osobista, do niebezpiecznego stopnia rozwinięta, wyniszczyła w nim wszystko co być mogło dobrego w jego naturze. Drwi on sobie w duchu z prostaczków, którzy za nim powtarzają jego katechizm proletaryusza, drwi tak samo z komunistów naiwnéj wiary jak i z mieszczaństwa, które się go lęka. Szanuje jednych tylko arystokratów, i to prawdziwych, którzy z pełną świadomością i mocnym przekonaniem rolę swą odegrywają umiejętnie;

żeby ich usunąć od panowania i władzy, potrzebuje siły, którąby mu była posłuszną, znajduje ją w proletaryacie, dla tego system at swój cały przystosował ku wywyższeniu proletaryatu. Pomimo ciągłych z jego strony protestacyj, z obcowania z nim wyniosłem przeświadczenie, że ostatecznym celem wszystkich jego robót i usiłowań jest osobiste jego panowanie."

Międzynarodówki, jako stowarzyszenia, nigdy rządy w Niemczech nie uznawały, jednakże zasady tego stowarzyszenia, t. j. cała nauka Marxa, zaraz że zaczęła krzewić się na ziemi niemieckiéj, lat dziesięć ścierały się te opinije z tradycyą pozostawioną przez Lassalla, aż w r. 1875 odniosły tryumf zupełny i dzisiaj stanowią treść myśli i dążności zarówno jak i program działania partyi demokracyi socyalnéj, dlatego musimy, chociażby w najkrótszym zarysie, przesunąć przed oczami czytelnika wspomnienie o powstaniu i życiu międzynarodówki.

W Anglii i we Francyi bardzo często słyszéć można opowiadania o niespokojném usposobieniu robotników fabrycznych, częste przesilenia przemysłowe w téj lub owéj gałęzi produkcyi, albo zmowy robotników i zawieszenie roboty w celu uzyskania wyższych zarobków tłómaczą to dostatecznie. Wojna amerykańska zrządziła wielkie zamieszanie w przemyśle tkackim, bo nagle zaczęło braknąć bawełny, nastały liczne bezrobocia, wywołujące poważne obawy o sam los przemysłu, że zaś polityka angielska była przyjaźniéj usposobiona dla południowych stanów Amerykańskich broniących niewoli, nie zabrakło więc agitatorów, którzy całą winę wojny zwalali na rząd angielski, a robotnicy pod wpływem tych wieści zaczęli czynniéj urządzać pomiędzy sobą stowarzyszenia ku wzajemnéj pomocy i podtrzymaniu wspólnych swych wobec fabrykantów interesów. W r. 1862 z inicyatywy Napoleona III na wystawę do Londynu przybyła deputacya robotników francuskich, była tam uprzejmie przyjmowana i fetowana, przy ucztach i naradach lubowano się w podnoszeniu wspólnych wszystkim robotnikom interesów, w omawianiu jednostajnéj ich we wszystkich krajach pozycyj. Potém przejazdy te deputacyj rozmaitych do Londynu francuzów, do Paryża anglików powtarzały się dość często, wmięszały w to kwestye polityki europejskiéj i Napoleon patrzał na to chętnie bo miał nadzieję, że w ten sposób będzie mógł oddziaływać na ministeryum Palmerstona, i usposobi go lepiéj dla swych planów. Nie domyślano się wtedy, że Marx oddawna zamieszkały w Londynie, już wpływami swemi otoczył te zjazdy i narady. Zwołano meting do St. Martins Hall na 28 września 1864 r., w celu podania petycyi Palmerstonowi w sprawie powstania polskiego, deputaci robotników francuskich

przybyli na ten meeting, gdzie po kilku przemowach wyrażających współczucie dla ówczesnego ruchu, agenci Marxa zainaugurowali dyskusyą nad smutnym stanem wyrobników na całym świecie i postawili wniosek: ażeby obmyślić środki działania wspólnemi siłami ku polepszeniu tego stanu; wniosek przyjęto, wyznaczono komisyą, której poruczono spisać program i statuta stowarzyszenia międzynarodowego dla opieki nad interesami robotników w Europie i Ameryce. W komisyi znalazło się kilku robotników angielskich i kilku członków innych narodowości, pomiędzy nimi za Niemcy zasiadł Marx.

Znalazłszy się w ten sposób na dawno pożądaném stanowisku, Marx musiał najprzód usunąć niebezpieczną konkurencyą. Niezaprzeczenie przewyższał on wszystkich kolegów swoich nauką, energią, bystrością umysłu i zdolnością do pracy, ale obok niego zasiadł Wolf, sekretarz Mazziniego, a Mazzini był powagą europejską wśród rewolucyonistów, niedawna zaś podróż Garibaldiego po Anglii zrobiła imię jego bardzo popularnym pomiędzy robotnikami angielskimi, jakoż do Mazziniego zwrócono się z prośbą o ułożenie planu działania; odpowiedział on prędko na wezwanie i podał plan ułożony w duchu silnéj centralizacyi, na wzór towarzystw tajnych, których kierownikiem był tak długie lata, wskazywał cele przeważnie polityczne, wyrażał się zaś nieprzyjaźnie nawet o walce pomiędzy klasami społeczeństwa. Nie było to po sercu wielu członkom komisyi, anglicy przedewszystkiém nie widzieli potrzeby działania politycznego a pragnęli pozostać w sferze interesów ekonomicznych, Marx skorzystał z tego usposobienia, zachęcał do opozycyi i krytyki, Mazzini urażony usunął się i cofnął swój plan, a cała robota przeszła w ręce Marxa.

Wystąpił on natychmiast z programatem, w którym powtarzał treść proklamacyi swojéj z roku 1847 i kończył go temiż samemi słowy: „Proletaryusze wszystkich krajów jednoczcie się.“ Wedle programu jego, przyczyną nędzy społecznéj, upośledzenia duchowego, podstawą i zasadą niewoli we wszystkich formach jakie ona w biegu dziejów przybierała od indyjskiego Pariasa do współczesnego proletaryusza, była i jest gospodarska bezwładność wyrobnika, zależność jego zupełna, a co zatém idzie i uleganie konieczne przywłaszczycielom środków i narzędzi do pracy, czyli samych źródeł życia. Więc emancypacya ekonomiczna wyrobnika jest najważniejszym i jedynym celem, któremu jako środek służyć musi każdy ruch polityczny. Przeprowadzić emancypacyą robotnika może tylko sam lud pracujący, a robić to powinien tém chętniéj, że podjęta przezeń w tym celu walka nie dobija się o żaden przywiléj, o żadne szczególne dla siebie prawa, a li tylko o zniesienie i zniszczenie raz na zawsze

panowania jakiejkolwiekbądź klasy, jakiegokolwiek przywileju. Wszystkie dotychczasowe w tym celu usiłowania bywały bezskuteczne z powodu braku jedności i solidarności pomiędzy robotnikami rozmaitych fachów i braku porozumienia pomiędzy klasami roboczémi krajów cywilizowanych. Wyzwolenie wyrobnika nie jest i być nie może zadaniem lokalném ani narodowém, ale zadaniem społeczném, rozwiązanie jego obchodzić musi zarówno wszystkie kraje, w których się rozwija społeczeństwo nowożytne, dokazać zaś tego mogą jedynie usiłowania zgodne i jednostajne robotników wszystkich krajów.

Program ten orzeka tylko zasady, dała się jednak z niego wyprowadzić cała ewangelia dzisiejszego komunizmu niemieckiego; poparty adresem inauguracyjnym powołującym się, chociaż fałszywie, na świadectwo samego Gladstone'a o wzrastającéj ciągle nędzy robotników, podobał się on komisyi londyńskiéj i był przez nią zaakceptowany w całości. Ogłoszony zaraz drukiem razem ze statutami stowarzyszenia wywołał w całéj Europie przerażenie, wskazał ludziom myślącym i tym wszystkim, którzy cokolwiek bądź posiadali, czemkolwiek bądź się rozporządzali, że zaprzeczono im prawa do posiadania i do zarządzania, że się znalazła jakaś siła nowa, która zabiera się do wystąpienia czynnego, że sile téj na imię liczba a wielkość jéj niewiadoma, że ona niesie ze sobą plany nieznanych dotychczas porządków, zamierza świat przekształcić.

Kongresy międzynarodówki zwoływane corocznie, składające się z przedstawicieli robotników wszystkich krajów, starały się uplastycznić te zasady, nadać im formę praktycznych przepisów i występowały z tém coraz to śmieléj coraz to dobitniéj; bo tutaj, jak w każdym ruchu, kto szedł najdaléj, na tego wszyscy musieli się oglądać i krok swój stosować do jego chodu. W r. 1866 uchwalono, że należy starać się osiągnąć władzę w państwach, znieść wojska stałe i podatki pośrednie i dążyć do wyzwolenia robotników. W r. 1867 uznano za słuszne, ażeby koleje żelazne i wszelkie środki obrotu handlowego przeszły na własność rządu, coby posłużyło do skruszenia monopolu kapitału, instytucyj zaś współdzielczych produkcyjnych nie należy uważać za doskonałą formę przemysłowéj roboty, bo one mogą wywołać formowanie się stanu piątego. W r. 1868 stają decyzye, że kopalnie węgla i metalów, ziemia uprawna, lasy, łąki etc. mają być własnością ogółu, eksploatowane będą przez stowarzyszenia robotników pod zwierzchnią administracyą rządu; wyrób w całości swojéj ma należeć do robotnika, renta, procent, zyski jako niesłuszne wymagania kapitału mają być zniesione raz nazawsze.

Po czterech latach swobodnych narad i dyskusyj okazało się, że Marxa można prześcignąć w podawaniu projektów. Bakunin, stary rewolucyonista z roku 1848 i 49, który przed kilku laty potrafił był z Syberyi zbiedz do Europy, nazwany później apostołem zniszczenia, wtedy już zaprzeczył potrzebie istnienia jakiegobądź rządu, powstał nawet przeciwko moralnéj dyktaturze Marxa, założył osobne swoje „Aliance de la démocratie Socyaliste“ i dał początek nowéj gałęzi roformatorów anarchistów. Odtąd ruch cały socyalistyczny dwoi się, kongresy rzadko kiedy dochodzą do konkluzij. W r. 1869 stanowią, że rada generalna międzynarodówki niema zarządzać stowarzyszeniem, lecz tylko pośredniczyć pomiędzy narodowościami, w każdym zaś kraju partya robotników t. j. demokracyi socyalnéj powinna dążyć do centralizowania się. Potém wojna r. 1870 na lat parę przerywa zbieranie się kongresów, a w roku 1872 na kongresie w Haadze, pomimo osobistego wystąpienia Marxa, międzynarodówka rozpada się ostatecznie, odwrót swój Marx maskuje wnioskiem przeniesienia rady generalnéj do Ameryki, na grunt do działania dogodniejszy, w r. 1873 odbywa się jeszcze kongres w Genewie, ale już w dwóch oddzielnych grupach, potém wszystko cichnie, ażeby jeszcze raz w roku 1877 odezwać się kongresem wszechświatowym, na którym uznano ostatecznie, że zgoda pomiędzy frakcyami jest niemożebną, że jednak powinny one szanować siebie nawzajem, nie przeszkadzać jedna drugiéj w działaniu, bo cel do którego dążą, ideał który im przyświeca jest w najogólniejszém znaczeniu wspólny.

Kongresy i uchwalone na nich wnioski podtrzymywały znaczenie międzynarodówki, nie tyle zapewne służąc do zjednoczenia usiłowań adeptów nowéj nauki, ile szerząc obawy i podejrzenia wśród wszystkich klas spokojnie pracującéj ludności. W istocie czemże była międzynarodówka. Zasady przez nią głoszone, upozorowane wymiarem sprawiedliwości dla słabych i ubogich zawsze były niejasne, a przynajmniéj o sformułowaniu ich w wyraźny artykuł prawa obowiązującego i do wykonania możebnego nikt nigdy nie myślał; ale sam sztandar wywieszony już miał znaczenie ogromne, służył on, jeśli się tak wyrazić wolno, za moralny punkt zborny, ku któremu kierowały się dążenia wszystkich niezadowolnionych ze swéj naświecie pozycyi i dlatego pragnących zmiany jakiejś ogólnéj w dzisiejszym porządku społecznym. Sztandar ów trzyma człowiek bardzo rozumny, sam nadewszystko władzy pragnący, nie cofający się przed niczém kiedy chodzi o szerzenie idej, które mu władzę dać mogą; zna się on doskonale na wszystkich środkach propagandy, wydaje coraz to nowe hasła, usiłuje wyzyskać każdy ruch malkontentów ispożytkować go na cele rewolucyjne, dlatego budzi usta-

wicznie niepokój w umysłach; myśli jego znajdują we wszystkich krajach śmiałych prozelitów, ale cele jego tak niezmiernie ogólne, tak powszechne, że akcya praktyczna być może tylko bardzo małą. Marx nie lęka się żadnych zarzutów, nie cofa się przed żadnym środkiem, któryby urok otaczający jego osobę i jego dzieło mógł powiększyć; głosi zuchwale, że on dostarcza pieniędzy wszystkim w całéj Europie robotnikom, którzy zmowy zawiązują i roboty odmawiają, chociaż bodaj nigdy najmniejszéj sumy udzielić im nie był w stanie; dowiedzioném jest, że ani komuna paryska, ani rewolucye w miastach południowéj Hiszpanii nie były zgoła jego dziełem, a jednak głośno odpowiedzialność za to na się przyjmuje, dobija się o nią jako zaszczyt i przez to potęgę swoję w oczach nieprzyjaciół podnosi do wielkości olbrzymiéj.

Jako działanie praktyczne, jako konspiracya, przygotowanie do wybuchu i przewrotu społecznego, międzynarodówka nigdy zdaje się nie miała doniosłego znaczenia. Liczba jéj członków rzeczywistych nigdy nie była wielka, delegowani na kongresach mieli reprezentować setki tysięcy ludzi, jednakże pełnomocnictw od tych mas nie mieli nigdy, ani nawet wybierani byli przez kogokolwiek bądź, sami mianowali siebie delegatami, sami oznaczali liczbę swych mocodawców. W Haadze na jednym z ważniejszych kongresów, na którym Marx osobiście staczał walkę z opozycyą, widziano ludzi, którzy nigdy i nigdzie nie mieli żadnego znaczenia. Za Zürich wystąpił jeden z reporterów gazet berlińskich, który niewiadomo zkąd mandat wydostał, a znalazł się tam po to, ażeby wieści z kongresu przesyłać do feodalnych mieszczańskich gazet; za New-York stawał Hepner, młody żyd z poznańskiego; Berlin reprezentował Milke, drukarz, rzemieślnik cichy i skromny, nie mający żadnego znaczenia między towarzyszami. W r. 1870 kiedy międzynarodówka była u szczytu sławy i wpływów, Marx w liście pisanym do p. Bracke, kasyera organizacyi w Niemczech oznajmuje, że „finanse rady generalnéj stale trzymają się niżéj zera, wielkości ujemne rosną ustawicznie.“ Twierdzić więc wolno, że ani liczne szeregi utrzymywanych w porządku i karności stowarzyszonych, ani wielkie sumy pieniędzy nigdy nie stanowiły siły, na któréj międzynarodówka oprzećby mogła działanie, a że jedynym środkiem skutecznym utrzymującym pozornie jedność organizacyi, podającym hasła, wskazującym środki do agitowania, był niepospolity rozum samego Marxa i ślepa wiara, jaką w nim pokładali przywódcy ruchu w rozmaitych krajach. Kiedy téj wiary nie stało, kiedy Bakunin w imię anarchii, która obiecywała przewrót o wiele radykalniejszy aniżeli organizacya państwa przyszłości, a robotnicy rasy romańskiéj w imię nienawiści do nie-

mieckiego żyda, podnieśli sztandar opozycyi czynnéj przeciwko dyktaturze Marxa, rozwiała się potęga międzynarodówki, a zasady mistrza utrzymały się w jednych już tylko Niemczech. Zwolenników jednano im tam coraz więcéj i więcéj, tak, że wszystkie odcienia rewolucyjnego socyalizmu niemieckiego przyjęły je za *credo*, a na miejsce organizacyi i stowarzyszeń stanęło jedno stronnictwo demokracyi socyalnéj, z reprezentacyą w sejmie cesarstwa Niemieckiego.

Na to potrzeba było dziesięciu lat czasu.

A. Oskierka.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

IV.

Zdaje mi się, że zanim do opisu współczesnych wypadków przystąpię, nie od rzeczy będzie dać krótkie wyobrażenie o ówczesnych towarzystwach, zwyczajach, panujących mniemaniach i sportretować niektóre ważniejsze osoby.

Upadek Rzeczypospolitéj w końcu r. 1794 i ostateczny podział kraju wywarł wpływ niezmierny na stosunki towarzyskie. Wiadomo iż około r. 1792 wszystkie domy bankierów warszawskich, jako to Teppera, Kabryta, Scholtza, Prota Potockiego, Majznera, Łyszkiewicza ogłosiły swą niewypłacalność. Mówiono że z powodu wojny targowickiéj, kiedy Rosya wstrzymywała zaspokojenie likwidacyi Teppera za dostawy w wojnie tureckiéj, pociągnęło to upadek jego i innych bankierów. Niezawodnie, że wchodziło w rachubę Rosyi podkopywać i tak już upadającą budowę Rzeczypospolitéj, odejmując jéj tak potężny środek, jakim jest kredyt wewnątrz kraju. Ślady tego widać w korespondencyach o dwa lata późniejszych między posłem rosyjskim w Hollandyi a Sieversem. Sivers mianowicie żądał żeby wszelkiemi siłami przeszkadzać zaciągnięciu na rzecz Polski pożyczki w Hollandyi, która to suma mogłaby posłużyć na wzmocnienie siły zbrojnéj. Ale znajdujemy także dowody w tych korespondencyach, że w chwili upadku Teppera w kasie jego znajdowała się znaczna suma, bo przeszło trzy miliony złotych polskich, należących do Skarbu rosyjskiego. Sievers uważał je jako depozyt i żądał aby przed wszystkimi wierzycielami skarb Rosyjski był zaspokojony.

Lecz jakikolwiek był rzeczywisty powód upadku banków, to skutki bankructwa zadały cios wszystkim stosunkom majątkowym

obywateli. Bankierowie Warszawscy, dla zadosyćuczynienia potrzebom intendentury rosyjskiéj, zaciągali od prywatnych kapitały na 8, 9, a nawet i 10 od sta rocznego procentu. W ich ręku więc zebrały się wszystkie zasoby pieniężne kraju. Ci, którzy nie posiadali ziemi, czyli kapitaliści, pod tym ciosem ulegli od razu i wystawieni na długie likwidacye po długich latach oczekiwaia zaledwie $^1/_{20}$ część swego kapitału odzyskali. Niektórzy, mianowicie wierzyciele Prota Potockiego po latach 60 jeszcze rezultatu upadłości doczekać się nie mogą.

Kiedy do téj majątkowéj klęski dołączył się jeszcze wyjazd króla ze stolicy, rozproszenie się jego dworu i przecięte kraju granice trzema liniami komor międzynarodowych, podejrzenia i trudności w uzyskiwaniu paszportów, wszystko to oddziałało bardzo szkodliwie na stan miast i ich towarzyskie stosunki. Warszawa pierwsza ucierpiała niezmiernie. Owe pałace magnatów przedtém zbytkiem zaludnione stały pustkami, bo każdy z panów wolał na wsi trawić spokojne chwile, aniżeli plątać się w towarzystwo Niemców, skąpych, skrzętnych i z pogardą na krew słowiańską patrzących. Z murów zaczęły powoli tynki opadać, a bruki na dziedzińcu trawą zarastały. Bądź skutek to zmiennéj temperatury i nieregularnego jéj odświeżania, bądź brak codziennego starania o zachowanie miejsca, w którém się mieszka, pewną jest jednak rzeczą, że gmachy nie zamieszkałe prędko ruinie ulegają.

Kraków podobnego także doświadczał losu, ale inaczéj działo się we Lwowie i w Poznaniu.

Pierwsze z tych miast od r. 1772 w posiadaniu Austryi, pod łagodném panowaniem cesarzów Austryackich, zamiast upadać, wzrastać poczęło. Przeniesiono tu najwyższe sądy dla obu Galicyj, a gubernium tych dwóch prowincyj ściągało i obywateli i ludność, zresztą charakter władzy dwóch panów, choć z jednego pokolenia pochodzących, wcale był różny i zasady rządzenia nie jednakowe. Prusacy, swą cywilizacyą dumnie wnosząc do kraju nabytego, narzucali swe prawo cywilne i administracyjne i wyższością swą rzekomą uciskali owych *nieuków porządku* jak zwali Polaków, do urzędu ich nie dopuszczając. W Galicyi rzecz miała się inaczéj. Prócz gubernatorów, ludzi posiadających zaufanie rządu i rzeczywiście znakomitych, nie ustanowiono w sądownictwie urzędów, do administracyi zaś napędzono Niemców goliaszów, którzy niespodziewaną otrzymawszy karyerę, za główny swój obowiązek poczytywali w niczém się obywatelom nie narazić. Przyjmowali lada jaki datek, choćby połeć słoniny z wdzięcznością i sami interesa obywatelskie z uniżonością załatwiali. Galicyanie za boże stworzenie Niemców tych nie mieli.

Kiedy do cyrkułu Stanisławowskiego mianowany został kapitan, starosta cyrkularny i urząd objął, zapragnął przedstawić się pani Kossakowskiéj, z domu Potockiéj, kasztelanowéj Kamieńskiéj, która tu najobszerniejsze dobra posiadała. Jak się Jegomość nazywa?—zapytała ona Niemca na prezentacyi.

— Nagi—była odpowiedź.—Nie bój się, porośniesz kochanku odpowiedziała - wszyscy tu z tłómoczkiem na plecach przybywają a karetami odjeżdżają. Wkrótce nagim być przestaniesz.

W udziale rosyjskim podnosiło się Wilno, bo dzięki dobroczynnym Cesarza Aleksandra zamiarom, a za staraniem księcia Adama Czartoryskiego, zreformowano tam ową sprawiedliwie późniéj słynną akademią, obfitymi funduszami ją uposażywszy. Starano się o obsadzenie katedr znakomitościami krajowemi i zagranicznemi. Sławny Frank, ów Frank, który jak Hipokrates był podówczas wyrocznią, objął jedną z katedr medycyny. Groddek, dwaj Śniadeccy, że o innych przemilczę, także niepoślednim blaskiem świecili. Akademia ściągała młodzież ubogą i bogatą i razem także jéj rodziny.

Drugim punktem w obszernym tym udziale był Krzemieniec, także za łaską panującego, wskutek starań Tadeusza Czackiego i składek obywateli wołyńskich i podolskich powstały. Aczkolwiek nie posuwał nauk tak wysoko jak Wilno, wykłady jednak były tak gruntowne, że w szkole téj mnóstwo znakomitych talentów wykształcić się zdołało. Krzemieniec z lichéj mieściny podniósł się od razu i zaczął rywalizować z miastami celniejszémi, a siedlisko jego szczególnie jest obrane, gdyż leży ono w rozdole, między dwiema wysokiemi górami i całe przeważnie wybudowane na pochyłéj spadzistości. Sławny Bessel uczył tutaj botaniki.

Co do Poznania, miasto to zbliżone do granicy Prus i Niemcami znacznie zaludnione, zwiększało się ciągle przez napływ rozmaitych spekulantów, a choć pod względem towarzyskim, a szczególniéj czysto polskim, nie było znać postępu, jednak pod względami ekonomicznémi rozwinęło się znacznie.

W stosunkach takich dawne towarzyskie życie miejskie ustało Ci, którzy ponieśli ciężkie straty majątkowe przez bankructwa, osiedli na wsi celem dorabiania się chleba; ci zaś których fortuny potężne oparły się klęsce, także miast unikali, żeby tam nie spotykać się z Niemcami. Wskutek tego szlachta polska, dla któréj życie towarzyskie jest koniecznym istnienia warunkiem, siedziała ciągle na wózku, w odwiedzinach krewnych i przyjaciół przejeżdżając z jednego końca kraju na drugi. To nam tłómaczy także wiele okoliczności życia Puławskiego dworu i przesiadywania tu przez lata całe osób przybyłych z dalekich okolic.

Na ten termin także przypada napływ emigracyi francuzkiéj, która obficie rozlała się po Polsce. Było to czoło dawnéj elegancyi i arystokracyi dworu Ludwika XVI, tutaj wygnańcy bez majątku i sposobu do życia, doświadczali w domach obywatelskich gościnnego przyjęcia. Ludwik XVIII ówczesny tytularny ich król zamieszkiwał w Warszawie, a chociaż otrzymywał pieniężne wsparcia od dworu angielskiego i rosyjskiego, te nie były dostateczne, aby całe legjony emigracyi wspierać.

Mnóstwo Francuzów obojej płci, nie chcąc być nikomu ciężarem pełniło obowiązki guwernerów i guwernantek. Tak naprzykład przy pannie Mniszchównie guwernantką była dama orderowa pani Margrabina de La-Porte; tak znałem jako nauczyciela Hr. de Rochechouard, a wszak zresztą i Ludwik Filip Orleański był nauczycielem szwajcarskich chłopów.

Ta inwazya obcéj narodowości dwa szczególniéj sprowadziła skutki. Naprzód pewien rodzaj odrazy do rewolucyi francuzkiéj, któréj dobra strona nikła w umysłach na widok tych ofiar i pod wpływem opisywanych przez nich okrucieństw, które konwencya z zimną krwią popełniała. Powtóre w obyczajach towarzyskich została po nich pewna pamiątka. Nie powiem zaszczepienie grzeczności salonowéj, bo ta i bez nich już w wyższym nawet jak obecnie stopniu istniała, ale metoda prowadzenia konwersacyi, w któréj ani zajmując się polityką, ani szkalując i obmawiając sąsiadów zdołano utrzymywać ożywienie i interes.

Z emigracyi francuzkiéj dwie tylko znałem osoby, zamieszkałe w odległych punktach, które przez swe postępowanie stawały się rzeczywiście nieznośne. Chcę mówić o pani de Vauban i ks. Biskupie Laońskim z familii de Sabran. Ten ostatni osiadł w Łańcucie u księżnéj marszałkowéj Lubomirskiéj i swoją dumą, swémi wymaganiami stał się wszystkim niemiły, a dla księżnéj był prawdziwym ciężarem, który ona znosiła z istnie chrześciańską pokorą.

Co do hrabiny de Vauban, ta wraz z mężem znalazła przytułek Pod Blachą—tak zwano pałacyk księcia Józefa Poniatowskiego, obok Zamku w Warszawie się znajdujący. Kiedy Ludwik opuścił Warszawę i przeniósł się najprzód do Memla a późniéj do Edymburga i w słynnym Holy-Rood zamieszkał, hrabia de Vauban, potomek słynnego Vaubana udał się za nim, jako tytularny urzędnik jego dworu. Hrabina zaś pozostała w Warszawie i nie tylko opanowała Blachę, ale i całe towarzystwo warszawskie, nad którém z niesłychaną tyranią panowała aż do r. 1813, kiedy wejście Rosyan do Warszawy koniec jéj władzy położyło.

Czém ta pani zdołała ujarzmić księcia Józefa—doprawdy nie pojmuję. Nie była to miłość, boć do tego ani osoba ani wiek jéj nie były stosowne, a zresztą książę miał wyłączne przywiązanie do pani Czosnowskiéj, z domu Potockiéj, co całéj Warszawie nie było tajne. Pani de Vauban była brunetka z płcią śniadawą, południowym krajom właściwą, z pewnemi czarnemi centkami, rozrzuconemi po twarzy. Czy to były piegi, czy tylko takie znamiona drobniuchne, powiedziéć nie możem. Obok tego nosiła na twarzy ślady odbytéj ospy, co zresztą aż do czasów wynalazku Jannera bywało dość pospolite. Nerwowa w najwyższym stopniu a grymaśna jeszcze bardziéj, wiecznie leżała na szezlągu, brabanckiemi okryta koronkami, a w pokoju i zimą i latem utrzymywano zawsze temperaturę trebhauzową. Była zaś taka chuda, że skóra obciągała same tylko kości. Otóż pani ta tak owładnęła naszego bohatera, że ze szponów jéj aż do śmierci wyrwać się nie potrafił. Nie był panem ani swego domu, ani majątku, ani czasu, i nie mógł zaprosić do siebie, kogoby mu się podobało. Intraty jego pobierała, rozrządzała niemi, a bywać mu wolno było tylko tam, gdzie ona pozwoliła.

Co dziwniejsza, że nie tylko jego, ale i całą Warszawę trzymała pod ścisłą ferułą. U nikogo nigdy z wizytą nie była, a wymagała aby wszystkie damy jéj się prezentowały, jeśli do Warszawy przybędą. Te zaś, które stale tutaj mieszkały, musiały w dnie przyjęcia bywać w jéj cieplarni, lub zaraz nazajutrz usprawiedliwić się osobiście, a przynajmniéj listownie i wytłómaczyć powody swojéj nieobecności.

Warszawa po insurrekcyi kościuszkowskiéj stała lat kilka prawdziwemi pustkami i raz tylko ożywiła się, kiedy król pruski przybył odbierać *hommagium* i nakazał, aby obywatele stawili się na uroczystości i bale dworskie. Koło r. 1800 nabrała cokolwiek życia, kilka bowiem domów otworzylo swe gościnne podwoje. Książę Józef z Jabłonny na zimę tu zjeżdżał, Stanisław Potocki również z Olesina lub Wilanowa i Gutowski z Nowego Dworu, czyli Góry. Ci byli w istocie blizkimi miasta sąsiadami. Co do Stanisława Małachowskiego, ten dla podeszłego wieku stałe już tutaj schronienie sobie obrał, mając przy sobie krewną, księżniczkę Radziwiłłównę, a póżniéj jéj męża Wincentego hrabiego Krasińskiego. Oprócz tego panie: Połoniecka, Świdzińska staruszka poważna i Sołtykowa miały swe salony otwarte.

Dopóki jeszcze legiony obok wojsk francuzkich wawrzynami nieśmiertelnémi skronie swe zdobiły, dopóki wojna trwała—promyk nadziei i zmiany tlił w sercach dobrze myślących. Utrzymywano w Paryżu agenta, którego dyrektoryat i ówczesne rządy półurzędow-

nie uznawały. Lecz po pokoju w Campo-Formio wszelka nadzieja zmiany losu upadła. Nie widząc żadnego jaśniejszego celu przed sobą, postanowiono zająć się przynajmniéj zachowaniem języka i szerzeniu się giermanizmu opierać. Ta myśl dała początek Towarzystwu Przyjaciół Nauk i pobudziła do życia wydawnictwo Nowego Pamiętnika Warszawskiego.

W tym okresie pięcioletnim do r. 1800 cena domów i willi pod Warszawą bajecznie upadła. Powązki, owa cudna posiadłość księżnéj Izabeli Czartoryskiéj, na któréj upiększenie krocie włożono, sprzedana została za 40.000 złp. W r. 1810 były one własnością ojca JW. Łaszczyńskiego. Z kolegą, a jego synem pewnego ranka pojechaliśmy zwiedzić to ustronie dobrze mi znane z opisów, jakie moja matka, posiadająca tam własny domek, często mi czyniła. Prócz gęstego lasu i szczątków trzech kolumn Korynckiego porządku, nie znalazłem nic więcéj. Owe pałacyki, kanały, wyspy, dworki, które w Arkadyi pędzlem Norblina są oddane, trwalszą zostawiły pamiątkę Powązek niż samo miejsce, w którém teraz dominował pyszny browar piwny, nie małe Łaszczyńskiemu przynoszący zyski. Pałac Tarnowskich sprzedany został za 20.000 złp. za takąż cenę kupił Czarnecki dom z ogrodem, należący do Ordynatów Zamojskich, dziś urząd konsumcyjny. Cokolwiek lepiéj zachowaną była willa księżnéj Lubomirskiéj Mokotów, ale i ta tylko ruiną zwać się mogła, dopóki pani Wąsowiczowa odświeżania jéj nie powzięła zamiaru.

Mody wówczas, mimo wszelkie przeciw Francyi narzekania, mimo nieprzyjaźń rządów, które nad nami panowały, mimo téj silnéj emigracyi, która stanowiła znakomitą część salonowego towarzystwa wciskały się wprost z Paryża do warszawskich komnat. Zaniechano nosić puder i tapirować fryzury; harcapy ustępowały krótko obciętym włosom, a tuniki greckie zdobiły niewieście kibicie. Pani Bronikowska, która elegantkom przewodniczyła, ukazała się raz na balu bez pończoch i trzewików *en brodequins*, a nóżka jéj zgrabna nie lękała się téj wystawy. Inną razą wystąpiła bez koszuli w tunice greckiéj. Lecz mimo całą powagę jaką zdobyła, prowadząc rej w modach, naśladowców, a właściwie naśladowniczek nie znalazła.

Z mężczyzn na czele elegancyi stał książę Józef. Wprowadził on w modę, tak nazwany mundur Jabłonny. Był to frak jasno-zielony z guzikami złotemi, na których wyobrażany był koń rasy angielskiéj, upstrzony małemi jasnemi gwiazdkami.

Do elegantów także należał Wincenty Krasiński, młodzieniec przystojny, żywy i dowcipny. Ten z pułkownikiem Molskim miał pojedynek o jakieś wiersze i wyniósł z niego poprzeczną kresę, która kształtny jego nos orli oszpeciła. Daléj odznaczał się między mło-

dzieżą Paweł Bieliński, miły, wesoły, obdarzony żywym i śmiałym dowcipem. Raz na wieczorze u pani Aleksandrowéj Potockiéj, Tyszkiewiczówny z domu, siostrzenicy królewskiéj, późniéj panią Wąsowiczową zwanéj, bona na ręku przyniosła małego Gucia, dzisiejszego Augusta Potockiego (nie żyjący już właściciel Wilanowa). Pani ta rozumem i uprzejmością celowała, ale dowcip sarkastyczny posiadała na równi. Na wieczorach swych naśladowała p. de Maintenon i tak jak u niéj kolacyą późno podawano. Otóż hrabina wskazując na dzieciaka, rzekła do Bielińskiego— *Tenez Mr Bieliński, admirez mon Gustave.*—Ach pani, odpowiedział, wzdychając głębobo,—Gustaw, ale nie Waza. Niestety ceniony powszechnie Bieliński nie doczekał się zorzy odrodzenia politycznego, bo zgasł bardzo wcześnie.

Nakoniec koło przywódzców elegancyi męzkiéj warszawskiéj zamykali dwaj bracia Górscy i Zawisza, którego zwano w Puławach Czarnym, bo rzeczywiście z téj rodziny pochodził.

Towarzystwo w Krakowie jeszcze mniéj było świetne. Ograniczało się na kilku familiach jak Wielopolskich, Wodzickich, którzy ścisłą etykietę przestrzegali, z Niemcami się nie łączyli, ale téż i nudzili się uczciwie.

Lwów inną miał barwę. Gubernatorowie trzymali tu dom otwarty i nadawali ton towarzystwu. Oprócz tego stale tu mieszkał magnat polski, pisarz korony Kazimierz Rzewuski. Ten aczkolwiek piątego dochodził krzyżyka, zawsze w obejściu, stroju i obyczajach pozował na młodzika, a przez swój majątek i stosunki silny wpływ wywierał na towarzystwo. Daléj domy Starzyńskich, Korduli Potockiéj, Łosiów, Tarnowskich były zawsze dla gości otwarte. Adjutantami pana pisarza wówczas byli: półkownik Czyż, piękną galeryą obrazów posiadający, w któréj widziałem cudownego Murilla, i Raczkowski kapitan, amator muzyki, ładnie na skrzypcach grający, który wykradł podobno swą żonę, ładną brunetkę, dzisiejszą panią Dobkową.

Na czele familii Łosiów stał wojewoda Łoś, oryginał w guście angielskim. Miał on na dziedzińcu swoim trzy bramy—jedna senatorska, druga szlachecka, trzecia dla pospolitego ludu. Odźwierni pilnowali, aby nikt nie ważył się niewłaściwą bramą wjechać lub wejść na dziedziniec. Kiedy generał Orłowski po rewolucyi przybył do Lwowa i był u niego z wizytą, wojewoda zapytał go:

— I cóż generale?... cóż tam o Turkach słychać w Kamieńcu? Orłowski przed Targowicą był komendantem kamienieckiéj fortecy. Był on na jedno oko ślepy i w powiece tego oka miał jakieś konwulsyjne drganie. Nadto mało mówił i co moment odchrząkiwał, bo mu kiedyś w gardle polip wyrósł, który mu operowano.

— Panie Wojewodo, odrzekł, ja już od lat sześciu w Kamieńcu nie byłem. Rosyanie go zajęli i są z Turkami w pokoju.

— A cóżeść Waść zrobił jenerale, żeś Kamieniec opuścił. Wszak to forteca!

— Panu wojewodzie przecież nie tajno, mówił zdziwiony Orłowski—jakie były wypadki—Rozbiór kraju...

— Ach czyż można takim bredniom dać wiarę—przerwał Łoś żywo—to koncepta gazeciarskie. I mnie wprawdzie coś o tém gadano, ale *Deus a me avertet*, żebym podobnym głupim pogłoskom miał wierzyć.

Jan Amor hrabia Tarnowski, ożeniony z Ustrzycką prowadził dom bardzo ożywiony. Jeszcze był podówczas Markuszewa nie nabył, w którym popioły jego spoczęły.

W Poznaniu nie było innych towarzystw jak tylko niemieckie, w Wilnie sawanci i młodzież akademicka, a w Krzemieńcu oprócz uczonych i młodzieży, towarzystwo wyższe. O tych jednak miastach dużo szczegółów podają drukowane książki, a tém więcéj, że w życiu tych okolic nie uczestniczyłem, nie chcę o nich opowiadać.

Głównie jak już wspominałem życie towarzyskie koncentrowało się na wsi, a opisując zwyczaje Puławskie co nie tak prędko się jeszcze wyczerpnie, sądzę że dam charakterystykę tego sposobu życia najlepszą.

Żeby nie powtarzać ciągle szczegółów o osobach biorących w niém udział, wyliczę tu od razu najznakomitszych i najczęstszych gości.

Z ministrów szczególnie trzech często się tu spotykało. Ignacego Potockiego, podskarbiego Kossowskiego i biskupa Skarszewskiego.

Ignacy Potocki był wzrostu wysokiego, włosy nosił zaczesane z czoła w tył głowy, pudrowane i z harcapem. Twarz zwykle wesoła, nos prosty cokolwiek przygruby, oczy niebieskie—łagodne. Mimo że cierpiał na pedagrę zawsze się nosił w pończochach i trzewikach, a krótkie spodnie i kamizelka były aksamitne czarne, frak zaś zawsze niebieski. Syn Eustachego Potockiego, generała artyleryi, który w Radzyniu mieszkał, miał czterech braci: Stanisława, dziada pana Augusta, Jana, który poślubił Rożniecką, matkę generała Rożnieckiego i pani Władysławowéj Tarnowskiéj, Jan z żony téj miał jedyną córkę Laurę, wydaną za mąż za Stanisława Tarnowskiego, dziedzica Tarnoskały, Egipcyaninem zwanego. Dwaj inni bracia: Kajetan, Starosta Dymirski i Jerzy, starosta tłomacki.

Ignacy i Stanisław Potoccy poślubili dwie siostry księżniczki Lubomirskie, córki księżnéj marszałkowéj, siostry Adama księcia

Czartoryskiego. Żona Ignacego wcześnie zmarła, zostawiwszy jedyną córkę Krystynę, która także na suchoty, zdaje mi się w roku 1800 zakończyła życie.

Ignacy w spadku po rodzicach dostał Kurów, Klementowice, Michów i Świdry z przyległościami. Posagu po żonie nie wziął, procent tylko dopóki żyła pobierał. Po jéj zgonie zaś, nie wiem jakie były przyczyny, że księżna Marszałkowa zięcia i wnuczki nie lubiła ale to pewna, że na kłopoty majątkowe Ignacego Potockiego żadnego nie miała względu i nigdy, pomimo ogromnych bogactw swoich z pomocą mu nie przyszła.

Drugiéj córce, żonie pana Stanisława, który w dziale po ojcu dostał Biłgoraj, była przychylniejszą i za życia jéj oddała klucze: Satanowski na podolu, Opatowski w Sandomierskiém, i piękny Wilanów z Nieporętem pod Warszawą.

Jan Potocki dostał po rodzicach Radzyń i Serniki. Żona jego utracyusz i fantastyczka, sypiąc kopce aby zasłonić kościół Sernicki, by go z domu nie było widać i wyprawiając inne dziwactwa, tak straciła majątek że pan Jan z córką utrzymywał się z łaski Ignacego, który prócz dzierżawy Klemontowic nic więcéj nie posiadał.

Dwaj pozostali bracia, starostowie Dymirski i Tłomacki także swe schedy stracili doszczętnie. Jeden zszedł bezpotomnie, drugi zostawił syna Ludwika, którego znałem i który zginął w pojedynku na Węgrzech.

Pan Ignacy Potocki nigdy o polityce nie rozmawiał i chociaż tyle razy w życiu go widywałem, bo kiedy i my w Bronicach mieszkali, przez całe lata codziennie albo on był w Bronicach, albo my w Klementowicach, albo razem w Puławach, a mimo to nic od niego w tym względzie nie słyszałem. A jednak o sejmie czteroletnim i insurrekcyi Kościuszki był w stanie dużo powiedzieć. Jedyném wspomnieniem z przeszłości, dotykaném tylko wtedy kiedy z Julianem Niemcewiczem się widywał, były opowiadania o niewoli w Petersburgu.

Humoru był zawsze wesołego i to w rodzaju buffona. Zadawalniał się żartami z mniemanego poety, szlachcica Szabrańskiego z Łokowskiéj ziemi, dla którego wiersze pisywał i jemu za własne czytywać kazał, z ekonoma pijaka Tarczyńskiego i innych służących swoich. Im który więcéj głupotą celował, tém on bardziéj z niego był kontent i szczęśliwy. Latały posłańce do Puław, Bronic i do Gutakowa, do starosty Łukowskiego, z doniesieniem, że Tarczyński w czasie wichru, bojąc się aby stara i pochylona stodoła w Klementowicach się nie obaliła, kazał pańszczyźnie plecami ją podpierać, na wzór karyatyd. Lecz największe było szczęście, kiedy Szabrański własnym konceptem ruszywszy, wiersze jakieś skleił i Potocki wtedy

i szczery jego przyjaciel Niemcewicz byli zachwyceni. W tym względzie miał pan Ignacy jakieś dziwne podobieństwo z bratem swym Stanisławem, który znowu w poezyach Bielawskiego szczególnie gustował.

Na strychu w Klementowicach znalazłem dwa tomy dziennika Szabrańskiego, lecz pan Niemcewicz tyle o tę bazgraninę konkurował, że mu ją darowałem. Przeglądając te szpargały przekonałem się, że Szabrański nie był tak głupi jak o nim sądzono. W piśmie owém, gdzie codzienne czyny swoje zamieszczał, dobre figle i Potockiemu i Niemcewiczowi płatał, a kiedy raz recytował jakieś niedorzeczne wiersze, napisane przez Niemcewicza, w dzienniku swym zapisał taką uwagę: oni myślą, że ja się nie znam, iż w wierszydłach tych niema sensu, ale udaję, że je chętnie biorę za swoje, bo widzę, że ich to bawi, a mnie o chleb chodzi.

Lubił p. marszałek Potocki grywać w karty i najczęściéj grywał w lombra ze starostą Dłuskim, moim ojcem, lub Skowrońskim. W tenczas ożywiony bywał niezmiernie i strzały rozmaitych dowcipów sypały się nieustannie. Partya prawie zawsze kończyła się faraonem. Przy obiedzie nie pijał ani piwa, ani wody, tylko lekkie francuskie czerwone wino, nigdy więcéj jak jednę butelkę.

Wówczas kiedy go poznać mogłem, już jego polityczna karyera była skończona, a kiedy w r. 1809 imieniem Galicyan z Matuszewiczem i Miączyńskim wysłani zostali do Wiednia dla widzenia się z Napoleonem, wkrótce po przybyciu tam dostał dysenteryi, na którą równie jak i Miączyński tamże umarł. Pochowany w Wilanowie.

Urodził się on r. 1750. Nauki wraz z bratem Stanisławem odbył u księży Pijarów w Warszawie, za rektorstwa Konarskiego. Kończył je w Rzymie, może dlatego, że w początku był projekt, aby go przeznaczyć do stanu duchownego. Będąc tam nosił się nawet w stroju *Abbé*, składającym się z kapelusza stosowanego lub z dużém, rozpuszczoném rondem, z fraka i całego ubrania czarnego i z mantynowanego płaszczyka, zawieszonego na plecach. Z Włoch wrócił do ojczyzny mając lat 24 i zdolności jego natychmiast spożytkowano, umieszczając go w komisyi edukacyjnéj. W wolnych chwilach od zajęć urzędowych uprawiał literaturę. Przetłómaczył loikę *Condillaca* i przygotował ogromny rękopis, obejmujący znaczną część historyi literatury polskiéj. Co się stało z tym rękopisem i gdzie się on obecnie znajdować może, nie wiem, sądzę, że w bibliotece Wilanowskiéj, tam bowiem wiele dzieł z księgozbioru Ignacego widziałem. W téj także epoce sejmu delegacyjnego wszedł w związki małżeńskie z córką marszałkowéj Lubomirskiéj. Ta pani z małżeństwa z księciem Stanisławem, marszałkiem, miała tylko cztery córki.

Z tych dwie wyszło za dwóch braci generałowiczów, trzecia Julia za Jana Potockiego, krajczyca, słynnego w literaturze, a czwarta za hetmana Rzewuskiego.

Mianowany pisarzem wielkim W. ks. Litewskiego, zasiadał w radzie nieustającéj od r. 1778 jako tejże rady marszałek, a od 1780 do 1784 jako jéj członek. Od r. 1784 widzimy go także marszałkiem nadwornym w. ks. Litewskiego, którą to godność aż do upadku rzeczypospolitéj utrzymał. W 1788 mianowany został członkiem sądu sejmowego.

Po zgonie córki, gdy jeszcze nie znał synowicy swojéj pani Laury, ustąpił bratu i jego żonie całéj sukcesyi po pannie Krystynie, to jest to, co z fortuny Lubomirskich po dożywociu marszałkowéj pozostawało. Tranzakcya ta w Pożogu, w domu mego ojca zrobiona w dobréj myśli, najgorsze miała skutki.

P. marszałek niechcąc w Kurowie mieszkać, gdy dom w Klemontowicach nie był jeszcze do jego przyjęcia z folwarku przerobiony i gdy w Puławach księstwa nie było, przez dwa albo trzy miesiące mieszkał u moich rodziców. Zjechali tamże i państwo Stanisławowie, a w zamiarze osłonięcia pozostałéj części majątku od wierzycieli, ustąpienie jego uzyskali. Wkrótce na wzór téj pierwszéj tranzakcyi nastąpiła i druga, dotycząca majątku w Augustowskiém, a wreszcie i trzecia, ustępująca kompetencyi za zwrócone przez księstwo Warszawskie starostwo Jurborskie. Tak wyzuwszy się z majątku na korzyść braci, otrzymał Klementowice w dożywocie i pensyi 10,000 złp. rocznie. Gdy pan Ignacy umarł przed księżną Lubomirską, państwo Stanisławowstwo żadnych jego długów, spadłych z licytacyi Kurowa płacić nie chcieli i dopiéro syn ich Aleksander, wyrokiem senatu został zmuszony do spłacania pewnéj ich części. Obecnie nawet toczy się ciekawy proces, z tą tranzakcyą związek mający o wypożyczenie częścią przez Ignacego Potockiego, częścią przez żonę Stanisława—Aleksandrę od ks. Adama Czartoryskiego 15,000 dukatów. Proces ten w r. 1856 przegrany przez Potockich został.

W Klemontowicach zwykle Ignacy Potocki zamieszkiwał w lecie i wtedy Stanisław z żoną na mieszkanie do Olesina przybywał. Ksiądz Łapicki, pleban klementowiecki, kapelan Kościuszki, pod Maciejowicami ranny, należał do jego towarzystwa, równie jak brat Jan i synowica Laura.

Marszałek Potocki różnił się od brata swego Stanisława pod wielu względami. Był poważniejszy w mowie i o sobie nigdy nie wspominał, ani się nie chwalił. Ta sama różnica istniała w ich stylu i wymowie. Pan Stanisław mówił łatwo, płynnie i obficie; pan mar-

szałek był treściwy w wyrazach a nawet czasami zanadto lakoniczny, tak że trudno było, osobliwie wiersze pojąć od razu. Obadwaj utracili majątki osobiste, ale pan marszałek do mienia nie przywiązywał wagi. Portret jego bardzo podobny znajduje się w kościele w Kurowie.

Musiał podskarbi Roch Kossowski posiadać jakieś specyalne talenta i że je posiadał nie wątpię, bo inaczéj czyliżby mógł piastować tak ważny urząd jak podskarbstwo wielkie koronne w trudnym czasie sejmu czteroletniego i późniéj jeszcze przez lat cztery. Lecz w chwili, kiedy go poznałem był to prawdziwy automat: niski, łysy, z ogromnym cienkim harcapem, uszy miał niepospolitéj długości. Ręce sparaliżowane, zawsze milczący, jadł tylko i pił i w Puławach po kilka tygodni siedział. Dając ten niepochlebny obraz nie mam zamiaru jemu ubliżać i los tylko mieć chciał, żem go poznał w chwili kiedy uciśnięty chorobą, wielkiemi nieszczęściami kraju i zagrożony utratą fortuny chylił się ku upadkowi. Powszechny posiadał szacunek, poważano go i litowano się nad stanem jego zdrowia. Słyszałem, że dom jego w Bełżycach słynął z gościnności i uprzejmości, co w Lubelskiém nie było rzeczą łatwą, jeśli zważymy, że konkurować było potrzeba z takimi domami jak Czartoryskich w Puławach, Lubomirskich w Opolu, Sanguszków w Lubartowie. Żona jego uchodziła za cudną piękność, a córki w Paryżu wychowane, wkrótce po powrocie do kraju za mąż powychodziły, ale żyły bardzo krótko.

Przyjeżdżał tu także czasami i ksiądz Skarszewski, biskup chełmsko-lubelski, podkanclerzy za króla Stanisława. Ten, jak wiadomo, podczas insurekcyi Kościuszkowskiéj aresztowany, oskarżony i sądzony, uznany za winnego zdrady kraju, na utratę życia przez powieszenie został skazany. Za wstawieniem się nuncyusza przez naczelnika ułaskawiony został. Okazywał on wiele powagi, tak, że ze wszystkich prymasów, arcybiskupów i biskupów, jakich widziałem lub znałem, żaden nie umiał podobnie zachować godności, téj wielkiéj dostojności właściwéj. Obok tego był to człowiek bardzo pracowity. Kiedym późniéj był urzędnikiem w prefekturze lubelskiéj, częste z nim zachodziły stosunki, a wszystkie ważniejsze ekspedycye jego własną pisane były ręką. Z biskupstwa, senatoryi i ministerstwa skazany był na szubienicę, a od téj zwolniony na końcu życia był arcybiskupem. Tak to koło fortuny wynosi do szczytu, strąca, pogrąża, wydobywa na wierzch i znowu do góry podnosi. Ogólnie zawsze był bardzo małomówny.

Ciekawem było dla badawczego oka widzieć u jednego stolika marszałka Potockiego, który jako dusza rządu Narodowego za Kościuszki, łącznie z Kołłątajem oddawali pod sąd biskupa, siedzącego

obok Skarszewskiego. Na rysach obu dostrzedz się nie dawała żadna zmiana. Biskup z powagi swéj i dumy surowéj nic nie tracił i żadnego nieukontentowania nie okazywał; marszałek jak zawsze był jowialny. Zdawało się że oba wychylili kubek napoju z rzeki Lety i o całéj przeszłości zapomnieli.

Po zgonie Kościuszki, kiedy jego zwłoki do Polski sprowadzono, odbywały się solenne nabożeństwa w większych miastach kraju. W Lublinie celebrował JW. biskup Skarszewski. Był wówczas sekretarzem Rady departamentowéj niejaki Iwaszkiewicz, trochę poeta i wogóle człowiek dość zdolny i do wymowy szczególną posiadający wenę. Obiecywał on sobie ciągle, że z improwizacyą wystąpi na pochwałę naczelnika. Władze cywilne lękając się zbytniego uniesienia Iwaszkiewicza zakazały mu uczestnictwa w tym żałobnym obchodzie. Los jednak zrządził inaczéj, i kiedy biskup zasiadł na krześle, żeby wysłuchać mowy, do wygłoszenia któréj duchowny się zabierał, — Iwaszkiewicz, któremu zabronienie to spokoju nie dawało, wskakuje na stopnie katafalku i mocnym głosem a poetycznémi okresami zaczyna swą improwizacyą. Sypią się obficie z ust jego pochwały Kościuszki, a kiedy słuchacze admirują mówcę, on mówiąc o miłosierdziu naczelnika, taki zwrot czyni do biskupa: „I któż snadniéj jak ty, jaśnie wielmożny celebrujący przyświadczyć może o miłosierdziu serca nieodżałowanego Tadeusza Kościuszki, kiedy stojąc pod szubienicą, z zarzuconym na szyję powrozem otrzymałeś wspaniałomyślnie jego przebaczenie?"

Daléj mówić nie zdołał, bo żandarmi ściągnęli go ze stopni katafalka. Biskup okrył się naprzód śmiertelną bladością, potém stał się jak purpura i otaczający myśleli, że apopleksyą tknięty zostanie.

Pojawiał się także czasami w Puławach w téj epoce Modzelewski, komandor Maltański, targowiczanin i członek Rady nieustającéj. Źle był jednak widziany, przyjmowano go zimno i nic szczególnego nie okazywał ani w dowcipie, ani w zdolnościach.

Późniéj miewałem często sposobność widzenia, słyszenia i obserwowania Stanisława Małachowskiego, marszałka Raczyńskiego, księcia Michała Radziwiłła, wojewodę wileńskiego i Ferdynanda Moszyńskiego. W dalszém opowiadaniu częste wzmianki o nich się znajdują. Tu ogólnie tylko nadmieniam, ze wszystkich ludzi, piastujących wysokie urzędy cywilne za Stanisława Augusta, a których znałem, trzech tylko prawdziwemi odznaczało się zdolnościami: Ignacy Potocki, Moszyński i Skarszewski.

Z poetów i literatów ci którzy stale przemieszkiwali, byli: Ernest Groddek, gdańszczanin, hellenista pierwszego rzędu, autor dzieł uczonych: „O grach i igrzyskach greckich" i „Historyi literatury gre-

ckiéj. Był on przez długi czas bibliotekarzem księgozbioru Puławskiego. Ułomny był i chociaż wielce rozumny, dowcipem nie celował. Zapalonym był szachistą i cały czas, który mu od nauk wolny pozostał, szachom poświęcał. Zwykle w szlafroku aż do 1-éj godziny pijąc zwolna jednę filiżankę kawy i paląc fajkę, obok foliałów trawił. Z nim czytywałem komentarze Cezara, w greczyznie zaś podczas pobytu swojego w Puławach jednego tylko ucznia Bobowskiego wykształcił, wszyscy inni zaś mało postępów uczynili. Za utworzeniem Akademii wileńskiéj w r. 1804 tamże na profesora powołany był parę razy dziekanem i ciągle bibliotekarzem i tam umarł 1825 roku.

Franciszek Karpiński był czas jakiś w liczbie mentorów księcia Dominika Radziwiłła. Niski, krępy, nos miał pałkowaty i włosy niepudrowane z wielką księcia feldmarszałka zgryzotą—nosił. Uprzejmy i rzadkiéj słodyczy, w obejściu prostoduszny, nic w powierzchowności jego nie odkrywało ducha poetyckiego ani egzaltacyi zwykle wieszczom właściwéj. W Dykcyonarzu biograficznym wzmiankowano, że Karpiński z namowy króla Stanisława przyjął guwernerstwo przy księciu Dominiku Radziwille. Jest to nieprawda. Król już nie żył od lat kilku, kiedy Karpiński do nauki księcia Radziwiłła był przyjęty. Pierwszy guwerner księcia był pan Winnicki, który go do Puław ze Lwowa przywiózł. Po nim nastąpił Karpiński, nie więcéj jednak jak rok trudnił się tym obowiązkiem, książę Radziwiłł był bowiem swawolny a spokojność lubiący Karpiński nie umiłował sobie téj funkcyi. Osiadł na wsi po opuszczeniu tego obowiązku, tam gospodarował i w Puławach nie pokazywał się więcéj. Karpiński nie był owym salonowym meteorem, który uwagę całego towarzystwa na siebie zwraca i swą rozmową zajmuje. Aczkolwiek wesoły i wcale nie elegijny i smętny nie wdawał się w ogólne rozmowy, nie okazywał się ani z rodzaju specyalnych sawantów, ani wszystkowiedzów encyklopedystów. Dwie rzeczy zajmowały go najwięcéj: wiejskość i poezya. Najsprawiedliwiéj ocenia go Brodziński w mowie pochwalnéj, w byłem Towarzystwie przyjaciół Nauk mianéj. Ale i Brodziński zdaje się nie miał materyałów pewnych do jego życia. Zapewnia także, że król Stanisław z opiekunem księcia Dominika, księciem Maciejem Radziwiłłem na nauczyciela młodzieńcowi Karpińskiego wybrali, i że poprzednio Karpiński był mentorem ks. Romana Sanguszki. Ja z pewnością twierdzić mogę, że Karpiński przy księciu Dominiku od 1802 do 1804 r. zostawał. Łączyła mnie ścisła przyjaźń z księciem i w jego apartamencie, w oficynie ogrodowéj na dole, nie jednę chwilę pod okiem Karpińskiego przepędziłem. Mam nawet listy tego ostatniego, pisywane do mnie wierszem.

Książę Maciéj Radziwiłł rzeczywiście pragnął zostać opiekunem nieletniego i z tego powodu z księciem Michałem, wojewodą wileńskim proces w trybunale lubelskim prowadził. Ale go przegrał i książę Michał przy opiece został utrzymany. W 1802 r. zaś król Stanisław August już nie żył. Zresztą Karpiński przed kilkunastu laty pełnił przy księciu Czartoryskim obowiązki sekretarza, był więc tyle znany, że żadnéj postronnéj rekomendacyi na guwernera nie potrzebował. Portret Karpińskiego, umieszczony w edycyi klasyków polskich bardzo mało ma podobieństwa. Włosy nawet inaczéj nosił, gładko uczesane i równo obcięte. Innego ubrania nie wdziewał, tylko koloru popielatego. Do najserdeczniejszych swoich przyjaciół zaliczał Zabłockiego i Kniaźnina, ale tego ostatniego w czasie jego słabości już nie widywał. Życie jego w dykcyonarzu biograficznym także o lat dziesięć przedłużane, umarł bowiem nie w 1835 jak tam podano, ale w 1825.

Ignacy Tański, ojciec pani Hoffmanowéj. Ten z całą familią dosyć długi czas spędził w Puławach. Naprzód księżna wzięła tu na wychowanie starszą jego córkę Aleksandrę, a w parę lat później on sam z żoną, z domu Czempińską, z siostrą jéj panną Katarzyną i córką Klementyną tutaj przybył. Jak go poznałem był już siwy, dość nizki i gruby, rysy miał regularne, ale z pozoru nie wyglądał także na poetę. On to szczególnie dostarczał dla teatru puławskiego owych *piéces de circonstance.* Panna Katarzyna Czempińska, obdarzona rzadką pięknością, zaraz za przybyciem swém rozbudziła dwie pasye. Kazimierz Skowroński sekretarz i Jan Goltz, lekarz, uderzyli przed nią czołem. Ostatniego za męża wybrała.

Co do pani Hoffmanowéj, ta była jeszcze tak małém dzieckiem, że nawet do towarzystwa młodzieży należéć nie mogła. Jeżeli w pamiętnikach swych wiele o Puławach mówi, to zdaje się, musiało więcéj pochodzić z opowiadań siostry lub matki, aniżeli z własnych spostrzeżeń, wiele bowiem niedokładności w opisie jéj widzę. Panna Aleksandra Tańska wyszła za mecenasa Tarczewskiego.

Ignacy Tański życie swe więcéj polityce aniżeli poezyi poświęcał. Urodzony w r. 1761, pracował najpierwéj w departamencie policyi, pod laską Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego za czasów czteroletniego sejmu. Późniéj przydzielony do deputacyi indagacyjnéj, dotyczącéj dyzunitów, był w większéj części twórcą relacyi sejmowi podanéj, która z anneksami dwa tomy druku wynosi. Ztąd przeniesiony do kancelaryi wydziału interesów zagranicznych, pracował tamże aż do upadku kraju. Zgasł w młodym wieku, bo mając tylko lat czterdzieści cztery. Do Puław przybył i tutaj zamieszkał r. 1802. Poezye jego drukiem ogłoszone nie zamieszczą go

w rzędzie znamienitych piewców. Zdaje się że dopiero w Puławach obrawszy mieszkanie, zaczął probować sił swoich. Tu mu jednak nie dawano czasu, aby trudnił się taką pracą, jaką zamierzał. Jednę tylko komedyjkę z liczby pisanych dla teatru puławskiego drukiem ogłoszono, a dostarczał ich więcéj jak dziesięć rocznie, dlatego tłumaczenie Wirgiliusza i nie całe i niekompletne.

Jan Kruszyński poeta i literat, późniéj był sekretarzem generalnym w ministeryum skarbu. Ożenił się w Puławach z wychowanką pensyi pani Januszowskiéj, panną Barbarą Poświatowską. Pracował on szczególnie nad katalogiem historycznym zbiorów pamiątek polskich w Sybilli, których był czas niejaki zawiadowcą. Był wysoki, chudy, brunet, zézowaty na jedno oko, wesoły i dowcipny. Lubił namiętnie grę w szachy, ale zwyciężał przeciwników więcéj sarkastycznością, którą umiał pod rozmaitémi kształtami do téj gry stosować, jak świetnémi cugami. Kruszyński do Puław przez księcia Stanisława Jabłonowskiego wprowadzony został. Prac jego drukowanych nie znam, wyjąwszy te, które jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk wydał, to jest tłómaczenie Atalii Rasyna i Od Łomonosowa. W Puławach w rękopisie znałem Brytannikusa, a myślę że i więcéj musiał z tragika francuskiego przełożyć. Zmarł jako referendarz w radzie stanu.

Rzadziéj, bo nie byli stałymi Puław mieszkańcami, lecz większą część roku w nich przepędzali:

Ksiądz Woronicz, proboszcz w Kazimierzu, późniéj w Powsinie, następnie radca stanu, biskup krakowski, w końcu arcybiskup prymas. Niski, więcéj otyły jak chudy, twarz pełna, smętna, rysy regularne, nos mały i kształtny. Napisał on na cześć Puław poemat, pod tytułem *Świątynia Sybilli*. Był zawsze wzdychający, narzekający i z losu niezadowolony. Kiedy był radcą stanu i brał 15,000 złp. pensyi, znajdował, że to za szczupła płaca na utrzymanie w Warszawie. Kiedy jako biskup krakowski miał dochodu do 60,009 złp. narzekał, że to nie wystarcza na prace Stachowicza, malującego freski w pałacu biskupim. Wymowa jego lepiéj w druku, jak w żywem słowie się wydawała, głos bowiem słaby i płaczliwy wszelki jéj urok odejmował, a zwykła przewlekłość efektowi uszczerbek przynosiła. Rozwaga, światło, wielkie zamiłowanie kraju i łagodność charakteru ogólny szacunek mu jednały.

Ksiądz Franciszek Zabłocki, proboszcz w Końskowoli, najznakomitszy wtedy nasz kanonik, wówczas już był zupełnie stetryczał, ale pisał mimo to komedye i tragedye. Płody te rozdawał pierwszemu lepszemu i wszystkie te późniejsze jego prace zaginęły. Był nizki, krępy, rumiany, z twarzą pełną i zwykle małomówiący. Nosił

perukę rudą, niepudrowaną, wielki przyjaciel Kniaźnina i Karpińskiego. Pierwiastkowo miał sobie powierzone obowiązki sekretarza komisyi edukacyjnéj. Śmierć małżonki skłoniła go do wstąpienia do stanu duchownego. W czasie, w którym to piszę, duchowieństwo nie tyle pobłażało teatrom, pisarzom teatralnym, a osobliwie aktorom. Ci ostatni, uważani jako jawnogrzesznicy, w stanie wyklęcia, nawet na cmentarzach chować ciała ich zakazano. Ksiądz Zabłocki czy dla uniknienia zgorszenia, czy że sam dzielił to przekonanie, dość że wszystko pisał w sekrecie i późniéj rękopisy podarował niejakiemu Grymbergowi, nauczycielowi języka niemieckiego w Puławach, którego bardzo lubił. Ksiądz Zabłocki w innym rodzaju nie tworzył wcale, tłómaczył tylko lub oryginalne sztuki pisał. Mimo to, że sam był ciągle smutny i prawie ciągle milczący, w ostatnich jednak drukiem nieogłoszonych utworach wiele było dowcipu i wesołości. Wielka szkoda że prace te zaginęły.

Generał Ludwik Kropiński—Ludgarda, tragedya pono jedynym jest jego do sławy poety tytułem, lecz tyle był z niéj dumny, że w jego przekonaniu Homer i Wirgili w kąt przed nim ustępować musieli. Zawsze nos do góry i mina gęsta, patrzał na świat cały z wysokości swojéj Ludgardy. W towarzystwie jednak nierównie był przyjemniejszy, jak cały szereg wymienionych wyżéj poetów. Tamci poezyą za swój fach traktowali, ten był poetą z przypadku, a w istocie człowiekiem salonowym, grzecznym, miłym, dowcipnym i wielomównym. Jest on także autorem romansu *Adolf i Julia*. W r. 1812 jako generał wojsk księstwa Warszawskiego, powierzony miał oddział rezerw, z któréni lubelskie osłaniał od napadu kozaków. Z końcem 1812 r. porzucił służbę wojskową i ożeniwszy się z panną Anielą Błędowską, na Wołyniu osiadł. Umarł w Woronczynie r. 1844, na ośm lat przed zgonem wzrok utraciwszy. Czacki wspomina o jego dziele *Podróż do Włoch*. Dzieła tego nie znam. Był wzrostu średniego, brunet, oczy miał wypukłe i cokolwiek za duże, zawsze czerwone, które zwiastowały późniejszą ślepotę, nos orli i cienki. Piękny miał być bardzo w młodości i w wieku, w jakim go poznałem, był jeszcze przystojny. Służył w szeregach wojska polskiego za czasów Stanisława Augusta i Kościuszkowskiéj insurekcyi i dosłużył się stopnia pułkownika. Ranny kilka razy, dla wyleczenia się w krajach południowych lat parę przebywał.

Tadeusz Matuszewicz, litwin, w literaturze znany jako tłómacz *Delisle'a, de l'imagination*, licznych Od Horacego, tudzież Tomasza à Kempis: o Naśladowaniu Chrystusa. Wysokie wykształcenie czyniło go prawdziwą ozdobą towarzystwa. Wzrostu średniego, szatyn, oczy błękitne, nos cokolwiek pałkowaty, prosty, twarz ściągła. Pod-

czas sejmu czteroletniego odznaczał się wymową, którą władał w wysokim stopniu. Należał do redakcyi Gazety Narodowéj i był posłem Brzeskim, pracującym w deputacyi interesów zagranicznych. Do roku 1809 jako galicyanin nie należał do żadnéj czynności w księstwie warszawskiém i dopiero w téj epoce powołany do rządu centralnego, następnie w radzie stanu zasiadał. W r. 1812 był czynnym doradcą konfederacyi generalnéj i został ministrem skarbu, którą to godność i za Królestwa polskiego w r. 1816 objął. Umarł we Włoszech w 1819, zostawiwszy syna Adama, zasłużonego w dyplomacyi rosyjskiéj i córkę Zofią, o któréj często bardzo przyjdzie mi wspominać.

Pan Matuszewicz odziedziczył po pani Szczytowéj ogromny ziemski majątek: Suchowolę, Łysów, Krześlin, Goślice, a po żonie Przebędowskiéj miał Jasieniec, Solec i Tursk. Uchodził z tego powodu za niezmiernie majętnego, chociaż w życiu swojem żadnego sobie nie dozwalał zbytku i nawet innych koni jak fornalskie nie posiadał. Ztąd urosło przekonanie, że jest skąpcem, o co go nawet i księżna Izabella obwiniała, wyrzucając mu, że nie dosyć na potrzeby ukochanéj swéj Zosi dostarcza. Po zgonie jego jednak okazało się, że te ogromne terytoryalne własności, ogromnie téż i obdłużone były i że pan Matuszewicz był skąpcem z potrzeby i musu.

W jednym z jego majątków Tursku w sandomierskiém utrzymywało się podanie o zakopanym skarbie. To téż przy każdéj tranzakcyi kiedy dobra te z rąk do rąk przechodziły, zastrzegano, że sprzedają się z wyłączeniem ukrytego skarku. Nabywcy, chociaż każdy pretensyi się zrzekał, każdy poszukiwania czynił, ale nikt nic znaleźć nie zdołał. Podczas rewolucyi Kościuszkowskiéj kozacy wpadli do Turska, a stukając dzidami po ścianach kościoła wyśledzili skarb zamurowany we framudze i zabrali go. Mówiono, że parę kroć sto tysięcy złotych wynosił. Testament Matuszewicza jest bardzo ciekawy, usprawiedliwia on w nim bowiem swoje polityczne postępki.

Wychowany razem z Ignacym i Stanisławem Potockim u Pijarów w Warszawie, zaledwie pełnoletni, otrzymał z wyboru współziomków deputacyą na trybunał litewski, a późniéj, jak to już mówiłem, posłował z ziemi Brzeskiéj. Podług mnie był to najznakomitszy mówca naszéj ojczyzny, w stylu treściwszy niż Stanisław, zrozumialszy niż Ignacy Potocki. Nie poczytuję za mówców tych, co przy stoliku i leżąc układają mowy podług prawideł retoryki i tych, wyuczywszy się na pamięć, recytują je albo z pisma czytają. Są to styliści ale nie mówcy. Ci ostatni istnieć tylko mogą w państwach, gdzie obrady są publiczne, gdzie wielkie pod rozbiór i do rozstrzy-

gania przychodzą przedmioty. Z mówców stylistów znałem księdza prymasa Woronicza i księdza biskupa płockiego Prażmowskiego. Mowy ich bądź polityczne, bądź naukowe pięknie się wydawały w czytaniu, ale kiedy Woronicz mówił płaczliwie i powoli, Prażmowski znowu przez nos i cicho, a obaj bez żadnego ognia. Osiński znowu posiadał głos gruby, silny, dźwięczny, a nadewszystko przenikający i nim celował nad innymi, ale mów nie improwizował, lecz owszem, były one wypracowane i najczęściéj je czytał. Stanisław Potocki mówił płynnie bez przygotowania, nasuwały mu się łatwo figury retoryczne, okraszał styl doborowémi wyrazami, lecz była ich zanadto wielka obfitość a głosem dorównać Osińskiemu nie był w stanie

U Matuszewicza była rzecz szczególna—wymowa jego była bez zapału. Z najzimniejszą krwią, głosem donośnym i arcymiłym płynęły z ust jego obfite myśli, pięknie, a szczególniéj niezmiernie jasno wyłożone. Napozór zdawaćby się mogło, że są one owocem długiéj pracy, ale na sejmie 1811 roku, kiedy jako minister bronił wszystkich podatków, zaprowadzić się mających, na wszystkie zarzuty odpowiadał z tąż samą łatwością, a zagrzewając do ofiar, porywał wszystkich szczytnemi swemi improwizacyami.

Późniéj Barzykowski, poseł z Płockiego odznaczał się także oryginalną wymową, ale on, równie jak Bronikowski, poseł Kaliski, wyrażali się stylem górnolotnym, pod obłoki sięgającym. W tym doborze słów pysznych myśl się gubiła i plątała jak w labiryncie. Barzykowski nadto posiadał piękny organ i byłby należał do najpierwszych mówców, gdyby nie ten wyszukany wyrażania się sposób.

Stanisław Potocki, świadek całéj publicznéj karyery Matuszewicza, w mowie swéj, mianéj po jego zgonie w Towarzystwie przyjaciół nauk, twierdzi że większa część postanowień Sejmu Czteroletniego dokonała się pod wpływem czaru jego wymowy.

Kiedy ukończyła się opieka nad księciem Dominikiem Radziwiłłem, uznał książę Feldmarszałek potrzebę, aby młodzieniec wybrał się do Petersburga, przedstawić się cesarzowi Aleksandrowi. Za doradcę i niejako kuratora dodano mu Matuszewicza. Po krótkim tam pobycie wrócił do Jasieńca, ulubionéj swéj siedziby, o dwie mile od Puław odległéj.

Stanisław Kłokocki, przyjaciel Matuszewicza, chwalony jako znakomity prozaista. Co napisał nie wiem, tylko często przekłady swoje czytywał. Drukiem jednakże z tego nic nie wyszło. Towarzyski, przyjemny, niezbędnym się stał w Puławach, gdzie go bardzo lubiono.

Orłowski generał, o którym już trochę wspominałem, był kiedyś admiratorem mojéj matki i z tego powodu stale jéj przychylny i mnie i siostrę kochający. Przywiązanie to swoje tém objawiał, że codzień godzinę w naszém mieszkaniu, wzdłuż pokoju chodził, nic ani słowa do nikogo nie mówiąc. Widząc go, myślałby kto, że jest niemym, bo całe tygodnie mijały, nim słowo jakie wyrzekł. O ilem słyszał dziwne jakieś miał w młodości przygody. Najczęściéj opowiadał, że nad łóżkiem swém miał zawieszony portret swéj matki, którą bardzo kochał. Owóż pewnego dnia portret ten nagle zamienił się na trupią główkę. W chwili, w któréj ta zmiana nastąpiła, miała skonać jego matka. W czasie czteroletniego sejmu był on komendantem twierdzy Kamieniec, kiedy zawiązała się konfederacya Targowicka, wezwał go Złotnicki do oddania fortecy, doręczając rozkaz podpisany przez Szczęsnego Potockiego, jako generała artyleryi. Orłowski na to odpowiedział, że bronić się będzie i dopiero po przystąpieniu króla do Targowicy, odebrano mu dowództwo i twierdzę zajęto. Podczas rewolucyi Kościuszkowskiéj był komendantem Warszawy i urząd ten, aż do kapitulacyi miasta po szturmie Pragi piastował. W młodości podróżował wiele z Kościuszką.

Wielkim jego przyjacielem był Ludwik Rembieliński, uczeń szkoły rycerskiéj kadetów, a późniéj w tejże szkole profesor matematyki. Był w niéj tak biegły, że równał się słynnemu tutaj profesorowi Lhullier. Wielce kochany przez wszystkich ten mąż, jakkolwiek z miną zawsze poważną, posiadał talent rozweselania młodzieży i zawsze był duszą wszystkich zabaw. Późniéj został dyrektorem Skarbu w Prefekturze Siedleckiéj.

To poważne grono osób bądź dostojeństwami, bądź zasługami w literaturze odznaczających się, tworzyło stałe Puław towarzystwo. Obok nich znajdowało się mnóstwo młodzieży bądź kształcącéj się, bądź już dorosłéj, a zamykali kontyngens ludzie w rozmaitych obowiązkach przy dworze pozostający. O tych ostatnich, a szczególniéj o młodzieży często mi mówić wypadnie. Wymienię więc tu choć trochę z pomiędzy tego koła.

Co do młodzieży najstarszy między nią był Maksymilian Fredro, najstarszy z licznego potomstwa Jacka Fredry, dziedzica Sądowéj Wiszni, niedaleko Lwowa. Ród w dziejach i literaturze polskiéj zdawna zasłużony i na Rusi możny. Brat jego zasłużony i słynny autor komedyj. Daléj z kolei podług wieku idąc Łopot, litwin, syn tego, który w Sejmie Czteroletnim miał duże znaczenie—Białopiotrowicz Jerzy, także litwin ojciec jego z lidzkiego już jako częsty deputat do trybunału, już w funkcyach poselskich wielkie zaufanie u współobywateli pozyskał—krótko tu także bawił brat jego starszy Romuald,

młodzieniec pełen rozsądku i wiadomości, który niestety, kąpiąc się utonął.

Daléj dwaj bracia Michałowscy, Marcin i Teodor, z ubogiéj familii z Lubelskiego, obaj niezmordowani tancerze. Książę Puzyna, z Rusi pochodzący, Henryk Deboli, syn czy téż może synowiec owego Debolego, który był posłem Rzeczypospolitéj w Petersburgu, Szumlański legionista, o którym późniéj obszerniéj wspomnę, Konstanty Dembowski, syn mego stryja Feliksa, stolnika Latyczewskiego, szambelana i kawalera św. Stanisława; Kajetan i Ignacy Witosławscy, synowie Oboźnego koronnego, Czechowicz, Mogilnicki, który zginął pod Wagram, Jan Narbutt, syn Wojskiego Liteweskiego, Eustachy i Tomasz Jaworniccy, ostatni niemowa itd.

Co do Czechowicza był to jedynak bardzo majętnych rodziców. Los jego był bardzo smutny. Po rozpierzchnięciu się młodzieży Puławskiéj wrócił do domu i kiedy żadna z tylu piękności znajdujących się w Puławach nie zraniła jego serca, tu zakochał się szalenie w służącéj swojéj matki. Ponieważ na związek pozwolić nie chciano, wpadł w czarną melancholią i w kwiecie wieku życie postradał.

Ci wszyscy wymienieni, oprócz Szumlańskiego, który miał lat trzydzieści, byli mniéj więcéj w wieku między ośmnastym a dwudziestym drugim rokiem. Po nich następowała młodzież dziecinna, już mniéj liczna: książę Dominik Radziwiłł, Ordynat Nieświezki, Adam Matuszewicz, Haller Emeryk i ja. Byli to prawie rówiennicy między jedenastym a trzynastym rokiem, z wyjątkiem Radziwiłła, który miał już wtedy lat czternaście.

Dzieci domowników Puławskich choć nie codzień, brały jednak bardzo często udział w towarzystwach. Do dorosłych w téj epoce należeli dwaj synowie pana Skowrońskiego, Ksawery i Kazimierz, Jan Goltz, dwaj Hemplowie—Joachim i Stanisław. Z płci niewieściéj panny Wągrocka, Morska, Konstancya, Maryanna i Brygida Jawornickie itd.

Prócz tego księżna Czartoryska brała na edukacyą panny, po większéj części sieroty, albo niemajętne. Te pod dozorem ochmistrzyni, pani Januszewskiéj, w osobnym gmachu, dziś nieistniejącym mieszkając, staranne i co do nauk i co do obyczajów otrzymywały wychowanie. W owym czasie, o którym mówię na pensyi téj, o ile zapamiętam, znajdowały się: Aleksandra Tańska, późniéj żona Mecenasa Tarczewskiego, panna Drużbacka, późniéj Debolina, Weronika Dzierżanowska, pierwsza żona generała Rautensztraucha, dwie panny Dembickie, panna Pośmiatowska, która wyszła za Kruszyńskiego, panna Roszkowska, późniejsza pani Szparmann i wiele innych. Pan-

ny te zapraszono tylko na bale i fety, a czasem téż w niedzielę i święta na salach się okazywały.

Prócz téj pensyi istniała inna prywatna, pod kierunkiem pani Poltz, Niemki, osoby wykształconéj i poważanéj. Tu niektóre obywatelskie córki pobierały edukacyą, a między niemi w epoce, o któréj mówię, odznaczała się panna Rudnicka, córka pisarza Rudnickiego, dziedzica Żyżyna, późniéj wydana za Sołtyka:

Dwór księcia składał się naprzód z osób, które dawniéj pełniły jakieś obowiązki, a z ich ustaniem, pozostały w Puławach jako przyjaciele domowi. Takich było dużo, wymienię tylko przedniejszych. Pułkownik Ciesielski, staruszek charakteru słodkiego niesłychanie zamiłowany w botanice, był przez czas pewien dozorcą nad edukacyą synów księstwa Adama i Konstantego. W nagrodę jego zasług książę mu nadał dożywociem piękne dobra Samoklęski, nie tyle może cenne z gruntów, ile z obszernych a pięknych lasów. Bez względu że to było dożywocie, Ciesielski pobudował tu ładny dom murowany założył pyszną oranżeryą i ogród w rzadkie rośliny i frukta obfitujący. Rzeczkę śluzami ujął, wystawił młyn, tartak, założył wieś Syry, lasy szanował i z rąk jego Samoklęski wyszły z podwojonym szacunkiem. Jeśli się zważy na tę okoliczność, że donacya w niczém praw używania jego nie ograniczała; to podziwiać trzeba jak z jednéj strony hojność księcia, tak z drugiéj Ciesielskiego delikatność. Dziś inne czasy i inni ludzie, dożywotnik naprzód by tartak o dwunastu piłach założył i majątek po swojéj śmierci opustoszony by zostawił.

Do starych także takich gracyalistów należał major Orłowski. Ożenił się on z panną Lannicką i księstwo dla tego stadła wymurowali domek, niedaleko od Puław. Tam niby to oni mieszkali, ale właściwie chowały się w tym domu tylko małe dzieci, sami bowiem Orłowscy stale w Puławach przesiadywali.

Dwór czynny, to jest ludzie obowiązkami swymi się zajmujący byli naprzód sekretarze. Skowroński, Roch Orłowski, Łuniewski, Bernatowicz, autor powieści historycznych, pomiędzy któremi najcenniejszy romans Pojata.

Doktorzy: Goltz, Khitel, Schmuck i Gentzendorff, Architekt Zalewski i Aiguer, do którego należało tylko wznoszenie gmachów artystycznych jak Sybilla, Domek Gotycki i tym podobne.

Prawnik Nepomucen Orłowski i pomocnicy jego Nowacki i Kaspary.

Kasyer Piramowicz i pomocnik jego Poświatowski. Obaj oficerowie z gwardyi litewskiéj.

Zarządcy dóbr: Jawornicki, pułkownik Sałacki i Filipowicz.

Marszałkowska funkcya przy takim nieustającym napływie i gości i stałych mieszkańców, była najprzykrzejsza. To też często zmieniali tu się ludzie. Za moich czasów po kolei marszałkami byli: Belke, Torcholski i Deboli, a do pomocy, szczególniéj w sprawach rachunkowych mieli stale pana Łapczyńskiego.

Hempel, człowiek zacny i powszechnie szanowany roztrząsał i zatwierdzał naczelnie plany budowli po wszystkich dobrach i kierował wydziałem pomiarów.

Malarze i rysownicy: Frey, Rychter, Romański i Jaszczołd.

Nauczyciele języków: Poirsenot do francuzkiego, Grimberg do niemieckiego, a do kaligrafii Karger.

Na czele stajni stali Koniuszowie Zinekenbart i Szatkowski.

W części muzycznéj pierwsze miejsce zajmował Lessel, rodem Niemiec. Dawniéj nauczyciel księżniczek, obecnie chociaż był bez zajęcia pobierał pensyą, miał swój domek i ogród i namiętnie zajmował się doświadczeniami fizycznémi, a szczególniéj elektrycznością i piękne narzędzia posiadał. Przy nim podówczas bawił syn jego Franciszek po powrocie z Wiednia. Uczeń Haydna i w istocie artysta niepospolity, ale muzykę zaniedbał zupełnie. Zająwszy się urządzeniem Pilicy i domu w Warszawie dla księżnéj Wirtemberskiéj, tu osiadł i o muzyce zapomniawszy życia dokonał.

Orkiestra nadworna składała się z dwunastu muzykantów i dyrygował nią niezmordowany i dzielny Niemiec Schmeigler. Pomiędzy muzykantami za moich czasów prawdziwym talentem odznaczał się Zawiski, który grywał na klarynecie.

Grono tych dworskich osób zamykał Kapelan z zakonu Maryanów, karzeł Piotrowski, kapitan Szpencberger i wielu innych, których funkcye mi niewiadome.

V.

Przystępując do opisu życia dworu Puławskiego najsłuszniéj zda mi się rozpocząć od sportretowania gospodarzy.

Książę feldmarszałek Czartoryski w owym r. 1800 liczył lat 69. Wzrostu był średniego, szczupły, nosił perukę pudrowaną i tapirowaną podług mody, która istniała w środku panowania Ludwika XVI. Rzadko inny przywdziewał strój jak mundur austryacki błękitnawo szary, nakrapiany, z czerwonym, galonami haftowanym kołnierzem. Z orderów nosił tylko jeden złotego Runa. Nos miał cienki, orli, oczy ciemno-błękitne, mało ognia, ale wiele łagodności i słodyczy w sobie mające. Trzymał się zawsze prosto, miał chód wolny i poważny

i w całéj postaci coś imponującego. Nadzwyczajnie uprzejmy nie tylko dla obcych i dorosłych, ale nawet dla takich berbeci jak byłem ja, Heller i Matuszewicz. Nie było dnia, żeby z nami nie rozmawiał, nie wypytywał się o lekcye, nie dawał rad i przestróg. Kazał nam nadto do siebie pisywać i na listy z radami odpowiadał własnoręcznie.

Umiał kilkanaście języków, nawet mówił po turecku i arabsku z Turkiem swym Hassanem, którego mu ze Stambułu przysłali i który był kiedyś majtkiem na flocie tureckiéj. W Puławach znajdował się zawsze na pokojach, a jedyną jego funkcyą było podawanie cybuchów i drzewa aloesowego. Lecz książę mimo rozległych swych wiadomości mało wogóle mówił, a wolał słuchać konwersacyi innych, do któréj od czasu do czasu parę słów wtrącał. Mężczyzn nazywał zwykle po imieniu a nie po nazwisku.

W pałacu Puławskim mieszkał na dole w lewym pawilonie. Apartament jego dopierał z dwóch stron, do téj bogatéj biblioteki, która zawierała szacowne edycye literatur zagranicznych, a nieocenione ojczystéj, gdyż prócz zasobów, jakie taki miłośnik nauk jak książę nagromadzić zdołał, zakupiono bibliotekę porycką za złp. 600,000 to jest wszystko, co uczony Czacki przez całe życie po klasztorach przez *fas* i *nefas* zbierał. Zajmowany apartament składał się z czterech pokojów. W pierwszym siedzieli służbowi kozacy i lokaje, w drugim kamerdynerzy: Michał Frey, niemiec i Baptiste, francuz. Ten ostatni był postrachem młodzieży. Książę bowiem do dwóch rzeczy miał antypatyą: do filozofii Kanta i do włosów niepudrowanych, a ostrzyżonych jak podówczas nazywano *à la Brutus*, Jeszcze z Kantem było mniejsza, bo *skantowana* głowa dawała się *odkantować*, ale na ostrzyżone włosy nie było już rady. Wtedy do ostrzyżonego zjawiał się Baptiste z pudermantlem, pomadą i pudrem, i z rozkazu księcia chcącym lub niechcącym głowę osiwiano. Trzeci pokój książęcego apartamentu był przeznaczony wyłącznie do ubierania, a właściwie do fryzury i pudrowania. Czwarty służył za gabinet i sypialnią. W ubieralni prócz stolika, kanapy i kilku stołków, żadnych innych mebli nie było, w sypialni prócz łóżka, przy którym mały stoliczek, kilka krzeseł i ogromnego biura, mającego długości z dziewięć, a szerokości z pięć łokci, nic się więcéj nie znajdowało. Na tém ogromném biurze przez środek był ustawiony pulpit, a obok niego mnóstwo książek i cały przyrząd piśmienniczy. Żadnego obrazu, żadnego kosztownego sztychu tu nie dostrzegłeś.

Wstawał książę zawsze o dziewiątéj i w pudermantlu wychodził do ubieralni. Tam już oczekiwali na niego dworscy, to jest major Orłowski, kasyer Piramowicz, sekretarz Skowroński, Bernatowicz,

Łuniewski i Roch Orłowski, *factotum* Tarchalski i archiwista Zalewski. Ułatwiwszy z każdym interesa dzienne, przywoływał książę marszałka i koniuszego. Pierwszy donosił kto przyjechał, drugi odbierał zlecenia co do spacerów dziennych. Następnie po ich ustąpieniu wchodzili przyjaciele domowi, stale w Puławach mieszkający. Generał Orłowski, pułkownik Ciesielski, książę Konstanty, mój ojciec i inni. Ci asystowali operacyi pudrowania, po całéj izbie manewrując, aby puder obficie zdala sypany, sukni ich nie przykrył. W czasie tego zaś trwała pogadanka, która się zwykle o dziesiątéj kończyła. Poczem książę wypiwszy w sypialni kawę, udawał się do żony na tak zwane śniadanie. Ze śniadania tego zwykle mało kto korzystał, bo wprzódy zwykle każdy posilił się u siebie. Na gawędzie i paleniu tytoniu schodził czas do południa, poczem następował spacer konny z koniuszym i Ciesielskim. Między pierwszą a drugą jadał książę u siebie obiad z trzech potraw się składający, z których rosół i cielęcina pieczona stanowiły dwa dania niezmienne. Koło szóstéj przychodził do żony i tu do ósméj poufne a przyjacielskie toczyły się rozmowy. Do tego towarzystwa dwie tylko osoby były przypuszczane: księżna Wirtemberska i moja matka. Nawet książę Konstanty, jego żona i pani Zamojska w tych dwóch godzinach do rodziców nie przychodzili.

O trzeciéj dzwoniono lub bębniono na obiad. Zawsze kilkadziesiąt osób do stołu siadało, a czasami i kilkaset i stoły rozstawione były w dwóch salach. Domowi wprzódy o drugiéj godzinie jadali. Obiad koło pół do piątéj się kończył. Wieczorem schodzono się o ósméj, a w lecie, kiedy herbata była w Parchatce, Buciec (Budce?) lub na kępie, zbierano się wcześniéj.

Kolacyą dawano o dziesiątéj i księstwo zwykle między jedenastą a dwunastą salony opuszczali. Książę na kolacyą jadał zawsze tylko suche kotlety, a przy obiedzie u stołu wielkiego siedział, ale nic nie jadł. Wieczorem dzielono się na towarzystwa: konwersacyjne, które razem z księstwem przy wielkim okrągłym stole zasiadało. Kobiety wykonywały robótki ręczne stosownie do mody i zwyczaju. Pamiętam, że był czas, w którym strzępiono jedwabne materye na watę, odkręcano zużyte galony na topienie srebra, robiono kwiaty, a nawet i trzewiki. Nie mówię już o wyklejaniu szkatułek i pudełek do domu gotyckiego i mnóstwa podobnych rzeczy.

Drugi oddział towarzystwa bawił się graniem w bilard, szachy i karty.

Młodzież obu płci po otrzymaniu na to pozwolenia, odchodziła do drugiéj sali i tam z całą hałaśliwością wiekowi jéj właściwą, biegano, skakano, grano we wszystkie *petits jeux*, począwszy od ciu-

ciubabki i gotowalni, a skończywszy na lisie i pytce. Księżna Wirtemberska i pani Zamojska nie odmawiały zwykle udziału, lecz zabawa stawała się najprzyjemniejszą kiedy zdołano uprosić Ludwika Rembielińskiego, aby objął jéj kierunek. Matematyk ten niewyczerpany miał zawsze zapas konceptów do rozmaitego rodzaju rozrywek i kiedy się bardzo z wieczora rozochocono, proszono o pozwolenie tańców. W jednéj chwili nadbiegało dwunastu muzykantów z pulpitami, a dyrektor ich Schmeigler tem ochoczéj na skrzypcach przygrywał, im z większém życiem tańcowano. W momencie organizował się bal, który, ażeby większych nabrał rozmiarów, posyłano na pensyą pani Januszewskiéj, gdzie było zawsze dwanaście panien, otrzymujących edukacyą kosztem księstwa i spraszano innych w Puławach osiadłych.

Skoro księstwo opuścili salony, opuszczali je i inni poważniejsi i zostawała sama młodzież najczęściéj pod opieką księżnéj Wirtemberskiéj. Ta lubiła późno w noc przeciągać zabawy i nieustawano jak między godziną 2 a 3 nie tyle ze znużenia ile z obawy, żeby nazajutrz nie być strofowanymi za zbyt długie w nocy czuwanie.

Nie od rzeczy zda mi się będzie tutaj, żeby do osoby księcia feldmarszałka zbyt często nie wracać, podać szczegóły odnoszące się do jego żywota.

Urodził się w Gdańsku 1 grudnia 1741 r. z Zofii z Sieniawskich, jedynéj córki Adama Sieniawskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Pobyt w Gdańsku ojca jego Augusta i stryja Michała, miał związek z elekcyą Stanisława Leszczyńskiego, którego oni obaj byli stronnikami. Matka księcia Adama wniosła w dom książąt Czartoryskich ogromny majątek Sieniawskich i Denhoffów, gdyż poprzednio była za ostatnim Denhoffem i ten nie mając potomstwa ani blizkich krewnych, cały majątek jéj zapisał. Miasto Gdańsk trzymało do chrztu Adama, a na pamiątkę ofiarowało dla chrzestnego syna bogaty serwis srebrny, medalionami ozdobiony. W czasie wielkich festynów zdarzało mi się widzieć ogromne blaty srebrne do roznoszenia trunków służące, na których pięćdziesiąt szklanek pomieścić się mogło. Oprócz tych wazony na wino, małe do noszenia kieliszków szczególnego rodzaju i kształtu naczynia i inne tym podobne rzeczy.

Edukacyą otrzymał domową pod kierunkiem guwernera francuza pana de Mouet, poczém przez lat kilka zwiedzał kraje obce, pod dozorem Tomasza Pruszaka, kasztelana gdańskiego. Był w Niemczech, Włoszech, Francyi i Anglii, gdzie zabawił najdłużéj, przebywając w domu lorda Mansfield. W r. 1761 poślubił Izabellę, hrabiankę Fleming, córkę Jerzego Fleminga, Podskarbiego W. Ks. Litew-

skiego, wojewody pomorskiego i Antoniny z ks. Czartoryskich, siostry swéj stryjecznéj.

Z ust saméj księżnéj słyszałem, że kiedy po śmierci swéj matki wychowywana była u babki, księżnéj Katarzyny w Przybysławicach, o rękę jéj starał się Karol Radziwiłł, zwany „panie kochanku.“ Kiedy ks. kanclerzyna w Wołczynie bawiła, zaprosił on ich wszystkich na biesiadę do Biały. Przy stole, prócz zwykłéj służby, usługiwały niedźwiedzie, z których jeden, gdy hrabiance talerz odmieniał, ta ze strachu zemdlała i taką awersyą do księcia Karola powzięła, że o małżeństwie nie mogło być nawet mowy.

Pierwszy zawód służby publicznéj księcia Adama Czartoryskiego rozpoczął się odrazu od wielkiego dostojeństwa. Wiadomo, iż stronnictwo Czartoryskich miało silne wpływy na interesa krajowe za Augusta III. Książę wojewoda ruski więc wyjednał dla jedynaka syna dozwolenie odstąpienia mu posiadanego urzędu generała Ziem Podolskich. Niedługo po zawartém małżeństwie udał się książę Adam do Petersburga, a stosunek blizki, jaki miał z posłem pruskim, wprowadził go do poufnego towarzystwa wielkiego księcia Następcy tronu, który miał szczególną manią pruszczyzny. Wielki książę w towarzystwie księcia Adama bardzo zasmakował, nie mógł się bez niego obejść i codziennie na obiady go zapraszał.

Stryj księcia Adama i ojciec, przewidując niedaleki zgon Augusta III, a mając w zamiarze dokonanie reformy rządu rzeczypospolitéj, wysłali księcia Adama do Petersburga, celem zapewnienia sobie pomocy sąsiada, który już od Piotra W. zaczynał wielki wpływ na interesa Polski wywierać. Wielki książę Piotr sam pierwszy poddał księciu Adamowi myśl osiągnięcia polskiéj korony. Ale kiedy, jeśli nie z własnéj woli, to stosując się do życzeń ojca i stryja torował sobie drogę do tronu książę Adam, tymczasem stolnik Poniatowski silniejszą znalazł pomoc w Katarzynie.

Piotr III, pamiętny swéj przyjaźni i przyrzeczeń, w dniu wstąpienia na tron ozdobił księcia Adama orderem św. Andrzeja, lecz skoro krótkie jego panowanie koniec wzięło, uzyskanie tronu dla ks. Adama stało się bardzo niepewne, Stanisław Poniatowski, mianowany jeszcze za życia cesarzowéj Elżbiety posłem rzeczypospolitéj przy dworze rosyjskim, popierał gorliwie pierwszą część danych mu zleceń, to jest wyjednywał pomoc dla przeprowadzenia reformy, ale z drugiéj sam forytował się na króla. Książęta Czartoryscy, wiedząc o wpływie Poniatowskiego na Katarzynę, zaniechali myśli popierania księcia Adama, będąc przekonani, że również pod imieniem siostrzeńca panować potrafią i swe zamiary przeprowadzić zdołają.

Dlatego téż, kiedy po zgonie Augusta III, w końcu 1763 roku zebrały się sejmiki województwa ruskiego w Sądowéj Wiszni i tam zebrana szlachta ofiarowała ks. Adamowi swe wota na elekcyą, wymówił się od tego zaszczytu. Biograf jego i sekretarz Bernatowicz wzmiankuje nawet, że toż samo oświadczył i na propozycye Piotra III-go. Wiary temu dać nie można, bo do ostatnich chwil była nadzieja i kiedy Katarzyna przysyłała posła swego Kayserlinga, pisała do Poniatowskiego: „*J'envoie en Pologne Kayserling, avec ordre de Vour faire élire Roi— Vous ou Votre cousin le prince Adam Czartoryski.*“

Na sejmie konwokacyjnym 1764 r. objąwszy laskę marszałkowską, wyjednał książę Adam uchylenie *liberum veto*, ukrócenie władzy hetmanów i podskarbich i oddanie wojska pod straż komisyom. Na sejmie elekcyjnym jako poseł głosował za Poniatowskim i elekcyą jego podpisał. W r. 1764 był posłem Inflanckim, lecz kiedy pierwszy rozbiór kraju nastąpił, a nawet przedtem jeszcze, wraz z zawiązaniem się konfederacyi barskiéj, uchylił się zupełnie od spraw publicznych i lat kilka za granicą bawił.

W r. 1765 przyłożył się radą do założenia szkoły rycerskiéj kadetów, jéj przewodniczył i na jéj uposażenie łożył. Był generałem lejtnantem wojsk litewskich i szefem pułku gwardyi litewskiéj.

W r. 1775 wrócił znowu do życia publicznego, jako członek komisyi edukacyjnéj, a w r. 1781 został marszałkiem trybunału litewskiego.

Lecz już poprzednio zaczęły się niesnaski pomiędzy nim a królem. Zgon księcia kanclerza i ks. wojewody, a przedtém jeszcze wiek podeszły, usuwał ich zwolna od kierunku sprawami Polski, a nieszczęśliwy obrót, jaki nastąpił wskutku popieranéj przez nich interwencyi rosyjskiéj do spraw Królestwa Polskiego, osłabił stronnictwo Czartoryskich. Doszło wreszcie do tego, że wzmagające się niesnaski jawnie wyróżniły dwie partye: królewską i Czartoryskich. Wmięszały się do tego intrygi, których skutkiem była słynna w swoim czasie sprawa pani Dogrumoff, zbyt podobna do owéj naszyjnika królowéj we Francyi i ks. de Rohan.

Ponieważ druki odnoszące się do téj sprawy są dzisiaj rzadkością, w streszczeniu więc o niéj wspomnę.

Pani Dogrumoff, żona majora rosyjskiego, a o ile się zdaje francuzka rodem, kobieta obyczajów rozwiązłych, poznawszy się z anglikiem Taylorem, poprzednio kupcem, uprzedziła tegoż, jako osobę mającą stosunki z księciem Czartoryskim, że panowie: Ryx, starosta piaseczyński, a kamerdyner królewski i generał Komarzewski, adjutant królewski, dali jéj zlecenie otrucia księcia Adama. Taylor 11 stycznia 1785 r. ostrzegł o tém księcia i tegoż dnia dla otrzy-

mania bliższych objaśnień w towarzystwie Ignacego Potockiego, marszałka nadwornego litewskiego z ust Dogrumowéj usłyszeli potwierdzenie tegoż oskarżenia, a relacya jéj na piśmie, którą marszałek w dniu 14 stycznia uzyskał, oznaczała:

1° i 2° że Komarzewski, przyprowadzony do niéj przez Ryxa, obiecał jéj za zgładzenie ze świata księcia Adama nadanie wsi, pensyą roczną 500 dukatów i jednorazową gratyfikacyą 1000 dukatów. Że dał jéj proszek, służyć mający do otrucia.

3° i 4° że w celu namówienia jéj do spełnienia téj zbrodni byli u niéj sześć razy wraz z Ryxem.

Książę Czartoryski przypuszczając, że może niedostatek skłania panią Dogrumoff do podobnych zeznań, kazał jéj ofiarować 200 dukatów. Odmówiła przyjęcia téj kwoty, a przytém oświadczyła, że potrafi skłonić oskarżone osoby do powtórzenia obietnic i wyznania zamierzonego zabójstwa przy świadkach, których ukryć w swém mieszkaniu obiecywała.

Jakoż 16 stycznia o trzeciéj po południu przybył Ryx do pani Dogrumoff, mieszkającéj blizko Alei. Zaraz po nim stawili się świadkowie: Stanisław Potocki i Taylor, którzy w przedpokoju przezedrzwi rozmowie się przysłuchiwali. Skoro pani Dogrumoff powiedziała, że z księciem Czartoryskim zrobiła znajomość, że u niéj bywa, że teraz otruć go się podejmuje, byle osobę jéj zapewniono i obiecaną nagrodę wypłacono, na to Ryx miał zawołać: brawo! to dobrze.

Kiedy Ryx wychodził z pokoju, Taylor schwycił go za kołnierz, przyłożył lufę pistoletu do głowy i w ten sposób zmusił go do udania się do pałacu marszałkowéj Lubomirskiéj (dziś Stanisława Potockiego). Tu niebawem przybył Mniszech, marszałek wielki koronny, aresztowano Ryxa, Komarzewskiego i panią Dogrumoff i sąd marszałkowski zajął się tą sprawą.

Sąd ten składali: Mniszech, marszałek wielki koronny, Ignacy Potocki, Antoni Małachowski, wojewoda mazowiecki, Bazyli Walicki, wojewoda rawski, Tomasz Ostrowski, kasztelan czerski, Franciszek Podoski, kasztelan mazowiecki, Kicki, koniuszy wielki koronny, Stanisław Sołtyk, stolnik koronny, Kazimierz Rzewuski, pisarz koronny i Jerzy Wielhorski, pisarz litewski. Do pisania indagacyi 18 stycznia król przeznaczył swego sekretarza Glaire, rodem szwajcara, bo sędzia sądu marszałkowskiego Cieciszewski, nie umiał po francuzku.

Wyrok wydany 15 marca t. r. uznawał Ryxa i Komarzewskiego za niewinnych, panią Dogrumoff za oszczerstwa skazywał na wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i wypalenie na piersiach znaku

szubienicy,—Taylora uniewinniono od zarzutu wspólnictwa, za samowolne zaś aresztowanie Ryxa skazano go na sześć miesięcy wieży i sześćdziesiąt grzywien.

Księcia Czartoryskiego za to, że dopuścił wyroku co znaczyło w ówczesnéj terminologii prawnéj, że dopuścił zaoczności i nie stawał przez obrońcę skazano na zapłacenie sześćdziesięciu grzywien. Nakazano zarazem spalić dwa pisma przez stronnictwo ks. Czartoryskich ogłoszone pod tytułem: Pierwsze i drugie objaśnienie.

Początkowo pan szambelan Borysławski wniósł oskarżenie ze strony księcia Adama i chodziły pogłoski, że wskutek intryg dworu zabroniono adwokatom podejmować się sprawy księcia. To pewna, że panowie Kasperski i Chrzanowski, ówcześni najznakomitsi warszawscy patronowie, odmówili swéj pomocy księciu. To stało się powodem, że książę Adam postanowił dopuszczenie zaoczności wyroku, mimo, że familija jego gwałtownie nalegała, żeby przed sądem osobiście się stawił.

Zręczna była bardzo obrona Ryxa. Przywodzono w niéj, że pan Scudery, podróżując z siostrą po Francyi, na noclegu w oberży toczył rozmowę o romansie, któren pisać zamierzali, a który późniéj pod tytułem *Cyrus* wydany wielkiéj bardzo nabył wziętości. W rozmowie panna Scudery zapytała brata: *Et que ferons nous avec le prince Mazara? — Faut-il le faire périre par la foudre ou l'empoisonner?* Dwaj kupcy, którzy wpodle kwaterowali, usłyszawszy to zapytanie, w przekonaniu że o księciu Mazarin mowa, donieśli o tém policyi, aresztowano więc Scuderych, i ci z wielką bardzo trudnością usprawiedliwić się zdołali. Wogóle obrona ta z wielkim talentem ułożona, głównie polegała na tém, że trzem osobom jedynie do sprawy wpływającym zaprzeczono możności świadczenia. Pani Dogrumoff dlatego, że była delatorką, Taylorowi bo był jéj spólnikiem, panu Stanisławowi Potockiemu, bo był spokrewniony z księciem Adamem. Odsunąwszy świadectwa tych trzech osób, przyznawano, że Ryx był u Dogrumowéj, ale że zupełnie o czém innéim mówił. Wynikło to prawdopodobnie ztąd, że większość sądu była królowi przychylna: Mniszech, Walicki, Podoski, Ostrowski, Kicki, Wielhorski, byli z partyi królewskiéj. Małachowski i Sołtyk nie należeli do stronnictw, a pisarz Rzewuski i Ignacy Potocki, jakkolwiek Czartoryskim oddani stanowili znaczną miejszość.

Z dzisiejszego pojmowania rzeczy na sprawę tę patrząc przedewszystkiém uderza, że strony sędziów nie ekscypowały, a szczególniéj tak blisko spokrewnionych jak byli Mniszech i Potocki. Zdaje się nadto, że potomność nie przyzna trafności wyrokowi, bo naprzód mimo że doktór Jahn i za jego zdaniem inni lekarze i apte-

karze zeznali: 1) że dany do rozbioru proszek udzielony był w tak małéj ilości, iż niepodobna było doświadczeń dokonać dokładnie; 2) że trucizny mineralnéj jak arszeniku, ołowiu, miedzi, zupełnie nie było; 3) że jednak pies, któremu szczyptę jego zadano dostał konwulsyi. Mimo że doktór Goltz zawyrokował, iż proszek ten nie zawiera w sobie trucizny znanéj,— sąd zawyrokował, że proszek nie był trucizną. Opierając się na zdaniu biegłych, należało chyba oświadczyć, że jakkolwiek proszek nie jest trucizną znaną, ani mineralną, wszakże kiedy szczypta jego sprawiła psu konwulsye, musiał być szkodliwym. Daléj kiedy Ryx zaprzeczył treści rozmowy, jakoby słyszanéj przez Taylora i Potockiego, a ci z mocy prawa za świadków przyjętymi być nie mogli, należało sprawę dla braku dowodów umorzyć, a nie wymierzać tak srogiéj kary na panią Dogrumoff. W czém jeszcze sprawa ta godna uwagi, że poseł austryacki p. Ducachet dwukrotnie udawał się do rady nieustającéj z oświadczeniem, że osobę księcia Adama cesarz bierze pod swoję opiekę.

Wogóle sprawa ta choć sądownie badana pozostała okryta jakąś tajemnicą, a że wszystkie odnoszące się do niéj druki, publikowane przez stronnictwo Czartoryskich zostały popalone, więc nic dziwnego, że poinformowany tylko z jednéj strony badacz całą winę zwala na księcia Adama.

Pani Dogrumoff skazana na surowe kary, jak wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i piętnowanie znakiem szubienicy, od księcia Czartoryskiego brała znakomitą pensyą i mieszkała aż do zgonu wraz z małżonkiem w kluczu Jarosławskim.

Trudno także było nie wierzyć słowom osoby tak znakomitéj jak p. Stanisław Potocki, który ukryty pode drzwiami, całą rozmowę Ryxa z panią Dogrumoff słyszał. Bądź co bądź wyrok w tym procesie sprawił, że książę Adam zamieszkał w 1785 roku w Sieniawie, a sprzedawszy już poprzednio dowództwo pułku gwardyi litewskiéj, przeszedł w służbę austryacką i za cesarza Józefa II został zamianowany dowódcą gwardyi galicyjskiéj, szefem pułku jazdy i feldzeigmeistrem. Wybrany w r. 1788 posłem na sejm czteroletni z województwa lubelskiego, jeździł w 1791 r. do Drezna dla uzyskania od Elektora Saskiego przyjęcia korony polskiéj, ofiarowanéj przez stany jemu i jego córce. Tam poznał Henryka Dąbrowskiego, wówczas służącego w wojsku saskim i namówił go do objęcia obowiązków w szeregach ojczystych. Po przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiéj usunął się do Galicyi, a po insurekcyi Kościuszkowskiéj wszystkie dobra jego położone w kordonie rosyjskim skonfiskowano. Dla odzyskania ich zmuszonym został synów swych oddać w służbę rosyjską. Cesarzowa Katarzyna starszego księcia Adama przezna-

czyła do osoby cesarzewicza Aleksandra, młodszego zaś Konstantego na adjutanta wielkiemu księciu Konstantemu, a majątek skonfiskowany tymże synom oddać poleciła. Młodzi książęta na swe imię zatrzymując tytuł własności, zarząd dóbr i intraty z nich rodzicom zwrócili. Równie szczęśliwym nie był mój ojciec, dobra bowiem skonfiskowane mu na Podolu, już nigdy do niego nie powróciły.

Cesarz Franciszek Józef r. 1802 mianował księcia Adama Czartoryskiego feldmarszałkiem, kawalerem orderu Złotego Runa i szefem pułku piechoty, a w r. 1808 sejm węgierski jednogłośnie nadał jemu i jego potomstwu indygent magnactwa węgierskiego. W r. 1809 arcyksiążę Ferdynand wezwał go, aby odezwą do wojsk księstwa Warszawskiego wydaną zachęcał też wojska i młodzież do łączenia się z Austryą. Książę Adam w odpowiedzi swéj pomiędzy innémi odezwał się w ten sposób: „wprzódy byłem polakiem aniżeli feldmarszałkiem i dlatego nigdy podobnéj odezwy nie podpiszę.“

W roku następnym wykonał przysięgę na wierność księciu warszawskiemu i w 1812 stanął na czele konfederacyi, co było jego ostatnią posługą publiczną.

Od chwili cofania się wojsk francuzkich przeniósł się do Sieniawy i w Puławach już rzadko przemieszkiwał. Zgon jego nastąpił 29 marca 1829 r. w wieku lat 92. Przy końcu długiego życia książę Czartoryski zdzieciniał zupełnie. Pomięszały mu się wszystkie języki, które posiadał—grecki, łaciński, polski, rosyjski, niemiecki, francuzki, hiszpański, włoski, angielski, hebrajski, turecki, perski, arabski, węgierski i taką mieszaniną słów najrozmaitszych rozmawiał, nie będąc przez nikogo rozumianym.

Hrabia Fryderyk Skarbek na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk z dnia 5 maja 1825 r. w mowie pochwalnéj na zebraniu tém mianéj, skreślił zasługi tego światłego męża i jego działalność. Pisma jego, o ile mi wiadomo, są następujące:

a) Katechizm moralny i definicya dla korpusu kadetów.
b) Komedya: Panna na wydaniu.
c) „ Kawa.
d) „ Pyszno-skąpski.
e) „ Damy.
f) „ Gracz.
g) Myśli o pismach polskich, drukowane pod imien. Dantyszka.
h) Pamiętniki o elekcyi Henryka Walezyusza, przekład dokonany z p. Choisnin, a podpisany imieniem Turskiego.

Podobno i listy Doświadczyńskiego także jego są pióra, a że wszystkie jego prace są albo pod pseudonimami okryte, albo bezimiennie drukowane, przeto dokładnie oznaczyć je i wyliczyć trudno,

Księżna Izabella, żona księcia Adama, a wnuczka księżnéj kanclerzyny, z domu Wallenstein, pochodziła z holenderskiéj rodziny Flemingów. Ci najprzód, indygienat saski, a późniéj za Augustów i polski pozyskali. Ojciec jéj znakomity w Polsce posiadał majątek: Wołczyn, Włodawę, Izabelin, Terespol, oprócz starostw, a w Holandyi miał także dobra Gertruidensburg nazwane. Do tych przywiązane było prawo bicia monety i widziałem dukaty holenderskie, bite tamże pod stęplem ks. Izabelli z jéj wyobrażeniem w miejsce rycerza. Dobra te księżna sprzedała, czego sama późniéj żałowała często.

Wydana za mąż w czternastu latach życia, śluby te zawarła przez posłuszeństwo dla babki, u któréj, gdy matka ją odumarła, w dziecinnym wieku na wychowaniu zostawała. Chociaż książę wojewoda ruski, jeden z majętniejszych panów w Polsce z rządności słynął, związek ten wszakże skojarzony został jedynie ze względów majątkowych, bo hrabianka jako jedynaczka, całą fortunę Flemingów odziedziczyła. Ojciec jéj—o ilem z ust jéj własnych słyszał, niecierpliwym i żywym pozostał do zgonu, po polsku źle mówił i z akcentem niemieckim. To mu nie przeszkadzało piastować wielkie godności w rzeczypospolitéj, był bowiem podskarbim księstwa Litewskiego i wojewodą pomorskim. Żywość jego miała być taka, że kiedy w nocy wracał do swego mieszkania, zaraz wysiadając z powozu zaczynał zrzucać z siebie odzienie i do koszuli rozebrany dochodził do łóżka, nie zważając czy służba rozrzucone po sieni i schodach szaty zbiera. Dla tego także z księciem kanclerzem, flegmatykiem i człowiekiem sarkastycznym, nie mógł nigdy harmonizować i nie było przykładu, żeby zaproszony na obiad do niego, za stołem do końca jego dosiedział. Wolna i dłużąca rozmowa księcia Kanclerza zapalała go gniewem i porzucał teścia. Opowiadała mi nadto sama księżna, że w owéj epoce wcale nie była ładna i na krótko przed ślubem dostała ospy, która ją jeszcze więcéj oszpeciła. Dopiero koło ośmnastego roku życia nabrała téj przyjemności i wdzięków, które takiego hałasu w Polsce i za granicą były powodem.

Posiadała niewyczerpaną pamięć. Wiadomości historycznych ogromny zasób, mniéj się zajmowała literaturą. Konwersacya jéj posiadała nadzwyczaj wiele uroku, choć czasem satyryczność dziadka przypominała. Lecz mimo lekkiéj skłonności do szyderstwa, umiała być przyjaciółką, jakich trudno znaleźć, a litością i dobrocią serca współzawodniczyła z mężem. Oprócz tego polka całą siłą swych żywych i namiętnych uczuć i sentyment ten radaby przelać na wszystkich. W literaturze dwa jéj dzieła są mi znajome: jedno z rycinami, o sposobie zakładania ogrodów, — drugie: Pielgrzym w Dobromilu.

Koło roku 1787 podróżowała po Niemczech, Francyi i Anglii, w celu dokończenia edukacyi syna Adama. Moja matka odprowadziła ją do Paryża, ale ztąd, jak już nadmieniłem, z powodu spodziewanéj słabości do kraju wrócić musiała i odtąd tylko bez przerwy z sobą korespondowały. Najdłużéj zabawiła księżna w Anglii, gdzie zawiązała przyjazne stosunki z Lady Jersey, późniéj kochanką księcia Walii, następnie króla Jerzego IV. U niéj najwięcéj w czasie swojego w tym kraju pobytu przebywała, ale do zwyczajów angielskich nie mogła przywyknąć. W jednym z listów tak przed moją matką się skarży:

„Wyobraź sobie, że ci Anglicy posiadają kraj cudny, cały jakby jeden starannie utrzymywany ogród, nieprzebrane bogactwa, z któremi sami nie wiedzą co robić, oprócz tego mają ludzi światłych, kobiety anielskiéj piękności i mimo tych zasobów ciągle się nudzą. Nie znają co jest towarzyskość, co wylanie serca, przyjaźń i wszystko u nich zimne, skrzepłe, skrępowane etykietą, która w zwyczaj przeszła i od któréj jarzma wyłamać się nie umieją. Wszyscy posępni, smutni, milczący i jakby przyciśnieni ogromem nieszczęścia. O ludzie, jakże nie umiecie korzystać z darów Opatrzności! Nasza Polska sto razy lepsza i przy całéj swojéj biedzie sto razy szczęśliwsza."

Wówczas kiedym był w stanie księżnę lepiéj ocenić, cztery rzeczy szczególnie były wyłącznym zatrudnienia jéj celem: ogród puławski, włościanie puławscy i włostawiccy, zbieranie pamiątek narodowych i obcych i edukacya panny Zofii Matuszewicz. W ogrodzie sama sadziła i szczepiła drzewka, pielęgnowała kwiaty, nakreślała plany trawników i klombów i zbierała nasiona. Włościan wszystkich znała po imieniu i nazwisku, była wszystkich protektorką, przyjaciółką i kumą, bo wszystkie ich dzieci do chrztu trzymała. Z gorliwości jéj, ujawnianéj w zbieraniu pamiątek historycznych, nagromadzało się ich wiele w świątyni Sybilli i Domku gotyckim. Tego ostatniego zbioru katalog drukiem ogłoszony, katalog zaś Sybilli w starannym rękopisie, z pracowitemi winietkami tylko był mi znany. Co do panny Zofii Matuszewiczównéj, która w niemowlęctwie straciwszy matkę pod opiekę księżnéj się dostała, znalazła w opiekunce swéj więcéj jak matkę, bo księżna o własnych swych dzieciach nie miała tyle starania co o téj sierocie. W swoim pokoju ją zawsze trzymała, sama ją pielęgnowała i ani bony, ani guwernanki nie dopuściwszy, sama ją uczyła, a kochała jeśli nie więcéj, to na równi ze swemi dziećmi.

Księżna lubiła zabawy. Prócz polonezów jednak nigdy innego tańca tańczącéj jéj nie widziałem. Chociaż wiekiem od męża znacz-

nie młodsza, bo liczyła wówczas lat 53, zawsze świeża i ruchliwa śmiało jeszcze tańcować mogła. Co do księcia feldmarszałka, ten prócz polonezów tańcował menueta i kozaka, ale tylko z jedną panią Zamojską. Jóż wówczas obydwa te tańce wyszły zupełnie z mody i prawie żadna z młodszych osób tańcować ich nie umiała, księżniczka Zofia tylko dla przyjemności ojca ich się nauczyła.

Apartament księżnéj znajdował się na dole, w prawym pawilonie. Ściany przedpokoju okryte były werniksowanemi karykaturami angielskiemi niekolorowanemi. W sali, któréj sklepienie utrzymywały słupy czworograniaste, znajdowały się tylko cztery stołki, na wzór rzymskich zrobione i ogromna *en stuc* porfirowa wanna. W drugim salonie na ścianach porozwieszano piękne obrazy—same oryginały. Między temi celowały: Dolabelli—wjazd Ossolińskiego do Rzymu, dziś sztychy nawet z tego obrazu przez Dolabellę robione także do rzadkości należą. Daléj pejzaż Renbrandta, ś-ty Marcin Rubensa, Samarytanka Weroneza, bydło—Casanowy, portret matki Rembrandta—przez tegoż, kobiety, Leonarda da Vinci, i Wniebowstąpienie—Van Dycka. Obok tego salonu, w którym jeśli gości Puławy nie miały, zbierano się na śniadanie i herbatę—ku ogrodowi istniały księżnéj gabinety. W pierwszym piękny pejzaż Hakerta, w drugim, holenderskimi kaflami w ściany wmurowanémi wyłożonym umieszczono małą biblioteczkę z romansów złożoną. Ztąd była komunikacya do oranżeryi. Z drugiéj strony znajdował się pokój sypialny księżnéj, a w nim wielkie portrety księżnéj Wirtemberskiéj i pani Zamojskiéj, małe dwóch synów i sześć pejzażów szkoły holenderskiéj. Te ostatnie, późniéj darowane mojéj matce są dzisiaj moją własnością.

Do najbardziéj ulubionych zabaw księżnéj należał teatr i tak zwane fety, rodzaj obrazów z żywych osób składanych i bądź na kępie, bądź w ogrodzie, bądź w salonach przedstawianych. Teatrów było dwa—jeden na dworze, na kępie,—letni, drugi nad mieszkaniem księżnéj, obok sali białéj—zimowy. Sztuki dla nich pisali poeci i literaci bawiący w Puławach, a grywali miejscowi amatorowie, a często przybyli goście. Pióra Kniaźnina, Tańskiego, Kruszyńskiego, Karpińskiego, samego księcia i księżnéj dostarczały dramatycznych utworów, a czasem przedstawiano i sztuki francuzkie. Pamiętam graną Atalią Rasyna i Menechmów Regnarda.

Co do fet, tych było takie mnóstwo i taka rozmaitość, że je opisać trudno. Dla oryginalności wspomnę jednę z zabaw do tego rzędu należących.

Ogród Puławski oddziela od Kępy Łacha wiślana, ciągnąca się od Włostowic obok Puław, Marynek do Wisły. Nad jéj brzegiem wznoszą się strome wzgórza i wapienne skały, w których groty wy-

kute. Zrobiono projekt, aby całe towarzystwo podzielić na dwie części. Jednéj zadaniem było z łodzi i statków wylądować do ogrodu, drugiéj atak ten odpierać. Zawarowane było, że skoro jedna łódź osadę swą na brzegi wysadzi bitwa już wygrana, a broni innéj jak sikawki nie można było używać. Dowódcą siły wodnéj obrany został książę Eustachy Sanguszko, a odpierającéj Stanisław Zamojski. Dwa tygodnie oznaczono do potrzebnych przygotowań i głównie czasu tego użyto na sprowadzenie mnóstwa ręcznych i dużych sikawek i przygotowanie strojów tak dla siebie jak i dla ludzi zaciągniętych pod swe zwierzchnictwo. Stroje te musiały być odpowiednie do przypuszczenia, że nikt na sucho nie wyjdzie i że przystojność zacna wymagała, żeby turniéj ten wobec dam odbywać się mający, w niczem uczuć ich nie obrażał. Obmyślano rodzaj spancerów kazimierkowych spinanych, chustki na szyje białe, kapelusze słomiane, dolne ubrania także Kazimierkowe i buty z cholewami. Damy podzieliły się także na stronnictwa, a każda swego rycerza wstążką u kapelusza i dewizą udarowała. Dwa razy w ciągu miesiąca ponowiono tę zabawę i kiedy się zaczynała odpychano statki od brzegów długiemi żerdziami, i tak z rzeki jak i z brzegów wzajemnie na siebie masę wody wylewano. Jeden galar o mało nie zatonął taką masą wody go zalano i musiał się poddać, ale jak za jednym tak za drugim razem wybrzeże zdobyto.

Na zabawę tę przybyło także mnóstwo osób z Warszawy, a pomiędzy nimi kilku emigrantów francuzkich: ks. Fleury, ks. Grammont i Vicomte de Vassy, odznaczający się tem że po stracie oka nie nosił plastra, lub innéj osłony, jak to robią inni, ale miał oko szklanne wprawne, jak hr. Neuperg, drugi mąż wdowy po Napoleonie. Było zwyczajem przyjętym w Puławach, że każdy przyjeżdżający miał dodanego służącego na swoje rozkazy i nawet jeśli kto żądał na kilka osób oddzielnego do stancyi swojéj obiadu, herbaty, kolacyi, ponczu, lodów, cukrów—to wszystko ze skwapliwością mu dostarczano. Również udzielano do spacerów pojazdów lub koni wierzchowych. Rozkaz ten zaś rozciągał się nietylko do znakomitości, ale nawet my, młodzież tych samych hojności doznawaliśmy dowodów i częstokroć śniadania i podwieczorki wyprawialiśmy dla sproszonych. Co zabawniejsza, że często na owe partye, na których jako siurpryzę przygotowywano jakąś fetę w tajemnicy, zaproszono samych gospodarzy, którzy tym sposobem własnym swym kosztem byli traktowani. Owóż, kiedy wspomniany p. Vassy rozbierał się, kazał przynieść służącemu, dodanemu mu do usługi szklankę wody i, położywszy się w łóżko, wyjął oko szklanne i do wody wpuścił. Służący stał nieporuszony mocno tem zdziwiony czekał. P. Vassy, chcąc spać, zapytał go, cze-

goby czekał. Dobroduszny Maciuś odrzekł: Czekam, żeby JWPan drugie oko wyjął.

Większą część młodzieży, mieszkającéj w Puławach, opatrywali rodzice hojnie, aby w miejscu tak świetném i w ubiorze i w potrzebach niedostatku nie okazywała. Panowało więc między nią wielkie marnotrawstwo, a każdy chciał pokazać się panem i hojnym. Nie raz za podanie piórka do zębów dawano dukata. Jedną z przyczyn głównych tego zbytku był książę Dominik Radziwiłł, któremu opieka rocznie 200.000 złp. na jego fantazye płaciła i który, nie wiedząc co z pieniędzmi témi robić, siał je na los szczęścia garściami. Za popędem przez niego danym liczba wydatków stawała się ogromną, każdy dla siebie, służących, których przy osobie swéj trzymał, musiał sprawiać ubiory, a pieniędzmi na wszystkie strony rzucać sowicie.

W podobném życiu sześć lat przepędzałem, z początku jako dziecko, późniéj jako młodzieniec i korzystałem nietylko z nauki, ale i z zabaw, bo w Puławach młodych ludzi od towarzystwa nie odprawiano nigdy; rozmowa osób wysoko wykształconych wpływała na rozwój umysłów znakomicie. Przyjazne związki najściślejsze łączyły mnie z Hallerem, Stanisławem Hemplem, towarzyszami mojéj nauki, Jerzym Białopiotrowiczem, Puzyną i Radziwiłłem.

Puławy uległy zmianom co do ogółu budowli zamieszkanych, czyli pałacowych. Główny gmach, postawiony na cyplu znacznéj spadzistości wygazonowanéj, u schyłku tejże do Łachy wiślanéj, stu dwudziestołokciową płaszczyzną od niéj przedzielony. Przed księciem wojewodą ruskim służył on za wieżę i bramę obronną przewozu na Wiśle, która płynęła w miejscu, gdzie obecnie jest Łacha. Książę wojewoda bramę tę przerobił na pałac, architektura którego była dosyć oryginalną. W środku wznosił się korpus o dwóch piętrach w kwadrat podłużny, od strony południowéj dwoma pawilonami i czworobocznemi wieżami opatrzony. Na dole tego korpusu ganek, utworzony przez wsparcie wielkich schodów z ciosowego kamienia na arkadach. Schody te z dwóch stron zewnątrz budowli cały front zajmowały i prowadziły tylko na pierwsze piętro.

Na dole wielka sień flizami szwedzkiemi wyłożona, której sklepienia spoczywały na kolumnach porządku doryckiego. Ztąd drzwi na lewo prowadziły do apartamentów księżnéj, już przez księcia feldmarszałka przybudowanych i na prawo do biblioteki. Frontowemi drzwiami po kilku schodach zstępowało się do rodzaju szyi tak szerokiéj jak schody, a wiodącéj do salonu kształtu nieforemnego, którego ściany były ozdobione płaskorzeźbami, wyobrażającemi sceny mytologiczne. Salon ten przez lat kilka stał pustkami, a ztąd mnóstwo

do niego wiązało się baśni o strachach. Z salonu na prawo i na lewo, schody nie oddzielane nie tylko przedpokojem ale nawet drzwiami wiodły do dwóch wież, z których w każdéj znajdowały się apartamenta z trzech pokojów złożone. Dopóki całéj téj części na bibliotekę nie zajęto w apartamentach tych mieszkała moja matka. Co do salonu samego powszechnie utrzymywano, że z nastaniem nocy satyry i bachantki schodziły z płaskrorzeźb i straszne wyprawiały harce, inni zaś przysięgali, że słyszeli granie na fujarkach i trąbkach. Choć więc salon ten nie stanowił komunikacyi głównéj, korzystała z tych bajek młodzież i straszyla najczęściéj panny służące, zabierając się czasem i do osób poważniejszych. To było powodem, że płaskorzeźby zniszczono, a salon wraz z apartamentami po prawéj zajęto na bibliotekę. W kącie na prawo znajdowały się kręcone schody kamienne aż na dach prowadzące.

Na pierwszém piętrze tak od wejścia od schodów zewnętrznych, jako téż kręconych znajdował się obszerny salon, flizami wykładany i który pospolicie służył za jadalnią. Ztąd wchodziło się do sali zwanéj *białą*, gdyż cała sztukateryami tego koloru była wyłożona, a dwa ogromne kominy i parę pieców dostarczały tu w zimie potrzebnego ciepła. Nad kominami wisiały dwa portrety Lwa Sapiehy i Stefana Czarnieckiego, naturalnéj wielkości, ale nieosobliwego pędzla krajowego, w środku zaś pyszny także naturalnéj wielkości portret Maryi Ludwiki, królowéj polskiéj, pędzla Van Dycka. Niedaleko od wchodowych drzwi ustawiony był bilard i ta część sali przeznaczona także do gry w szachy i karty. W przeciwnym rogu stół okrągły, obszerny, mogący więcéj jak dwadzieścia osób wkoło siebie przyjąć. Tu w zimie podawano herbatę i całe poważniejsze towarzystwo zajmowało się tu gawędką, aż do jedenastéj w nocy. Młodzież, jeśli nie tańcowala, po rozejściu się starszych przy tym stole także w gry umysłowe zabawiać się lubiła. Najulubieńszą z nich byla tak zwana w *punkciki*. Polegała ona na tém, że jedna osoba układała jakiś frazes i stawiąc tylko początkowe wyrazów litery, resztę wypełniala kropkami i drugiéj osobie do odgadywania dawala. Szczególniéj zakochani lubili się tą grą zatrudniać, w doborze bowiem słów do odgadywania podawanych mogli wyrażać swe sentymenta, znaczenie ich utajając dla otaczających w wyrazach dwuznacznych.

Z sali białéj przechodziło się do drugiego, mniéj obszernego salonu, którego ściany wybite były jedwabną materyą chińską, zahaftowaną rozmaitego kształtu drakonami. Późniéj ozdobę tę zamieniono na popielate marmoryzacye. Komnata ta w niedzielę służyła za miejsce do nabożeństwa i w końcu jéj umieszczona mala kapliczka zawsze bywala zamknięta i tylko w czasie mszy ją otwierano.

W czasie nabożeństwa damy siedziały na krzesłach, a książę feldmarszałek słuchał go zawsze stojący, żeby więc staruszka nie mordować zbytnio, starano się jak najprędzéj odmawiać modlitwy. Najbieglejszym w tym względzie był ksiądz Dąbrowski, proboszcz Międzyborski i jego msza nie trwała więcéj jak dziesięć minut. Ksiądz Laville najmniéj znowu był sprawny, bo trzy kwadranse czasu dla odprawienia mszy potrzebował. Tu wieczorami młodzież się bawiła do czasu, póki starsi nie odstąpili jéj sali białéj.

Z tego salonu przechodziło się do tak zwanéj sali złotéj. Ta miała kształt szczególny, a ściany jéj całe były w źwierciadłach i złoconych floresach. Części stanowiące czworoboki były niższe od owalu środkowego, ozdobionego malowidłami Boucher. Meble tu kształtu starożytnego, kanapy i taborety wyzłacane, pokryte złotogłowami lugduńskiemi. W całym górnym apartamencie jeden tylko ten salon miał meble wysokiéj wartości. Tutaj zwykle tańcowano.

Ztąd drzwi na prawo prowadziły do apartamentów cesarskich, nazwanych tak na pamiątkę tego, że w nich mieszkał Cesarz Aleksander. Były to trzy pokoje, z których czwarty za pomocą przepierzenia zrobiony. Najobszerniejszy zieloną materyą wybity i pejzażami Norblina ozdobiony.

Ze złotéj i chińskiéj sali duże okna aż do ziemi wychodziły na balkon ciosem wyłożony, z którego odkrywał się piękny widok na przeciwległy brzeg Wisły. W rogach północnych znajdowały się dwa apartamenta, lecz te już nie do korpusu, ale do pawilonów należały i o nich mowa będzie niżéj.

Drugie piętro, na które wiodły schody kręcone, składało się tylko z dwóch salonów ogromnych i małéj komórki. W jednym z nich mieszczono pospolicie kilku młodzieży, dłużéj w Puławach bawiących, drugi zaś służył za skład głów drewnianych, z zamku krakowskiego zdjętych. Względem tych głów utrzymywała się legenda, że kiedy Zygmunt August jakąś sprawę sądził i skłaniał się do wydania wyroku niesprawiedliwego, one przemówiły: *Auguste-judica juste* i od téj chwili usta miały otwarte. Tu naznaczono kwaterę dla służby męzkiéj, ale jakże poczciwych Maćków przekonać, żeby spali wraz z drewnianemi głowami, które gadają. Póki więc głów tych nie przeniesiono do domku Gotyckiego lokaje wszyscy gnieździli się gromadą w małéj i ciasnéj komórce.

Dach ponad całym korpusem płaski, miedzią kryty, balustradą z ciosu okolony, na któréj ustawione z blachy dętéj rozmaite figury i armatura. Środkowa z nich przedstawiała olbrzymiego herkulesa, czy téż Atlasa, na barkach swych świat dźwigającego. Nad schodami

zewnętrznemi umieszczono dwa marmury z napisami, że budowa ta jest dziełem Augusta i Zofii Czartoryskich.

Za księcia feldmarszałka dobudowano na lewo dziedzińca pawilon, gdzie na dole znajdowały się już opisane apartamenta księżnéj, a na górze teatr, komunikujący się z salą białą. Pawilon prawy nie został nigdy dokończony. W nim mieszkał książę i mieściła się biblioteka, na górze zaś dwa apartamenty zachowane stale dla księżnéj Wirtemberskiéj i pani Zamojskiéj.

Prócz tych budynków, stanowiących całość pałacu, dotykały do nich dwie oficyny murowane, piętrowe i trzecia podobnaż dwupiętrowa, w któréj było archiwum i mieszkali oficyaliści. Między oficynami był czworoboczny dziedziniec. Z oficyną od strony ogrodu pałac był złączony dwoma cieplarniami, w których środku perystyl z kolumn jońskich stanowił wejście do ogrodu.

Ogród założony pierwotnie w guście włoskim, przez księżnę Izabelę zamieniony został na angielski. Zachowano tylko jedną ulicę lipami zasadzoną, która dopierała do końca góry i na któréj końcu wystawiono świątynię Sybilli, na wzór téj, któréj ruiny w Tivoli się znajdują. Aigner kierował pracami a dla naśladowania skał; sprowadzano zimową porą na saniach i walcach ogromne odłamy granitu, do których zaprzęgano po sześćdziesiąt par wołów. Od świątyni druga aleja lipowa w kształcie *berceau* wiodła do oranżeryi górnéj; po za którą znajdował się folwark, zwany Żulinki. Tu był mały domek mieszkalny i małe gospodarstwo, w którém hodowano szczególne gatunki drobiu i sześć *ponejów* karych, tak dużych jak brytany, korémi księżna zwykle na spacer jeździła.

Daléj rozciągał się obszerny, obmurowany ogród warzywny i fruktowy z czwartą cieplarnią, jedynie na stapelie i kaktusy przeznaczoną. To wszystko stanowiło ogród właściwy. Do niego od strony wschodniéj przytykał lasek, zwany *dziką promenadą* gdzie znajdował się sarkofag rodziców księstwa z kararyjskiego marmuru we Włoszech wykonany, a przez księcia Adama syna, kiedy był posłem przy królu Sardyńskim, tutaj przysłany. Za laskiem prześliczny pałacyk Marynkami zwany, w guście włoskim, z płaskim dachem przez Aignera dla książąt Wirtemberskich postawiony. W czasie wielkich zjazdów gości w nim także lokowano. Tu także oprócz pięknego salonu *en stuc blanc* z marmurowym kominem, w oknie umieszczonym, znajdowało się kilka cennych obrazów Norblina. Przy Marynkach była piąta oranżerya.

Od Marynek, w stronę Wisły rozciągał się wzdłuż Łachy tak zwany ogród dolny. Upiększały go smagło wzrosłe sokory, po trawnikach rozrzucone. Od punktu, gdzie Sybilli świątynia rozpoczyna-

ła pasmo górzyste, powykuwano w wapiennym pokładzie groty, a część ich z ziemi oczyszczona tworzyła skały, na których umieszczono napisy bądź z poetów łacińskich, polskich i francuzkich, bądź wspomnienia poświęcone pamięci nieżyjących osób, dla ukochanéj mojéj matki, po jéj zgonie kamień pamiątkowy w górnym ogrodzie położono, a dziwną koleją rzeczy ludzkich zacna pani, która utworzyła ten cały ogród cudowny, która każdego przyjaciela pamięć chciała w nim potomności przekazać, sama nic, coby o niéj mówiło nie uzyskała.

Przy grotach mieszkał pustelnik, miał w jednéj jaskini kaplicę i odwiedzających graniem na kobzie i teorbanie zabawiał.

Na Łasze most drewniany o jednym łuku, śmiało rzucony stanowił bliższą komunikacyą z kępą, a po za Łachą obszerna łąka zamykała się lasem z odwiecznych sokorów złożonym. Niektóre z nich miały bajeczne i co do grubości i co do wysokości rozmiary.

Naprzeciw pałacu na dole postawiono statuę Tankreda i umierającéj Kloryndy, a obok biła fontanna na trzydzieści stóp wysoko. Daléj zarośla z kasztanów, wśród których znowu sześć fontan, a nakoniec w cyplu sformowanym przez złączenie się Łachy z Wisłą Chiński czerdak, ocieniony wiekuistemi kasztanami. Za czerdakiem drugi ogród kwiatowy, warzywny i szósta oranżerya z cieplarnią. Z ogrodu dolnego sto schodów w obmurowaniu prowadziło do górnego a w tym ostatnim, zanim wystawiono Domek gotycki znajdował się duży salon otwarty z przodu i niemający frontowéj ściany, tylko zamiast niéj smukłą kolumnadę. Obok niego cztery pokoje, po dwa z każdéj strony, które także oddawano na mieszkanie młodzieży.

Nie opisuję Domku gotyckiego, bo ten jest sztychowany, jak również drukiem ogłoszony katalog zbiorów w nim zawartych, natomiast za obowiązek uważam obszerniéj pomówić o Sybilli.

Przy schodach u wejścia do niéj ustawiono dwa sfinksy z porfiru Ingryjskiego, dar cesarza Aleksandra, równie jak kopuła szklanna, sklepienie kończąca, a która oświecała wnętrze. Posadzka z wielkich płytów białego marmuru, ściany biało *en stuc* marmoryzowane, a kornisze (gzymsy) i sklepienia ubrane w bogatą ornamentykę. Cała budowa zawierała jeden salon okrągły, z framugą naprzeciw wejścia zasłoniętą karmazynową aksamitną oponą z kutasami i frędzlami złotémi, zawieszoną na brązowéj strzale. Po za nią zawieszone były miecze historyczne jak Władysława Jagiełły, przysłany przez wielkiego mistrza krzyżackiego w wilię bitwy Grundwaldzkiéj,—Stefana Czarnieckiego itp. W środku framugi, naprzód wysunięty postument

na którym ustawiona szkatułka hebanowa, w złoto i drogie kamienie oprawna, w którćj przechowywano łańcuchy, pierścionki i zegarki naszych monarchów. Pochodziły one po większéj części z grobowców królewskich na Wawelu i za wyjęcie ich księżna sprawiła lampę srebrną do grobu św. Stanisława, która dotąd nad grobem tego świętego jest zawieszona. Najciekawsze w tym zbiorze łańcuchy Zygmunta Starego, Zygmunta III, Batorego, królowych Anny, Cecylii Renaty i zegarki roboty Zygmunta III.

Na ścianach ułożone w sposobie trofeów starożytne zbroje książąt Ostrogskich, Zasławskich, Sapiehów, oraz sajdaki, łuki i strzały. W około ścian wielkie szafy półkoliste mahoniowe, w szufladach których niezliczone mnóstwo pamiątek. Jedne drogocenne, inne nie odznaczające się wartością, ale ważném wspomnieniem. Do rzędu tych ostatnich zaliczyć należało burkę hetmana Żołkiewskiego, koloru płowo żółtego, grubo pikowaną, w którćj pod Cecorą poległ. Były na niéj ślady krwi i miejsca przebite, w które rany otrzymał. Była ta burka tak ciężka, że trudno ją było kilka minut na ramionach utrzymać. Do pamiątek cennych jako wartość należą buławy słynniejszych hetmanów, laski marszałkowskie, szable znakomitych rycerzy, puhary, tabakierki, rogi, trąbki itd.

Na szafach ustawiano piękne starożytne szkatułki, wszystkie pamiątkowe, historyczne. Pomiędzy niémi wazon z kości słoniowéj przez Kościuszkę wyrobiony misternie, ręka Jana Kochanowskiego, czaszka Żołkiewskiego, i szczątki kości Bolesława Chrobrego.

Co do tych ostatnich ja świadkiem jestem, że są one autentyczne. W r. 1808 przejeżdżaliśmy przez Poznań, gdzie jak wiadomo ciało Bolesława spoczywa w tumie czyli kościele katedralnym miejscowym. Ponieważ gmach ten spłonął i groby więc w tym pożarze nadwerężone zostały. Zamierzono postawić nowy pomnik dla Bolesława i w tym celu subskrypcye otworzono, biskup poznański Górzyński wyjął owe kości Chrobrego z grobu, schowano je w skrzynkę, opieczętowaną pieczęciami biskupa i kanoników i złożono tymczasowo w zakrystyi.

Owóż księżnę ogarnęła chęć posiadania jakiéjś cząstki tych drogich pamiątek i z tym uporem pragnącéj czegoś gorąco kobiety, zapowiedziała, że póty z Poznania nie wyjdzie, dopóki celu swego nie dopnie. Na jéj prożby biskup sam w asystencyi kanoników skrzynkę otworzył, a przytomny temu doktór Khitel wskazał, że znajdują się trzy czaszki zamiast jednéj. Że Mieczysław I w Poznaniu także pochowany, oczywista więc rzecz że zwłoki syna obok ojca spoczęły. Trzecia czaszka jest czy Mieczysława II, czy Dąbrówki. Kiedy Khitel nad otwartą skrzynką spostrzeżenia swoje czynił, a księża się na

niego gapili, księżnéj i pannie Zofii Matuszewicz udało się parę ułamków przywłaszczyć.

Wracając do życia dworu Puławskiego, wspomnieć trzeba, że tańce wówczas były inne, aniżeli obecnie. Polonezy jedne miały przywiléj rozpoczynania balów, ale tańczono je z większą powagą, a szczególniéj przy przemianach i podawaniu ręki starano się w postawie obu płci wykazywać wiele gracyi, co w istocie nie jest łatwém i wtedy nawet nie wiele znajdowało się osób, które godnie w pierwszéj parze iść mogły. Polek nieznano wcale, a walce oryginalne, bez żadnych dodatków najwyżéj raz lub dwa razy w ciągu balu tańczono. Jedne z uprawianych podówczas tańców, które stanowiły uciechę dla widzów, były Fandango z kastanietami, menuety i kozaki, tańce przeważnie solowe. Towarzyskiemi były kadryle, ale nie francuzkie, Ecosez, krakowiaki i mazurki. Na końcu balu przychodziła kolej na *Gross-Vater.* Wszystkie dzisiaj nie będące w użyciu. Po wkroczeniu wojsk francuzkich nastały gawoty, i kadryle francuzkie, które despotycznie wyrugowały poprzednie.

Na stajni w Puławach utrzymywano koni wierzchowych trzynaście, cugowych ośmdziesiąt. Powozy wszystkie kształtu starożytnego, o których już dzisiaj trudno dać wyobrażenie. Ubiór stangretów stanowiły ferezye białe. Codziennie kilka koni wierzchowych zachowywano do dyspozycyi księcia, na innych jeździla młodzież, bądź na rajszuli, bądź na spacery w miarę czasu i okoliczności. Oprócz tych jednak większość miała także własne konie wierzchowe i kiedy całe towarzystwo w lecie jeździło na herbatę do Parchatki, Buńki lub Wólki, wtedy powozy z damami otaczała młodzież męzka na koniach.

Na czele służby stali kamerdynerowie, zawsze czarno ubrani, którzy oprócz obowiązków około księcia i księżnéj, nadzorowali także roznoszenia potraw. Lokaje ubrani byli w zielono jasne fraki z ponsowym kołnierzem i galonami, a w dzień powszedni w szaraczkowe jasne surduty z czarnemi aksamitnemi wyłogami. Tych było mnóstwo, bo oprócz do posługi przy stole, każdy gość miał przeznaczonego z nich jednego, do jego osoby. Prócz tego stale utrzymywano dwunastu hajdaków ubranych w suknie węgierskie zielone z czerwoną pasmanteryą i kilkunastu pachołków w długich opończach zielonych. Pierwsi nosili potrawy, drudzy załatwiali rozmaite drobne posługi i trzymali straż nocną.

Wydział marszałkowski, to jest koszta stołu, piwnicy i światła pochłaniały rocznie z górą 800.000 złp.

Książę feldmarszałek, o ile sobie dzisiaj przypomnieć mogę, posiadał następujące dobra:

W Nowéj Galicyi: Końskowolę z Puławami do stu tysięcy złotych rocznéj intraty czyniące. Daléj Samoklęski, Zakrzówek, Przybysławice, Garbów, Puhaczów, Tarnogórę, również ze 100.000 złp. przynoszące, Międzyrzec za 200.000 złp. Włodawę i Rożankę do 50.000 złp., i oprócz tego starostwo Latowickie.

Na Żmudzi starostwa Pienińskie i Kupiskie.

Na Litwie dobra Kossów i Wołczyn, dające intraty trzykroć sto tysięcy złotych.

Na Podolu klucze: Klewański, Żukowski, Mikołajewski, Zieńkowski, Międzyborski i Granowski, które do trzech milionów intraty przynosiły.

Ogół intrat liczono do sześciu milionów złotych, dobrami temi zarządzali komisarze i ci w jesieni z intratami i rachunkami do Puław się zjeżdżali. Książę Konstanty przy pomocy oficyalistów rachunków ich słuchał i zdarzało się często, że z dóbr podolskich do czterech milionów przywożono. Transport szedł pod strażą kozaków Granowskich.

Folwark Bukaczów na Pokuciu dostarczał tylko kapłonów na kuchnię, a te były tak wielkie, że i Normandzkim nie ustępowały.

(*d. c. n.*)

PIONIEROWIE GOTYCYZMU W POLSCE.

ARCHITEKTURA CYSTERSKA I WPŁYW JÉJ POMNIKÓW NA GOTYCYZM KRAKOWSKI XIV WIEKU.

(Dokończenie).

II.

W głębi dziedzińca *Sulejowskiego* klasztoru, za murami klasztorów *Jędrzejowa* i *Wąchocka*, widnieje ścisła grupa budowli przyczepionych do kościoła, gmachy to wielkie, opustoszałe, a jak w *Koprzywnicy* w części rozburzone. W *Mogile* pod Krakowem, zamieszkałe są dotąd, wskazując jeżeli nie dawny obyczaj mieszkańców w ścisłości średniowiecznéj, to ich strój i pobożność (?). To *claustrum*, klasztor właściwy, miejsce pobytu pokoleń Cystersów przez wieki, którego rozkładem lokalności kieruje obyczaj dawny. W XIII wieku dostęp tu świeckim wzbroniony, broni wejścia nowa furta z rozmównicą — i kościół ten wielki obszerny dla ludu zamknięty!

Jakkolwiek z dyplomataryuszów klasztornych, z tych kart pargaminowych, któremi utwierdzali książęta swoje i cudze darowizny, łatwo da się wyprowadzić ścisła data fundacyi każdego klasztoru, zaznaczyć stopień generacyi a więc i pochodzenie mnichów; początkiem klasztoru dla naszych celów jest chwila w któréj w Jędrzejowie, Wąchocku, Koprzywnicy, Sulejowie i Mogile stanęły te mury, które dotąd w częściach lub w całości dają dowód życia sztuki średniowiecznéj. Widzieliśmy bowiem, że obdarowani posiadłościami od fundatora długo namyślają się, gdzie najstosowniéj stały gmach pomieścić. Kronik klasztornych nie mamy, któreby zapisały epokę budowy, — styl budowli zaznacza nam epokę a potwierdzenie sądu w tym kierunku przynoszą te przywileje, na których czytamy: *in consecratione ecclesiae*, spisano je bowiem przy poświęceniu kościoła po jego ukończeniu. W r. 1210 biskup Wincenty Kadłubek, ten sam któ-

ry usunął się dobrowolnie ze stolicy krakowskiéj w zacisze klasztorne, ten sam, który w poczet świętych Cysterskiego zakonu policzony został, poświęca świeżo co ukończony kościół klasztorny w Jędrzejowie. Od téj daty zmieniał kościół i klasztor szatę swoją stylową razy wiele, została mu sukienka XVII wieku, przedłużyły się części kościoła, ale biegłe oko dostrzeże, że podwaliny, że detaile, tu i owdzie ukryte, należą do XIII wieku. Pomimo więc, że klasztor funduje Janik r. 1154, dla nas jest on XIII-owiecznym zabytkiem.

Roku *1207*, wedle zapisków tak zwanych koprzywnickich, które ogłosił Bielowski w III tomie Monumentów, budują kościół i część klasztoru w Koprzywnicy, przynajmniéj tak tłómaczyć musimy wyrażenie *templum fundatur clara provincia Christo*, — kościół fundują Chrystusowi w Koprzywnicy, co ze stylem kościoła dzisiejszego i reszty klasztoru zgadza się wybornie. Klasztor fundują Bogorye r. 1185. Daty budowli Wąchockich oznaczyć nie umiem, fundowany r. 1179, jeszcze w r. 1210 był— zdaniem Helcla—we wsi *Kamiena*, w powiecie Szydłowieckim, zatém budowy w Wąchocku stanęły znacznie późniéj.

Roku 1232 poświęcano dzisiejszy kościół w Sulejowie, erygowany 1179, — Mogilski dokumentnie pochodzi z r. 1266, przynajmniéj Prandota tego roku go poświęca, a r. 1253 już się buduje.

Z dat tu przytoczonych pokazuje się, że gdyby wszystkie te cysterskie kościoły dochowały się w pierwotnéj czystości architektonicznéj, mielibyśmy materyał do historyi architektury w kraju, zapełniający pierwszą połowę XIII wieku, a nawet przekraczający w drugą. Ale najpiękniejsze dzieła średniowiecznéj architektury zrozumianemi nie będą, jeżeli zapełniły się obcemi elementami sztuki ostatnich epok, dziełami baroka. Pierwotny architektoniczny charakter wnętrzy, ginie téż w tych naszych kościołach przy ołtarzach zepsutego smaku i przy lichych sprzętach. Pomalowanie ścian w bombastyczne produkcye malarza XVIII wieku, podrapane tynki, przesadne formami olbrzymie stalle i ambony, wrzaskliwe kontrasty chorągwi i feretronów, nie zawsze mogą dobrze usposobić widza do zabytku. Taki stan jest zwykłym pięciu naszych kościołów i potrzeba wprawnego oka, żeby w pośród tego chaosu widziéć jedynie tylko szkielet architektoniczny, niedotknięty przez nowych barbarzyńców, ubrany w dawną polichromią, ze stallami i ołtarzem romańskiemi, z posadzką we wzorzyste desenie. Przedsmak takiego stanu dają nam nawy boczne romańskie z restaurowanego kościoła w *Mogile*, że o prezbiteryum jego z powodu ołtarza wielkiego barokowego nie wspomnę. A jednak dość spojrzéć na zewnętrze kościoła w Wąchocku, który za najlepiéj z wierzchu dochowany uważać musimy, na świątynie

w Koprzywnicy i Sulejowie, aby doznać wrażenia jak od monumentalnéj niezwykłéj budowy.

Przyzwyczajonym do kościołów naszych, pospolicie otynkowanych zewnątrz i wrzekomo ozdobionych gipsaturami, dziwnie imponuje każda budowa z szlachetnych kamiennych ciosów czysto zbudowana. Te szychty wielkich bloków, starannie obrobionych podobają się, bo zaznaczają życie statyczne, ten jak widzieliśmy warunek estetyczny architektury. Najpiękniejszy cios, w sztukach wielkich umiejętnie obrobiony i wiązany, tak zwany *grand appareil* jest materyałem naszych kościołów z wyjątkiem ceglanego mogilskiego. Ten dobór kamienia twardego, zbitego piaskowca w dwu barwach szaréj i ciemno-czerwonéj, tworzącego pasy na zewnątrz kościoła w Wąchocku, przypominający Sieńską katedrę — ten wapień jędrzejowskich budowli i szlachetny materyał Sulejowskiego i Koprzywnickiego, szczernione czasem, zwracają najprzód na się uwagę. Ale to nie dosyć; możemy się dziwić nad rozumem Cystersów, owych przybyszów z dala wpośród nas, którzy umieli wyszukać materyał kamienny wyborny, do budowy jedyny, pouczyć miejscowych ludzi obchodzenia się z nim przy ciosaniu i rzeźbieniu, ale większy podziw w nas budzi rozumny układ planu naszych cysterskich kościołów i konstrukcya sklepień w związku z tém stojąca.

Historya architektury w Polsce notuje po raz pierwszy kościoły o bogatém rozwinięciu planu i o zasadzie sklepieniowéj— z chwilą czynności Cystersów na tém polu, a więc przy końcu XII wieku.

Pomniki romańszczyzny, jakie pod tą datą powstały u nas w kraju, są dość liczne i znamy je zbliska. Studya, których nad nimi dokonaliśmy, postawiły nas w możności obeznania się z ich pierwotnym układem. Wieki XVI, XVIII zawiele bawiły się przerabianiem kościołów, aby bez kłopotliwszych studyów i pewnego dowcipu, opartego na znajomości pomników lepiéj zachowanych, przyjść do tego było można. Za zasługę przyznaje sobie autor, że wielu zabytkom, choć na papierze, powrócił dochodzeniem pierwotną szatę. Inaczéj nie zbiera się materyału do historyi sztuki, a pozostawiam czyniącym igraszkę z umiejętności rezonowanie bez gruntownéj znajomości pierwotnej szaty pomników romanizmu naszego. Zabytki romanizmu Wielkopolski zarówno jak Małopolski i Mazowsza (katedra płocka, Czerwińsk), mają wiele motywów piękna a nawet plany dość rozwinięte, ale bądź co bądź są to wszystko bazyliki pułapowe z małym bardzo wyjątkiem. Z wyjątkiem *płockiéj katedry* o filarach i kolumnach naprzemian rozdzielających nawy, wszystkie inne są *filarowe* nawowe. *Katedra kruszwicka,* dzieło XI wieku, najstarsza po ruinach *kościołka na Ostrowiu lednickim.* *Tum Łęczycki* z XII

wieku, — kościoły: w *Inowrocławiu* i *Strzelnie* w *Wysocicach*, *Kościelcu*, *Gieczu*, *Lubinie* i t. p., jakkolwiek mniéj lub więcéj po romańsku się przedstawiają i dochodzą rozmiarów znacznych, sklepionemi nigdy pierwotnie nie były. Świadczą one o rozwoju sztuki, o stosunku z zachodem; ale podobnie, jak we Włoszech, konstrukcya sklepień nie zajmowała budowniczych, a łatwość dostania belek rozmiarów znacznych w naszym kraju lesistym, kazała poprzestawać na pułapach. Sklepienie niemniéj w téj epoce znaném u nas jest i natrafiamy nań w kościele *św. Prokopa w Strzelnie*, w lokalnościach dolnych wież *kościoła w Inowrocławiu*, a najbogaciéj uposażoną w nie jest *krypta na Wawelu*, dzieło Władysława Hermana, jeżeli nie Krzywoustego. Wszystkie jednakowoż te okazy nie mogą mierzyć się z zadaniem—zasklepienia wysokiéj nawy kościoła, są tu bowiem przestrzenie drobne, kwadratowe, widać téż i w budowie sklepienia wawelskiéj krypty, pewne dochodzenia, jak to wskazują spotkanie się nieregularne gurt na abakusach, wolno stojących kolumn. W naszych cysterskich kościołach Małopolski, w pół wieku po zbudowaniu Tumu łęczyckiego, owego arcydzieła swego czasu, zjawia się sklepienie w budowie nawowéj o bogatém nakreśleniu planu.

Odległe wiekiem i przestrzenią wielomilową budowy, mają kościoły nasze cysterskie pewien wspólny typ w układzie planu, jeden niemal charakter stylowy: wszystkie są w formie krzyża, mają nawy boczne niskie i krótkie, prostokątnie zamknięte prezbiteryum, z kaplicami po bokach. Brak wież jest im wspólnym, a przedewszystkiém odznacza je skromność ornamentacyi, szlachetna powaga proporcyi i ten rytm organiczny całości, co je odróżnia od współczesnych parafijalnych i katedralnych kościołów.

Układ planu, stojący w związku z konstrukcyą, wypłynął pracą lat poprzednich w gniazdach sztuki, — typ i charakterystyka poszła z obyczaju cysterskiego, prostota w zdobieniach, wywołująca znaczenie proporcyi i organicznego nastrojenia w harmonijnym rytmie, wynikły ze zdolności artystycznych Cystersów, prowadzonych myślą wyrażoną w liście ich najwyższego przedstawiciela — św. Bernarda, do Wilhelma opata. Jeżeli mniemanie o wspólnym typie cysterskich kościołów w całym świecie przez wszystkie epoki sztuki średniowiecznéj, głoszone do niedawna, okazało się przy bliższém zbadaniu pomników w Niemczech błędném, to sądząc z tych pięciu kościołów naszych, musielibyśmy przyznać, że jest prawdziwém. Ale zważywszy, że przybyli architekci wprost z siedliska sztuki, z Burgundyi, do budowy najstarszego kościoła w Koprzywnicy przynieśli pojęcie planu, będące tam na porządku chwili, i że nie mogła wpłynąć na odmianę jego sztuka miejscowa jak w Niemczech, bo tak

wybitnemi jéj pomniki nie były, — zrozumiemy tę jednolitość ich planów.

Koprzywnica, Sulejów a głównie Wąchock, mają kościoły najmniéj przeistoczone, trochę więcéj Mogilski, a w Jędrzejowskim już tylko badacza oko zdolne dostrzedz myśl pierwotną budowli XIII w. Gmachy to wyniosłe, wydłużone, zawsze w kierunku z zachodu ku wschodowi, których długość przeżyna poprzecznie ustawiona nawa, tworząc formę krzyża wyniosłémi dachami; na przecięciu zaś dachów pod kątem prostym, sterczy sygnaturka w stylu nowszych czasów, czasem tak olbrzymia jak w Koprzywnicy, że aż przygniata obszarem swym całą budowę kościoła. Forma krzyża wywołuje piękny efekt mas załamywaniem się ścian głównych, do których czepiają się u przodu niskie nawy boczne pulpitowemi pokryte daszkami; cztery wysmukłe facyaty z frontonami zaznaczają ramiona krzyża: jedna z nich wiąże się z klasztornym gmachem, inna zamyka kościół po za wielkim ołtarzem, przodkowa przepruta dołem w bogaty romański portal, ostatnia zwrócona jest ku ogrodom, dawniejszym cmentarzom klasztornym. Ogół to dobrze pomyślany, z delikatném jak w Wąchocku poczuciem proporcyi.

Obok wspólności ogólnego planu, indywidualność artystyczna w każdym gmachu naszym odmienną jest, jak skoro różnice czasu budowy przynoszą nowe motywa piękna. Widzimy te różnice zarówno zewnątrz jak wewnątrz kościołów naszych. Silnie występujący cokuł, stosunkowo wysoki, wiążący się za pośrednictwem gzymsu ze ścianami, które podpiera, będzie obiegał zewnątrz bez przerwy gmach cały, załamywał się około ramion krzyża, stanowiąc dobrze pojęty środek powiązania organizmu w jednę całość, środek, którego nasze kościoły XII wieku nie znały. Ma on toż samo znaczenie odcięcia budowy od ziemi, zaznaczenia jéj spodu, jakie znajdzie się w klasycznéj architekturze, a jednak sztuka średniowieczna własną pracą do tego pomysłu tu doszła. Ów gzyms wiążący cokuł ze ścianą, będzie jeszcze w Koprzywnicy szematycznym profilem romańskiéj bazy, o dwu wałkach rozdzielonych scotią, gdy w późniejszym kościele w Wąchocku przybierze ten wyraz siły gniotącéj z góry i elastycznego z ciążeniem połączenia, jaki otrzymano wałkiem podwójnie przegiętym, a odciętym u spodu z wielką finezyą, dwoma brózdkami. Profil ten pójdzie organicznie z cokułu w obramowanie portalu bocznego w Wąchocku, w Koprzywnicy, — w podziały pól facyaty zakończenia tylnego, lub da podstawę pod wciśnięte kolumienki tejże ściany w Mogile.

Ożywienie ścian zewnątrz, prócz samego układu ciosów, choćby w sposób tak szlachetny w szychtach dwubarwnych jak w Wą-

chocku, nie zdaje się zadawalniać architekta naszego: wprowadza on lizeny u naw bocznych w Koprzywnicy, które mają pod wpływem konstrukcyi wyrość w szkarpy w Wąchocku i Sulejowie; szkarpy te, ustępowo zakończone w górze, są zawiązkiem przyszłych piękności gotycyzmu, a jak tu ogzymsowanie cokułu, biegnąc po nich, wiąże je organicznie z budową. Właściwe ożywienie stanowią okna: mają one stosunki wysokości do szerokości, jak 1 : 2 i ten układ glifów półkolem romańskim w górze zamkniętych, co tak pięknie wyraża zapraszanie światła do wnętrza, tém skośném ich wycięciem. Delikatne uczucie architekta wąchockiego zaznaczy silnym wałkiem kontur niszy okiennéj od zewnątrz — znamię prawdziwie artystyczne. Jeżeli gzyms romański tak zwany *bois rompu*, w trzech naszych kościołach wybornie kwalifikuje się jako zamykający ściany i chroniący konstrukcyjnie, to umie artysta odnaleść jego stosunek do wysokości ścian, da go większym, silniéj wyskakującym o trzech wnętrzach u poddasza ścian wysokich, da mu przy mniejszych rozmiarach dwie tylko szczęki u naw bocznych wąchockiego budynku.

Najtrudniejsze zadanie miał mistrz ze ścianami frontowemi, bo jeżeli z jednéj strony reguła zakonna broni mu zbytkownéj ornamentyki, to z drugiéj — uczucie artystyczne wymagało tu motywów piękna rzeczywistego. Cóż więc robi? wzmacnia węgły przełamującemi się na dwie strony lizenami i doprowadza takowe pod spód frontonu progowato, ze ścianą je zlewając, lub traktuje je w rodzaju płaskich szkarp obok węgła swobodnie sterczącego. Główną ozdobą ścian frontowych są zawsze okna okrągłe, rozasy olbrzymich rozmiarów, oprofilowane efektownie, ozdobione szychtami ciosów dwubarwnych, w promień biegnących. Znajdzie czasem i tu ożywienie ścian tych rodzajem pól oprofilowanych po romańsku, w których spodem mieszczą się okna mniejsze półkolem zamknięte.

Najpiękniejszémi są frontony facyat i o tyle ciekawémi, że swą mniejszą lub większą wysmukłością przynoszą wiadomość o dacie budowli. Jeżeli w Koprzywnicy ślady pierwotnéj budowy podwyższonéj następnie w XVII wieku, a w Sulejowie podobnież, ale niepotrzebnie późniéj ogzymsowanych, świadczą, że ich formy i proporcye były romańskie,—w Wąchocku zdradzają już swą wypukłością drogę ku ostrołukowi. Będą one dołem szersze od przestrzeni objętéj murami nawy o tyle, ile gzyms okapowy tu się kończy i jest ściętym gładko. Gładki tympanon ożywia okno romańskie lub rozeta ze szprossami kamiennemi romańska, jak u facyaty w Wąchocku, gdzie wyjątkowo owe frontony obramowuje śliczny kapnik pierwotno-gotycki, wystrzeliwający w górę kamiennym krzyżem. Dodajmy

do tego, że na podstawie dokumentów kościoły te przed napadem Tatarów w r. 1241 były ołowiem pokryte, dziś są dachówką a częściéj podłym gątem pobite.

Tyle artyzmu przedstawiają dotąd nasze zabytki od strony otoczenia swego, — przypatrzmyż się jakiemi ich układ i artyzm był we wnętrzu.

Trzeba było tak szczęśliwych okoliczności dla budynku, jakiemi są uniknięcie pożarów, manii restauracyi i przerabiań, aby kościół w Wąchocku przechował się w tak poważnéj, niedotkniętéj ręką późniejszą zewnętrznéj szacie. Wszystko aż do pokrycia włoską dachówką starych wiązań modrzewiowych zdawałoby się pierwotném, prócz téj sygnaturki, kruchty i kaplicy XVII-owiecznéj Ś-go Wincentego. Koprzywnicki kościół ma front przerobiony w duchu upadku sztuki, — potynkowane zewnętrzne ściany, szkaradną wieżę w pośrodku i nadsztukowane mury po pożarach; Sulejów pokrył swój klasztorny kościół żelazną blachą, na czerwono pomalowaną, zaznaczając barbarzyństwo powiatowego architekta: poobwodził on téż gzymsem gipsowym krawędzie frontonów, potynkował co mógł; w Mogile tylko zakończenie kościoła od ogrodu zachowało starożytność, ale sprawa jego to rzecz osobna, kościół to ceglany w innym systemacie.

Wejdźmy do wnętrza przez ten portal romański Sulejowa, Wąchocka, ten portal, którego podwoje stoją dziś dla nas świeckich otworem, gdzie przedewszystkiém nikt nie broni wejścia drugiéj połowie naszego rodu. Obyczaj klasztorny chce w XI, XII, XIII a nawet XIV i XV wieku mieć tylko kościół dla użytku zakonników, komunikacyą z klasztorem i portal właściwy ma od strony mieszkań; wejścia głównego w niejednym kościele nie było. Portale naszych kościołów od frontu, a dostęp do nich przez dziedziniec gospodarczy—okazują, że mężczyzni świeccy, wieśniacy i robotnicy klasztorni przychodzili do kościoła, zajmując w nim miejsce odgrodzone murkiem od zakonników.

Wnętrze kościołów naszych jest pięknèm, jeżeli patrzymy na nie okiem badacza albo o tyle znawcy, że się umie rozróżnić linie architektury z pośród, jak mówiliśmy, chaosu sprowadzonego zapełnieniem sprzętami barokowemi. Jest ono trochę przyciemne, a ten półcień podnosi jeszcze majestat starożytnego piękna romańskiego. Wysokie, opięte żebrami sklepienie, spływa po ścianach wciśniętemi kolumienkami, pilastrami w grube prostokątne filary romańskie, co powiązane półkolistemi arkadami, oddzielają tę nawę główną od naw bocznych. Szereg sklepień nawy głównéj przedłuża się w głąb aż ku wielkiemu ołtarzowi, gdzie okno okrągłe i trzy mniejsze w rzę-

dzie, rzucają blask na ten przybytek Boży. Wzniosłe sklepienie krzyżuje się z takimże poprzecznic, tworząc spodem *transept*, nawę poprzeczną, przestroną, jasną. W przeciwieństwie do tych przestrzeni swobodnych, ciągną się obok nawy główněj obustronnie—nizkie, nieco ciasne, ale bogate w łuki, arkady, gurty i żebra, bogate w kroksztyny i filary u ścian — korytarze romańskie. To nawy boczne, w których najczęściéj opadłe tynki dają widzieć konstrukcyą ciosową, subtelną, staranną. Taki jest układ wnętrza, ale to nie wszystko jeszcze: w téj obszernéj nawie poprzecznéj, do którćj doprowadzają nawy główne i jéj sąsiady, nizkie nawy poboczne, w dalszym tychże kierunku znajdą się bramy do kaplic; będzie ich dwie, zupełnie jednakich, po każdéj stronie prezbiteryum w Jędrzejowie i Mogile, w Wąchocku zaś, Koprzywnicy i Sulejowie, tylko po jednéj. Należą one do właściwości cysterskiego planu kościoła, ale głównie znajdą się one w rodzinnéj ziemi zakonu, w kościołach klasztornych cysterskich. Jakie ich było przeznaczenie, nie zanotowały zbiory przepisów zakonnych; twierdzą pisarze cysterscy XVII wieku, że był obyczaj u Cystersów po skończonych wspólnych modłach pojedynczo modlić się na osobności w kaplicy. Każda téż kaplica nosiła tytuł innego świętego, najczęściéj św. Piotra, Pawła, Benedykta i t. d.

Ten sam charakter artystyczny, dążący do utworzenia organizmu, jaki znajdowaliśmy zewnątrz, przedstawia się we wnętrzu, tylko że tu konstrukcya wywołała większe bogactwo form. Układ filarów i arkad głównych, kształty i profile gzymsów są romańskie, a wszystko związane z sobą tak, że od samego spodu ciągnie się myśl konstrukcyjna i ona wywołuje estetyczną szatę. Patrzmy na te filary prawie identyczne w Wąchocku i Koprzywnicy, jak forma ich czworokątna wzmacnia się przydatkami, które wspólném z trzonem pokryte ogzymsowaniem, dają początek na trzy strony gurtom arkad i naw pobocznych. Te filary o płaskich ścianach wyrastają w formę wiązek wciśniętych kolumn w Sulejowie i Mogile, a prawdopodobnie w Jędrzejowie, konsekwentnie przedstawiając szczuplejsze to grubsze podpory pod gurty i żebra krzyżowe. Dawna prostota przechodzi tu w bogactwo właściwe katedrom romańskim.

Gładkie są ściany filarów od strony nawy główněj, a podstawy pod gurty, które winny wedle zasad romanizmu poczynać się od ziemi, wyrastają znacznie wyżéj u ścian ze wsporników kamiennych: leży to w potrzebie pomieszczenia stall przy ścianie. Ciągną się one jednak w górę zaznaczone kapitelami u podstawy gurt i żeber wyniosłego sklepienia, a ich abakus przedłuża się w gzyms biegnący poziomo przez całą długość naw wysokich, oddzielając pole podsklepienne na równi z pionowością, która daje początek gurtom głównym.

Pozornie wszystko tu jest romańskiém: w ogólnych formach i zasadzie jest niém ornamentacya bogata portali, są kapitele dinstów w Sulejowie, profile baz i abakusów i gurty, szerokie sklepienia, a jednak jest coś w tém, co choć nie zmienia charateru tego stylu, przynosi jakieś swobodniejsze traktowanie proporcyi, jakąś wyniosłość i lekkość sklepień. Oto rozpatrując się bliżéj, dostrzegamy, że na sklepieniach wszystkie łuki nie są zwykłém półkolem; te arkady, te żebra łamią się w łuk ostry - *to łuki gotyckie*, to żebra kamienne o profilu ciężkim, ale zamarkowane po gotycku.

Miałożby sklepienie stanąć późniéj na podstawach romańskiego wcześniejszego kościoła? O nie! to wszystko wiąże się harmonijnie z całością, to odlew z jednéj formy, jedna myśl artystyczna mu przewodzi.

Jeżeli czém są nasze budowle, to świadectwem, że gotycyzm idzie w dalszym rozwoju romańskiego stylu, a leży to właśnie w tém swobodném traktowaniu przestrzeni, które jest rezultatem konstrukcyi sklepień na zasadzie ostrołukowéj. Nikt nie marzył w epoce romańskiéj o zmianie motywów piękna—szczegółów, to zadawalniało wszystkich, ale myśl architektów zwróconą ciągle była w kierunku konstrukcyi sklepień, których forma wymagała pewnych stałych proporcyj w murach. Krzyżowe sklepienie romańskie nie zawsze i wszędzie zastosować się dało.

Przy końcu XII wieku w Isle-de-France i Burgundyi, w północnéj Francyi jakiś szczęśliwy mnich rozwiązał zagadkę, wprowadzając w miejsce półkolistego łuk ostry. Wprowadzenie żeber było już postępem w budowie romańskiego sklepienia: teraz posługuje się nim nowy wynalazek, co więcéj—szerokie ciężkie gurty przerabia na żebra, zdobiąc ich krawędzie profilowaniem. *Oto początek gotycyzmu*, którego pierwsze wprowadzenie do Polski zawdzięczamy Cystersom.

Niebyły to czasy kolei żelaznych i dziennikarstwa, a wiadomości o wynalazkach nie roznosiły telegrafy po świecie rozciekawionemu społeczeństwu. A jednak można powiedzieć, że zaledwie gdzieś w odległéj od nas Francyi wyrobił się *styl przechodowy*, już w lat niewiele mamy dzieła jego u siebie. Zadziwiać nas to nie będzie, jeżeli przypomnimy sobie stosunki klasztorów cysterskich nie tylko między sobą przez tak zwane generacye, ale stosunki z Francyą klasztorów niemieckich i polskich przez obowiązek każdego opata udawania się raz do roku do *Cystertium* na kapitułę generalną. Po drodze, która miesiące trwała, spotykali się zakonnicy z nowemi budowlami klasztornemi, gdzie przytułku szukali, a na zebraniu nie jednokrotnie mówiono o architekturze i proszono dla siebie o architektów. Co raz

uznano za postęp, stosowano w domu. Pomniki cysterskie w Niemczech, jak w *Heisterbachu*, *w Ebrach*, *w Walkenried*, będą przynosiły jeszcze więcéj niżli nasze tego świeżego elementu architektonicznego, bo sięgną po wzory katedr francuzkich.

Jeżeli łuk ostry jaki się zjawia na sklepieniu kościołów w Koprzywnicy, Sulejowie i Wąchocku, jest sprawą wynikłą z nowéj zasady budownictwa, to jednak nie rozwiązuje on sam zadania konstrukcyjnego; daje on swobodę w traktowaniu proporcyi przestrzeni, ale do utrwalenia wytrzymałości potrzeba będzie iść krok naprzód. Wypadki walenia się sklepień takich zaraz po ukończeniu nie są faktem oderwanym we Francyi przy końcu XII wieku; trzeba było parciom sklepień na ściany dać opór albo w grubszych jak zwykle ścianach lub w wymyśleniu nowego konstrukcyjnego środka. Tym środkiem były *szkarpy*, nowy krok w kierunku do rozwoju gotycyzmu, szkarpy które dozwolą następnie na tę przezroczystość wnętrzy, na tę koronkowość kamienną, jaką dają rozwinięte pomniki ostrołuku, katedry Niemiec, Francyi i Anglii a po części i Polski.

Jeżeli daty kościołów, jakie powyżéj postawiliśmy, szykują pomniki nasze w porządku pewnym, i najstarszym z nich będzie Jędrzejowski a końcowym Mogilski, to powinna się znaleść dążność do udoskonalenia tego nowego środka w każdym następnie budowanym dziele. Jędrzejowski do naszych studyów już nie przydatny, Mogilski wprowadza w inny system, bo to ceglana budowa; pozostają trzy inne na szczęście i dobrze dochowane i mające tak wielkie między sobą analogie, że je za dzieło jednego architekta pierwszéj połowy XIII wieku mieć musimy. Jedne profile abakusów, ten sam charakter sztuki, układ planu do tego mniemania nas upoważnia. Różnice są w rozmiarach, stosunkach szerokości naw i w mniéj lub więcéj odmiennéj konstrukcyi. Otóż jeżeli w najstarszym datą kościele koprzywnickim architekt waha się jeszcze w użyciu formy filarów i nie wie, czy je robić prostokątnemi, czy nasadzać je wiązkami uciśniętych kolumn, to w grubości murów widzi jedynie nadzieję wytrwałości sklepienia. Moglibyśmy miarami podanemi udowodnić, że jego mury są grubsze, wysokości sklepień niższe jak w innych jego towarzyszach. Nie ma téż szkarp Koprzywnica u naw bocznych, a jeżeli lekkie, więcéj do lizon podobne, na ich miejscu natrafiamy filarki, to one konstrukcyjnego znaczenia podtrzymywania parcia nie mają. W Sulejowie znajdujemy już te filarki wyrośnięte silniéj, a jednak nie są one konstrukcyjnym środkiem, jak skoro sklepienie od pierwszéj chwili grożące upadkiem musiano powstrzymać silnemi ankrami przeciągniętemi od ściany do ściany u spodu gurt sklepienia. Dopiero w trzecim pomniku naszym w kościele Wąchockim, ten sam ar-

chitekt umiał rozwiązać zadanie konstrukcyjne wprowadzeniem silnych szkarp u naw bocznych i dowcipném bardzo urządzaniem tychże u nawy głównéj, wyłączającém zagraniczne *szkarpy przerzucane* tak zwane *arc-boutants*, *strebebogen*. I oto zwyciężone trudności: sklepienie—wspaniałe dzieło XIII wieku—trzyma się bez pomocy ankrów trzyma tak silnie, że pomimo niebezpieczeństwa na jakie narażony był kościół w XVIII wieku przez rozszerzenie i podwyższenie okien, przez wykucie nowych otworów, gmach stoi i stać będzie silnie, dzięki rozwiązaniu zagadki konstrukcyi ostrołukowéj.

Jest jeszcze jedna sprawa bardzo ważna w układzie kościołów Wąchocka, Sulejowa i Koprzywnicy, to jest kształt półkolisty arkad rozdzielających nawy przodkowe, że one niemogły być ostrołukowe, jakby przynależało ze względu na linije sklepień, leżało w zasadzie konstrukcyjnéj, i właśnie téż to objawia zarówno epokę wyrabiania się zasady sklepionéj, jak dążność do organizmu. Łukami półkolistemi zakreślone są gurty przyścienne sklepień naw pobocznych, są zatem one miarą wysokości dla gurt poprzecznych tychże sklepionek; aby utrzymać się przy rozmiarach szerokości naw bocznych, użyto ostrołuku dla tych ostatnich. System podwójnéj liczby sklepionek względem sklepień nawy głównéj, używany w romanizmie, wywołujący stosunek naw do siebie jak 1 i 2—w ten sposób upada, dając swobodę w proporcyach kościoła pod względem estetycznym korzystniejszą? Z drugiéj strony uczucie estetyczne niemogłoby pogodzić prostokątnych filarów z kapitelami o ciężkich abakusach z arkadami ostrołukowemi, tracił by na tém organizm architektoniczny, tém więcéj tam gdzie, jak w Sulejowie, kompletnie romański układ przyściennych wiązek kolumn w żaden sposób niedałby się pogodzić z gotycką arkadą. Byli to więc rozumni i estetycznie wykształceni ci nasi architekci Cysterscy. Więc jakże nie oddać czci pomnikom naszym i owemu architektowi, mnichowi nieznanego nazwiska, który tu na naszéj ziemi, sam jeden, bez zachęty, bez uznania, zrobił to, co mieści w sobie zaród dla przyszłości. Że tak jest, że to pragnienie postępu ciągłego widnieje z naszych cysterskich budowli, dość przypatrzyć się najpóźniejszéj ich budowie, kościołowi w Mogile. Tu system jest niemiecki bo klasztor pochodzi z *Lubiąża*, który jest córką opactwa w *Porta coeli* w Saksonii; materyał nowy—cegła, i rozmiary wielkie, nowe nastręczają trudności. I patrzmy, to co znaném już jest budowniczemu bezzaprzeczenia wcześniejszego Wąchockiego kościoła, tu przez Niemcy jeszcze nie doszło. Kościół jest z roku 1256, a o szkarpach nie ma jeszcze mowy, choć ostrołuki znajdują się nietylko u sklepienia, ale w arkadach rozdzielających nawę główną od pobocznych. Rozmiary są świetne, proporcye majestatyczne, ale ar-

chitekt *niemiec* uciekł się do starego systemu katedr swoich, do podwójnéj liczby sklepionek naw bocznych, względem sklepień nawy głównéj, jak wtedy kiedy tego wymagało romańskie sklepienie krzyżowe, półkolistemi zakreślone łukami. Ten brak szkarp wywołał wkrótce upadek sklepienia nawy głównéj, i to po dwakroć, tak iż dzisiejsze jest beczkowém, na które wiek XVIII pracował. Upadek sklepienia prezbiteryum powstrzymały wkrótce dobudowane szkarpy, jak o tém dowodnie po za wielkim ołtarzem od strony ogrodu przekonać się można.

Postępem w budowie Mogilskiego kościoła, który nie mało zaważy w sprawie naszych krakowskich XIV wieku budowli, jest użycie współcześnie kamienia i cegły.

Gdyby zubożony wojnami Łokietkowskich czasów kraj nasz chciał, by za Kazimierza wielkiego tyle stawiać budowli z ciosu, ile ich postawił z cegły, zadaniu by dla braku pieniędzy nie podołał. Cegła jest tańszym niezawodnie od ciosu materyałem, a dla okolic pewnych jedynym wątkiem budowy, w warunkach artyzmu, bo trudno wracać było do pierwotnych form, jakie granitowe kamienie polne w Wielkopolskich wywołały kościołach. Zasługa w użyciu cegły, zdaje mi się, przynależy Dominikanom, którzy ją do Małopolski przynieśli z Lombardyi—starałem się dowieść tego w ostatniéj méj pracy o kościele św. Jakuba w Sandomierzu. Stało się to w pierwszéj połowie XIII wieku, a pierwotne kościoły Dominikanów i Franciszkanów w Krakowie przynoszą dowód, że obyczaj ten w stolicy kraju się przyjął.

Ale to nie dosyć; o ile cegła jest materyałem stosownym, to nie może bez zmiany pojęć piękna i całego nastrojenia, kamiennéj naśladować struktury: szuka ona form nowych odgniecionych z prasowanéj cegły, jak nas o tém pouczają Lehnińskie i Jerychowskie w Brandeburgii kościoły. Oto jak najmniéj szło architektowi Mogilskiemu; usiłuje on stać przy formach kamiennych, więc obok cegły posiłkuje się, gdzie potrzeba, ciosem. Będą więc żebra kamienne,— kapitele i abakusy kolumn, tychże bazy wykute z kamienia; co więcéj, sztywność ścian wymagać będzie przegrodzenia szycht cegieł szychtą ciosów i utworzy się polichromijna dekoracya wnętrza pierwotnego kościoła w Mogile, przypominająca duch polichromii kościoła Wąchockiego, oto co nazywamy postępem, co jest pierwszém słowem tych poematów, które katedrą na Wawelu i kościołem Panny Maryi w Krakowie nazywamy. Czyż nie są Cystersi pionierami gotycyzmu?

Historya sztuki dowodnie wykazała, że przewaga jednéj ze sztuk plastycznych w danéj epoce źle wpływa na kierunki dwu dru-

gich. Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w epoce malarstwa i że ono panuje nad architekturą i rzeźbą i nazwiemy pięknémi te dzieła tych ostatnich sztuk, które warunki malowniczości przynoszą. Surowe formy właściwe arcydziełom, chcemy widzieć w szacie malarskiéj, zachwycamy się rzeźbą udającą materye przezroczyste i jedwabne, dzieło architektury lubimy przeładowane ornamentami i koloryzacyą. Co nie trafia w miarę malowniczości, pomija ogół obojętnością. Nie dziw téż, że nie wszyscy umiemy poznać się na piękności naszych budowli cysterskich, naszego ołtarza Wita Stwosza, a sława którą głoszą obcy o gotyckich kościolach krakowskich XIV wieku, o katedrze na Wawelu, kościele Panny Maryi i kilku innych, jako o budowlach z odrębną cechą konstrukcyjną i estetyczną, mniéj zaważa u nas i mniéj podnosi dumę narodową, jak pobieżne szkica żyjącego naszego malarza. W malarstwie najczęściéj dzisiaj treść narodowa jaką artysta bierze za przedmiot stanowi o narodowéj szkole. Architektura i rzeźba narodową być może, ale cechy jéj charakterystyczne nie mogą treścią występować: swojskość—to wychowanie tych sztuk miejscową pracą. A w jakiejże epoce praca w sztuce na własną rękę w danéj okolicy więcéj miała miejsca, niż w wiekach średnich, gdzie ogniskiem sztuki były miasta stołeczne? gdy do Włoch po naukę nie jeżdżono jak od XVI wieku począwszy, gdy niebyło innych szkół artystycznych jak praktyka u mistrza duchownego lub świeckiego. Jeżeli więc w sądzie o pomnikach architektury i rzeźby średniowiecznéj głos zabrać chcemy, musimy na nie inném, nie dzisiejszém patrzéć okiem, a jeżeli pragniemy dowiedziéć się, czyśmy mieli cechy właściwe naszych sztuk, to zapytajmy o to pozostałe reszty. Bywają pytania bardzo ważne, ale śmieszne o tyle, o ile stawia się je nie na czasie; takim ważném pytaniem jest zapewne to czyśmy mieli cechy odrębne w sztuce średniowiecznéj, bo o odrębności w innéj epoce dla mnie mowy niema. Otóż śmiesznością rezonować o rzeczy, któréj się dobrze nie zna, a my pomników naszych średniowiecznych zaledwie od lat kilkunastu umiejętnie zapytywać czém są, i porównywać je z sąsiedniemi poczęliśmy. Rozrzucone po kraju, ukryte dla badacza, niewystudyowane albo tylko z lekka po amatorsku poznane, niemogą stanowić materyału, na którego podstawie można orzec czy była i w czem leży charakterystyka naszéj sztuki. Więc śmieszném było, gdy przed laty dwaj uczeni krakowscy filozof i artysta kruszyli o to kopie, niewyruszywszy po za mury Krakowa dla zapytania pomników; śmieszném, gdy z katedry głosi się zaprzeczenia charakteru sztuki, któréj się pomników nie zna i przerywa w ten sposób spokojną pracę zbierających od r. 1865 materyał do ich poznania, szczęśliwych że już wśród tego natrafiają rozwiązanie przynaj-

mniéj niektórych pytań korzystnie na rzecz narodowości. Jednym z takich jest na dziś sprawa konstrukcyi ostrołukowéj krakowskiéj XIV wieku i cechy kamienno-ceglanéj krakowskiéj budowli tejże epoki. Wyznajemy, że pierwszy Essenwein w *Mittheilungach* wiedeńskich jeszcze w roku 1865, podnosząc znaczenie takiego pomnika architektury, jak katedra na Wawelu, i pierwszy raz umiejętnie go studyując, zwrócił uwagę na odrębność jego konstrukcyi, ale bądź co bądź nie dotarł on do dna i pozostało nam zaznaczyć rolę, jaką zajmuje nasz ostrołuk XIV wieku w kościołach Polskich. Rozpatrując się w pomnikach po za Krakowem, znalazłem, że i wspaniała katedra w Gnieznie trzyma się tegoż systemu. Uwagi swe ośmieliłem się przedstawić na kongresie historyków i badaczy starożytności, odbytym przed dwoma laty w Krakowie, w formie zapytań, na które słusznie pragnąć mogłem odpowiedzi od specyalistów z różnych stron kraju przybyć mających. Jedno z tych pytań odnosiło się do genezy naszéj właściwości stylowéj, uderzało więc w strony, które odezwać się powinny głosem badaczy pomników po za Krakowem oświadczeniem, że ten system w zawiązku tu lub tam w kraju już widzieli. Brakło specyalistów, a koledzy moi krakowscy mogli mi tylko zwracać uwagę na pokrewieństwo prawdopodobne budowli polskich z holenderskiemi lub zapytywać: czyli w badanych przezemnie pomnikach romańskich nie znalazło się początku krakowskiego systemu. Na razie odpowiedziałem na to ostatnie przecząco, a jednak z przyjemnością dziś napisać mogę, że w romanizmie Cysterskim znalazło się rozwiązanie i to w tym pomniku, do którego roku bieżącego studya moje dotarły, to jest w kościele Wąchockim. Z obszernego przygotowanego materyału rysunków, trudu lat wielu, do pracy w tym kierunku, z którego dopiero można będzie wyciągnąć owoc to jest stanowczy dowód, czém jest ostrołuk nasz, jakiemi kieruje się zasadami matematycznemi w konstrukcyi i estetycznemi w formach, pozwolę sobie słów parę tu wypowiedzieć.

Przeszło pół wieku oddziela ostatnie budowy małopolskich Cystersów od gotyckich kościołów Krakowa, a przez ten przeciąg czasu zmieniło się pojęcie sztuki: z romańskiego stylu wyrosły gotycyzm wyrobił sobie właściwe estetyczne motywa i ornamentacyą, którémi odsunął się zupełnie od swéj kolebki. W budowlach cysterskich romańskich znaleźliśmy ślady budzącéj się konstrukcyi gotyckiéj, w pomnikach XIV wieku jest ona rozwiniętą zupełnie. Otóż to rozwinięcie po swojemu powinno przedstawić pośrednie wzory, stające między epoką ostatnich cysterskich a katedrą krakowską z roku 1320. Z dotychczas znanych zacytować możemy tylko, *kościół klasztorny w Staniątkach* z r. 1285 wydany w moich „Zabytkach budownictwa w ob-

rębie konserwatorstwa krakowskiego, i dawne części *kościoła Franciszkanów w Krakowie*, a głównie układ tu planu o ile nie zmienił go Zbigniew Oleśnicki, przybudowaniem wielokątnego zakończenia i ciekawe rozetowania dwu okien zamurowanych do połowy w prezbiteryum. Nie tracąc nadziei, że dalsze badanie pomników w małopolsce może odnaleść więcéj wzorów i odpowiedniejszych, zwracamy uwagę, że w obu naszych zabytkach system ceglano kamienny jest rozwiniętym, a gotyckie formy obok romańskich zajęły główniejsze stanowisko. Niemożemy tu jednakowoż szukać dziejów konstrukcyi sklepień naw przodkowych, jak skoro należą one do *takowéj budowy* w Staniątkach z mało rozwiniętemi szkarpami a grubémi murami, i gdy u Franciszkanów nawa główna przebudowana w XVII została wieku. Jednakowoż, że nić tradycyi cysterskiéj ciągnie się w budownictwie, to same profile kapiteli Staniąteckich wyraźnie wskazują, jak wskazywał kościół w Kościelcu pod Proszowicami taki sam związek. Tak kościoły w Staniątkach i franciszkański w Krakowie mają jeszcze jednę wspólność z planem cysterskim, to jest zamknięcie prezbiteryum prostą ścianą. Otóż tęż samę cechę znajdujemy i w gotyckiéj katedrze na Wawelu, zbudowanéj z kamienia i cegły—system którego użyli po raz pierwszy Cystersi w Mogile. Naddatki w tyle po za filarami naszych pięciu kościołów krakowskich XIV wieku, będące podstawami szkarp sklepienia nawy głównéj, z których rozwijają się arkady, o które wspiera się sklepienie naw bocznych niskich,—jest to co uwalnia od szkarp przerzucanych (arc-boutants, Strebebogen), używanych za granicą kraju w téj epoce, i co stanowi zasadę konstrukcyjną krakowską. Ależ wszystkie nasze kościoły cysterskie obchodziły się bez tego rodzaju przypór i wykazaliśmy powyżéj, jak stopniowo rozwijały się w szeregu lat te nasze środki konstrukcyjne; kościół w Wąchocku jest ostatnim rezultatem usiłowań i tu rzeczywiście znajdujemy pierwowzór naszego systemu krakowskiego. Silne szkarpy naw bocznych, wyskakujące blisko na metr od ściany (0^0 86 metra) przy szerokości 1^0 10 metra, są tutaj główném punktami parcia sklepień, podobnie jak w krakowskich kościołach owe szkarpy, co dziś weszły w ściany działowe późniéj przyczepionych kaplic. Z nad dachów naw bocznych ciągną się po ścianach nawy głównéj szkarpy dla sklepień wysokich—podstawa ich znajdzie się w Wąchocku w naddatku do filarów rozdzielających nawy, który rozwija się w arkadę dającą oparcie sklepieniu niskiemu naw bocznych.

Bez przerwy wyrastają szkarpy z wnętrza kościoła, przyznaję, że nieśmiało, małym stosunkowo wyskokiem u spodu (0^0 25), ale który wyrasta do podwójnéj miary przez odsadzkę ścian od zewnątrz pod nad sklepionkami naw bocznych. Od téj zasady do zasady kra-

kowskiéj krok tylko jeden: zwiększyć wyskok naddatku za filarem, a zadanie będzie rozwiniętém. W katedrze gnieźnieńskiéj zasada ta rozwinęła się estetycznie najwyżéj, ale to nas tu już nie obchodzi.

Jeżeli obcy przyznali pewien odrębny charakter ostrołukowym kościołom krakowskim, jeżeli znajdziemy tak piękne u nas gmachy jak kolegiata Sandomirska, kościół w Bieszu itp. bądźmy pewni, że odnajdziemy ich nić przewodnią w naszych budowlach cysterskich. Tu znalazła się geneza krakowskiego systemu szkarp, tu prostokątnego zamknięcia katedry Wawelskiéj i obejścia naw do koła, a użycie kamienia obok cegły obyczajem Mogilskim się wytłómaczy.

Ścisłość naukowa, jakiéj wymagałoby przeprowadzenie dowodu rzuconéj tu myśli nie może się obejść bez detalicznych objaśnień rysunkami pomników, bez głębszego wnikania w suche prawa konstrukcyi: miejsca po temu w specyalnéj publikacyi odpowiedniejsze niżli w tém piśmie, którego czytelnika i tak nadużyłem cierpliwości. Zbliżamy się téż do końca, ale opuszczając gmach przeszłości kościelnéj, radbym jeszcze przeprowadzić czytelników przez klasztor właściwy i obeznać z resztami architektury klasztornéj średniowiecznéj, jakie, na szczęście, dość obficie w powyższych znajdą się miejscowościach.

Częściéj w powieściach niż w rzeczywistości, występuje ów stary klucznik, oprowadzający gościa po zrujnowanych korytarzach, salach i sklepach starego zamku, który oddawna opuścili mieszkańcy, zabrawszy sprzęty i bogactwa: gdzie zniszczenie kompletne siłą zapanowało. On jeden stary pamięta przeznaczenie każdego gmachu i prowadzi, wskazując gdzie co było. Ciekawa to wędrówka i słuchać miło opowieści sługi o dawnych panach, w ruinach zamku; ale to przyjemności, których jak mówią, w naszych stosunkach rzeczywistych odmówić sobie musimy. Ruin dosyć się u nas znajdzie, ale kluczników, coby zapamiętali całość świeżą budowli, która w ruinę się rozsypała, braknie: złożyli oni już dawno głowę do grobu a ich synowie często obojętnie mijają pustkowie.

Ruiny, które rzeczywiście budzą ciekawość, bo stanem swoim dopominają się wiadomości o ich mieszkańcach zbyt jeszcze niedawnych, są reszty mieszkań klasztorów w Wąchocku, w Koprzywnicy i Sulejowie; oglądamy się w nich za przewodnikiem, pytamy starych sług sąsiedniego kościoła, zapytujemy miejscowych napróżno. Nikt nie umie wytłómaczyć, co znaczą te sale, te korytarze, sklepy podziemne, te oczerniałe ściany.

Zostawiam naszemu malarstwu przeniesienie na płótno ślicznych widoków walących się wnętrzy z efektami światłocienia, archeologom naszym oprowadzenie z Feilem lub Violet-le-Duc'em w ręku, po roz-

licznych salach i korytarzach i pouczenie o szczegółach życia domowego Cystersów w epoce surowości reguły: mnie pozostanie wydobyć ztąd piękno architektoniczne XIII wieku, idące w parze z pięknėm kościoła. Zadanie to nie łatwe, bo klasztory nasze w wieku XVII przebudowały się zupełnie; na szczęście budowały tak licho, że same się walą, pozostawiając nietknięte zębem czasu części średniowieczne.

Wiek XVII połączył składowe dawne części klasztoru pod jeden dach w Wąchocku, Sulejowie i Koprzywnicy, a jak tu, tak w innych, kilka osobnych gmachów piętrowych lub parterowych stało pierwotnie około krużganku głównego.

Od wschodu mieścił się *gmach dormitarza*, z kapitularzem i salą opata, zakrystyą i biblioteką; od południa *gmach refektarza* i kuchni bez piętrowy: od zachodu *zabudowania furty* z piwnicami i składami. W wielkich klasztorach, gdzie obok rolnictwa kwitła nauka i przemysł, gdzie klasztor wziął na się nauczanie i opiekę nad chorymi, stało takich gmachów więcéj.

W epoce, w któréj polskie rody w drewnianych mieszkały dworach, a zamki otaczaly się fosą i ostrokołem—tylko w klasztorach Cysterskich spotkać się można było, z monumentalną z ciosu budową, z wspaniałemi salami i komnatami sklepionemi.

Z masy późniejszych murów przepierzeń i przebudowań wydobywamy jeden taki gmach klasztoru Wąchockiego. Wznosi się on prostopadle do kościoła obok krużganku; facyata jego, zwrócona ku ogrodom, nosi na sobie piętno monumentalnéj budowy romańskiéj. Ożywienie ścian stanowią stosugi ogromnych ciosów, starannie układanych, szereg regularny okien piętra rozdzielają lizeny wydatne, zawieszone na wspornikach silnie profilowanych; zakończenie budynku zaznacza u poddasza piękny fryz arkadowy. Okna dolne grupują się odpowiednio do lokalności wewnętrznych, a wspólny z kościołem cokuł wiąże z nim gmach ten w organiczną jedność. Dach ołowiem kryty uzupełnia gmach nasz górą. Siła w połączeniu z prostotą jest wyrazem téj architektury, co Syryjską tak bardzo przypomina.

Wejście do tego gmachu osobnėm jest na piętro, bo z kościoła wprost po schodach, do olbrzymiéj jednéj sali do dormitarza, gdzie rząd filarów środkiem ustawionych dźwigał wspaniałe sklepienie podobne do kościelnego i miał též same gurty ostrołukowe i ten sam profil żeber; do dalszych lokalności idzie się z ramienia wschodniego krużganku, który był główną komunikacyjną arteryą między gmachami osobnėmi.

Tu przez otwarty *portal* z pięknėmi przezroczami romańskiemi po stronach dostajemy się do wspaniałéj salki sklepionéj, do kapitu-

larza; cztery kolumny z bogato rzeźbionémi kapitelami dźwigają gurty i żebra dziewięciu sklepionek, które zwieszają się u ścian wspórnikami niemniéj odmiennie, niemniéj bogato rzeźbionemi. Na ścianach, na gurtach stosugi ciosów rysują życie statyczne: takie to piękne, szlachetne, ciche, poważne, i to sięga XIII wieku. Dzieła sztuki nieumierają, one są czemś więcéj jak zabytkiem archeologii przedhistorycznéj, czemś więcéj jak krzemykiem lub urną.....

Pomijam obok położony *karceres*, *sień przechodnią* i posuwamy się do ostatniéj najwięcéj oddalonéj od kościoła lokalności — sali opata klasztornego. Tu, w Wąchockim gmachu, ma ta sala odmienny wyraz od sali kapitulnéj. Z jednego w pośrodku filaru, ujętego w formy proste, energiczne, rozchodzą się gurty do pilastrów i wspórników u ścian, w sposób pierwotny ale dziwnéj siły i charakteru. Mimowolnie wywołuje jéj widok, dziś jeszcze postać tego dzielnego opata, który rzucony w świat obcy, gmach ten buduje i rozkazy wydaje.

Mniéj więcéj i w *Koprzywnicy* i w *Sulejowie*, a do niedawna i w Jędrzejowie, dalsze lokalności takiego gmachu zachowane są dobrze; w Koprzywnicy ogrzewalnia urasta do rozmiarów wielkich, bo ma trzy w rzędzie filary; w Sulejowie zostanie w ruinach największy kapitularz romański z cegły zbudowany, z użyciem ciosu, jak w Mogile. Romańska zakrystya a może biblioteka pierwotna, znajdzie się tylko w Koprzywnicy; ale najwięcéj pod względem piękna wart był uszanowania kapitularz Jędrzejowski: pozwoliliśmy mu przed laty kilku rozsypać się w gruzy—dziś go niema. Mówię o nim jako o nieboszczyku, którego testament spoczywa w papierach po ś. p. Bolesławie Podczaszyńskim. Trzeba było widzieć zapał, jaki ogarnął na widok pomnika, znakomitego archeologa; zebrał on dokładne jego rysunki, zanim runął. Miał pisać studyum i publikować—śmierć mu je przerwała.....

Trudniéj w pomnikach naszych o stary dormitarz; mieścił się on na piętrze gmachu klasztornego gdy z zaprowadzeniem wygodnych celek, osobnego dla każdego mnicha mieszkania, niepotrzebną okazała się *sypialnia*, zniszczono ją przebudowując piętro; to téż tylko w Wąchocku znaleźć moglibyśmy ślady i z nich odbudować dormitarz polski XIII wieku. Drugi osobny gmach przy ramieniu krużganku południowém, więc odsunięty od kościoła o całą szerokość *wirydarza*, znaleść się powinien dla pomieszczenia refektarza i kuchni. Bywają i *kuchnie* monumentalnemi budowami w klasztorach średniowiecznych, i to nielada. U nas prócz gmachu refektarzowego w Koprzywnicy, bardzo zresztą pięknéj ceglanéj budowy gotyckiéj z XIV wieku, z olbrzymią wewnątrz salą gotycką niegdyś na 3 fila-

rach szczupłych sklepioną, — dotąd romańskiego refektarza nie zaznaliśmy. Spotkaliśmy się z nim dopiéro ostatnich miesięcy i to znowu w tyle razy wspomnianym Wąchocku. Gmach był bezpiętrowy, węgieł jego wschodni odszukać się daje, ale zakończenie od zachodu niepewne, bo wiąże się z dalszą częścią klasztoru renesansowego. Czyli więc były dwa w nim refektarze zimowy i letni—odpowiedzieć trudno. Pozostał *romański refektarz zimowy*: sala szerokich rozmiarów z olbrzymiemi trzema oknami od południa i otworami w ścianie do podawania potraw z kuchni. Wejście do niéj z krużganku.

Artystyczną piękność jéj stanowi sklepienie krzyżowe o trzech polach, rzucone niesłychanie śmiało. Silnie profilowane gurty i żebra, już prawie gotyckie, wyrastają z wspaniałych siłą ornamentacyi wsporników u ścian. Wszystko to wdzięczne a poważne: z dziwną energią zarysowują się kamieniem ostrołuki sklepienia, ściany noszą ślady polichromii—nawet figuralnéj. *Trzeci gmach* którym zamykała się środkowa krużgankowa przestrzeń klasztorna, gmach od zachodu ciągnący się na równi z frontem kościoła, był zwykle w średniowieczu pomieszczeniem furty i nowicyatu; tu było wejście do claustrum za klauzurą, tu składy, piwnice dla łatwego dostępu od zewnątrz.

Już tu nigdzie romanizm nie kwitnie w téj okolicy klasztoru cysterskiego, nie ma go w żadnym z naszych, i gotycyzm rzadki— zburzono, przerobiono wszystko. Ale nie, mamy jeszcze choć reszty tego gmachu w Mogile, w tych podziemnych sklepach, w tych ich arkadach ceglanych, wyrastających z filarów; to najmonumentalniejsze, jakie znam, piwnice z osobnym dostępem przez równię pochyłą od dziedzińca gospodarskiego. Styl cysterski i tu panuje.....

Skończyliśmy przegląd pomników architektury klasztornéj XIII wieku w opactwach naszych, ale nie wyczerpaliśmy jeszcze całego zasobu ich piękna, więc jeszcze słów parę poświęcić im należy.

Szlachetne umysły zapragnęły stworzyć w Warszawie skarbnicę dla przemysłu i artystycznéj rękodzielnika wiedzy, kraj cieszy się już témi objawami ruchu przygotowawczémi, widzi w przyszłości zapełnione sale muzeum nie tłumami ciekawych, ale szerokim kołem pracowników szukających tu wzorów. Niewątpię, że wśród rozmaitych działów przyszłych zbiorów znajdzie się sala odlewów gipsowych, najpiękniejszych ornamentacyj, architektonicznych rozmaitych stylów, nieprzebrane źródło jak nazywamy dzisiaj *gustu*, w jednóm i drugiem artystycznóm rękodziele. Gdyby nam przy dzisiejszéj naszéj niewiadomości, pokazano między témi odlewami z ośmdziesiąt co najmniéj wielkich kapiteli romańskich oplecionych śliczną ornamentacyą roślinną, z ogromnym pojęciem architektonicznego

rytmu, i powiedziano, że odlano je na oryginałach w Polsce, tu od XIII wieku w miejscu publicznem, dostępnem przechowanych, jestem przekonany, że większa część zwiedzających nie chciałaby wierzyć. Sześćdziesiąt tych odlewów należałoby, co najmniéj, do Cystersów i ich pięciu klasztorów w Małopolsce. Jędrzejów dostarczyłby ich 15, Koprzywnica 6, Sulejów co najmniéj około 16, Wąchock 18, nie licząc drobniejszych rzeźb fryzowych, a jeżelibyśmy wliczyli w to i kapitele podwójne z niezawodnego dzieła architekta Cystersa *kościoła św. Wojciecha w kościelcu pod Proszowicami*, liczba powiększyłaby się dwudziestoma. Obok skromności w zdobieniach, jaką charakteryzują się nasze cysterskie kościoły, skromności, która jeżeli wynikła z ducha reguły, miała tak wielkie dziejowe znaczenie, że postawiła zasadę mas, rytm proporcyi w architekturze, po nad strzępienie ozdobami i wywarła ten skutek, jaki przynosi lekarstwo na zbytek, przygotowując romanizm do przejścia w gotycyzm konstrukcyjny; sale, przeznaczone na użytek domowy, niewahały się twarde linie swéj architektury bogatą miękczyć ornamentacyą. W jednym téż Sulejowskim kościele kapitele dinstów i filarów są ornamentowane szczególnym wyjątkiem od przepisów, ale nie ma kapitularza, któryby nie miał ozdób roślinnych w kamieniu kutych. A są to ozdoby tak szlachetne, tak stylowe, że je za wzór brać można, ornamentacya romańska posługuje się u Benedyktynów francuzkich motywami zarówno roślinnemi jak z fauny rzeczywistéj i bajecznéj. Motywa te mięsza z sobą, co więcéj tworzy świat dziwactw, w którym erudycya klasztorna niemałą gra rolę. Powstaje gwałtownie przeciwko stosowaniu jéj do religijnego gmachu wielki św. Bernard, a słowa jego, wyjęte z listu do Wilhelma S-ti Teodorici opata, czém ona była pouczają: „*Cóż znaczą w klasztorze obok modlących się braci te śmieszne potworności i dziwne, te nieforemne kształty i kształtne dziwolągi; co te ogromne małpy, dzikie lwy, potworne centaury, pół-ludzie i plamiste tygrysy. Co znaczą te walczące żółwie i w trąby dmący myśliwi? Zobaczysz, jak liczne ciała mają jedną głowę lub na jednym tułowiu wiele głów się mieści. Ujrzysz czworonoga z wężowym ogonem, rybę z głową czworonoga, tam dzika bestya ciągnie za sobą formy kozy, przerasta konia ogromem, tam rogate bydle przemienia się w rumaka. Ta dziwna zbieranina kształtów sprawia, że więcéj byś chciał czytać na marmurach jak w kodexach, a dzień cały zeszedłby ci, dziwiąc się wszystkiemu po kolei a zapominając o prawie Bożem. Boże, jeżeli nie wstyd głupoty, czemuż ona nie obmierznie......*“

Cystersom przynależy się téż zwrot do warunków ornamentacyi architektonicznéj; trzymają się oni tylko roślinności w Synejskich zabytkach czerpanéj, roślinność to konwencyjna; wprawdzię

takich liści jak na kapitelach w Sulejowie i Wąchocku nie ma na świecie, ale natura wzrostu liścia, jego przegięć zachowaną jest wszędzie. Co przedewszystkiém nas zadziwia, to miara w jéj użyciu i logiczność w zastosowaniu do ogólnéj formy, a więcéj jeszcze taka niezrównana fantazya i to bogactwo pomysłu, które nigdy dwu jednakich wzorów nie stosuje. Każdy kapitel, każdy wspornik ma odmienne ozdoby. Gdyby przyszło dzisiaj wykonać 12 odmian, jak w kapitularzu wąchockim ozdób, przy zachowaniu jednego charakteru, pytalibyśmy się: komu to powierzyć, czyli kamieniarzowi naszemu? czyliby architekt nasz miał to bogactwo pomysłów? a jednak nie brak nam wzorów, których kraj w XIII wieku dostarczyć nie mógł. Mnich, podobnie jak Bartłomiéj Berecci w kaplicy Zygmuntowskiéj, przyszedł do Polski z całym zasobem artystycznéj twórczości, że mu z pod dłuta wychodziły coraz to nowsze pomysły. Roślinność panuje we wszystkich naszych klasztorów ozdobach, ale będzie ona w Sulejowie związana z motywami geometrycznemi, plecionkami koszykarskiemi, lub stać będzie w oddźwięku klasycznych liściowań koryntyku; w Koprzywnicy poprowadzi roślinność drżąca i mniéj umiejętna ręka kamieniarza, za to wystąpi w dwu innych klasztorach najwyżéj na północ posuniętych z tą pewnością zacięcia, giętością i charakteryzacyą, jak nigdzie.

Liście drzące, strzępate, modelowane dosadnie, otoczą wieńcem kapitele, a na wspórnikach sklepień refektarza wąchockiego przybiorą ten majestat i energią, która sąsiaduje z kierunkiem realistycznym gotycyzmu.

Jeżeli kościoły cysterskie stają na przełomie dwu wielkich stylów średniowiecza romańskiego i gotyckiego, ornamentacya nasza klasztorna wskazuje, że po wyczerpaniu motywów fantastycznych następuje, jako chwila przejścia do gotyckiéj drogi szukania wzorów w naturze, pewien stopień refleksyjnéj ornamentacyi. I na tém więc punkcie Cystersi zwiastunami są nowego odrodzenia i słusznie noszą miano pionierów gotycyzmu w Polsce.

Tu się kończy kartka dziejów sztuki, którą odczytaną z pomników naszych cysterskich, ośmieliłem się czytelnikom „Ateneum“ powtórzyć. Odczytałem-li wszystko, co tam zapisanem było? nie do mnie należy sądzić, ale wolno mi powtórzyć co napisałem na początku rozprawy: nie wszystko wielkiem jest co się podoba, i nie wszystko, co wielkie z przeszłości, bez objaśnienia się obejdzie. Jeżeli nie odczytałem wszystkiego, co zapisały pomniki cysterskie, może trochę ich znaczenie objaśniłem, a poruszając prochy dawnych

mistrzów, chciałem tylko kołatać o opiekę nad rozsypującemi się ich dziełami.

I jeszcze słów parę zakończenia.

Gdyby pełne życie religijne w epoce po-reformacyi, występujące u nas budową nowych a zdobieniem dawnych kościołów, a więc czynnością niemałą sztuki, nie zaznaczyło się przebudowywaniem na modłę włoską zabytków średniowiecznych architektury, wyrzucaniem posągów i obrazów dawniejszych epok, nie bylibyśmy tak ubodzy w dzieła średniowiecza; ale właśnie dlatego, że w owych czasach sąd o wielkości utworów wynikał z zasady podobania, a sztuka poddana była rządom mody, której ulegali wszyscy, w kościołach naszych więcéj jak gdzieindziéj dało się poczuć marnotrawstwo utworów sztuki dawniejszéj, które nie przypadały w miarę sądu chwili. Nie wiele u nas pomników romańskich uszło losu przerobienia, nie wiele sprzętów kościelnych téj epoki zostało na miejscu, wolno nam powiedziéć—prawie żadnych: ni jednego ołtarza romańskiego, ni jednych stall, nigdzie dawnéj posadzki lub oszkleń. Za to barokiem przeładowano wszystko i niewolne od tego najstarsze nasze świątynie. Nie doświadczyliśmy tak bardzo łupieży kościołów przez nowych ikonoklastów reformacyi, jak Holandya i Niemcy, a jednak stokroć większą krzywdę wyrządzali nam opiekunowie wiary i kościoła XVII i XVII wieku, ze względu na dzieje naszéj sztuki średniowiecznéj! Ubożsi więc jesteśmy aniżeli sąsiedzi nasi zachodu, ale niewolno nam twierdzić, iżby nam brak było pomników; musimy jednak przyznać sobie, że gdy sąsiedzi odszukali i otoczyli opieką i miłością te skarby przeszłości, jeżeli umiejętność szczerze zajęła się niemi, my nie zawsze umiemy ich wyszukać, ocenić i na podstawie ścisłych badań oznaczyć ich wartość. Cudzoziemscy badacze daleko chętniéj zwracają na nie uwagę — my dozwalamy w naszych oczach rozsypać się ślicznemu kapitularzowi Jędrzejowskiemu, który lat temu dwadzieścia stał jeszcze dobrze. Nie wytłómaczy nas przed światem uwaga, że nie posiadamy tak wybitnych arcydzieł średniowiecznego budownictwa jak obce kraje, bo w dziejach sztuki wszystko jest równie ważném, skoro przynosi wiadomość o charakterze sztuki miejscowéj danéj chwili.

Obojętność dla dzieła sztuki średniowiecznéj jest oznaką nieświadomości, pouczanie więc o znaczeniu pomników rozbudzić musi poszanowanie dla nich. Im więcéj w literaturze naszéj pojawiać się będzie ścisłych badań artyzmu naszego średniowiecznego, im więcéj nauka wnikać będzie w tajemnice jego piękna, tém poszanowanie to bardziéj wzrośnie. Urosł nam Wit Stwosz od czasu studyów nad jego pracami w Polsce, urośnie wiele jeszcze znakomitości naszych,

gdy ich nam dadzą uczeni pracami swémi znać. Do Wita Stwosza i zabytków naszego budownictwa XIV wieku, jużbyśmy dzisiaj dodać mogli naszą szkołę cechową malarstwa XV i XVI wieku, gdyby środki dozwalały wydać o nich studyum poparte szeregami fotodruków. Czas na monografie artystyczne naszych pomników średniowiecza, a jeżeli Akademia umiejętności w Krakowie skromnémi środkami, jakie posiada, otwiera pierwsze drogi, to pomoc ze strony możniejszych przydaćby się mogła dla tych, którym każda strona chwały narodowéj miła. Dziś, chwała Bogu, kółko badaczy wierzy w prace własne na polu sztuki średniowiecznéj, potrzeba dozwolić im i umożebnić rozpowszechnienie ich prac, dozwolić im odbudowania publikacyami tego, co w spuściznie od XI wieku zostało, a co późniejsze oszpeciły czasy. Czas, aby w muzeum narodowém zebrano w odlewach gipsowych nasze piękne rzeźby i ornamentacye, rzędy obrazów i tryptyków miejscowéj produkcyi, a to utwierdziłoby wiarę w naszą średniowieczną sztukę. Czas na seryo pomyśléć o tém, bo gmachy się walą, rozpierzchnione obrazy butwieją po strychach, rozsypują się posągi i rzeźby, byśmy, zanim spostrzeżemy się cośmy posiadali, nie utracili wszystkiego lub bardzo wiele. Czas, abyśmy postarali się związać naukowo tę sztukę, którą nas nieba dziś obdarzyły, z pracą odległéj przeszłości, iżbyśmy nie przedstawili się na sądzie bez genealogicznego drzewa.

Wł. Łuszczkiewicz.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Oswald Balzer, kancelarye i akta grodzkie w wieku XVIII. Odbitka z „Przewodnika Naukowego i Literackiego.“ We Lwowie 1882.

W korzystaniu z archiwów naszych sądowych, z aktów grodzkich i ziemskich, prawdziwéj skarbnicy do poznania stosunków wewnętrznych, spotykali badacze zaraz u wstępu, w saméj formalnéj ich stronie, wielkie trudności, które dopiero dokładniejsze zapoznanie się z nimi w części, ale w nieznacznéj tylko części, usuwało. Zawsze jeszcze trudno było rozgatunkować obfity materyał, oddzielić ważne od mniéj ważnego, szukać odnośnych dokumentów w właściwych książkach. Są wprawdzie na tych foliantach napisy: „*Libri relationum*, *libri inscriptionum*, *prothocollon*, *regesta causarum* itp., ale dopóki jasno nie wiedzieliśmy, co do któréj księgi wpisywano, jaka była manipulacya kancelaryjna, dotąd oczywista na niewiele zdały nam się wszelkie napisy. Wskazówki zaś jakie znajdują się w tym lub owym podręczniku prawa polskiego lub w opisach pojedynczych archiwów, albo zupełnie niewystarczają albo pozbawione są wszelkiéj głębszéj znajomości rzeczy. Okazywała się tedy coraz bardziéj nagląca potrzeba zbadania gruntownego téj formalnéj strony naszego sądownictwa i archiwów, a potrzeba ta spotęgowała się jeszcze bardziéj, odkąd badacze dziejów naszych zwrócili się z szczególną predylekcyą do stosunków wewnętrznych pojmując dobrze, że bez nich nie będziemy mieli nigdy jasnego na całe dzieje poglądu; odkąd oddano pod naukowe kierownictwo i otwarto badaniu dwa nadzwyczaj obfite zbiory aktów sądowych tj. archiwum krajowe we Lwowie i Krakowie.

Potrzebie téj zaradza w bardzo znacznéj części rozprawa p. Oswalda Balzera, powstała głównie ze spostrzeżeń zebranych w ar-

chiwum aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, ograniczająca się wprawdzie na akty *grodzkie* i na urządzenie ich *w wieku XVIII*, ale jasném uchwyceniem kwestyi i przejrzystością przedstawienia rzucająca na całe urządzenie kancelaryi naszych żywe światło. Biorąc je sobie za przewodnika, już i mniéj obeznany z archiwami naszémi uczony, będzie mógł zoryentować się wśród prawdziwego lasu ksiąg i fascykuł; biorąc ją za podstawę będziemy mogli łatwiéj śledzić i w ubiegłych wiekach urządzenie kancelaryi grodzkich a przyjść także do ładu z ziemskiémi aktami, których ustrój pewnie nie wiele różnił się od grodzkich.

Zbadanie zresztą aktów grodzkich okazywało się zawsze jako rzecz potrzebniejsza, bo są one nie tylko zbiorem zapisek sądowych ale i pism wszelkich publicznych, jak przywilejów, rozkazów, konstytucyj, prywatnych kontraktów,—„skarbnicą dowodów o istnieniu najrozmaitszych praw i obowiązków.“ Księgi ziemskie były otwarte tylko podczas kadencyi lub na krótki czas przed i po niéj, grodzkie zaś zawsze, stale, jak nazywano, wieczyście z wyjątkiem oczywiście świąt uroczystych. Musiała téż być manipulacya w kancelaryi grodzkiéj bardziéj rozwinięta, bardziéj zastosowana do potrzeb ogółu. Istniała obok sądu oddzielnie, zajęta wyłącznie wpisami i odpisami aktów, prowadzeniem ksiąg sądowych. Łączność jéj z sądem objawiała się tylko w osobie najwyższego zwierzchnika tj. starosty grodowego, dawniéj także w osobie pisarza grodzkiego, który jednak późniéj należał zupełnie do urzędników sądowych. W miejsce jego objęli najwyższą władzę nad kancelaryą regenci i ich zastępcy susceptanci, którzy własnoręcznie mieli wpisywać zeznanie stron do protokołu. Na posługi dwóch tych dygnitarzy kancelaryjnych istniała większa lub mniejsza ilość palestrantów, którzy odbywali praktykę u patronów a równocześnie dla nabycia wprawy służyli w kancelaryach grodzkich bezpłatnie lub za małą kwotę, jaka im się dostawała z należytości za wypisy. Wedle zajęć poszczególnych dzieli ich autor na inducentów, ekstradentów, lektantów i klawierów.

Tak zorganizowany urząd służył przedewszystkiém do przyjmowania i wpisywania, bądźto aktów publicznych bądź aktów woli prywatnéj, testamentów, kontraktów itp. bądź wreszcie manifestacyj, protestacyj, relacyj wozneńskich itd. Zeznania ustnie lub piśmiennie podawane pisarz przybierał w formę prawną w języku łacińskim, w którym istniały ubite frazesy i formularze kancelaryjne. Często wpisywano téż akty dosłownie np. wszelkie dokumenty publiczne, co się zwało oblatowaniem.

Mimo dość znacznéj liczby urzędników nie mogli oni, w miarę rozwoju stosunków społecznych, wystarczyć wszystkim potrzebom,

zwłaszcza, że natłok stron w pewnych terminach, np. w styczniu, był bardzo wielki. Musiano przyjmować zeznanie stron tylko w krótkości, notować jedynie treść do protokółu, z którego dopiero późniéj przepisywano go z odpowiednią formą do t. z. indukty. Tak wyrobił się system podwójny w prowadzeniu ksiąg sądowych; każdy akt był równocześnie w protokóle i indukcie. Wpisy protokólarne stanowiły podstawę, oryginał, z którego palestranci późniéj wyrabiali induktę. Stąd to protokół był ważniejszy i stał pod szczególnym nadzorem starostów i ich regentów, którzy odpowiadali za każde popełnione nadużycie. A nastręczała się ku temu niejednokrotnie sposobność, bo na żądanie stron interesowanych zatrzymywano pod jakąś datą miejsce wolne, do którego miano wpisać dopiero późniéj zeznanie, a można było łatwo podsunąć zupełnie inne lub fałszywe. Zapobiegając temu zabraniały konstytucye zostawiać dłużéj takie *vacuum* nad dni trzy, poczém miało być zamazane „*kancelowane*“, a nadto kazano podpisywać się zaraz stronie pod miejscem wolném, późniéj nawet treść zeznania notować z boku, na marginesie. Zeznania podawały strony coraz to częściéj na piśmie, aby pisarz dowolnie nie indukował. Pisma te t. z. *copiae* składano w osobne fascykuły, nadając każdéj jako *signum* jakieś słowo. Mimo to pisano obok tego także induktę, która już wówczas była zupełnie zbędną.

Oprócz tego prowadziła kancelarya grodzka rozmaite księgi sądowe, wynikłe już z samych czynności sądu, a więc regestra, wedle których sprawy przychodziły na stół, księgi dekretów, składające się znowu z protokółu, pisanego zaraz podczas załatwienia sprawy, i indukty, daléj spisy, sumaryusze, seryarze itp. przeznaczone bezpośrednio do użytku manipulacyjnego.

Wszystkie te księgi, publiczne tj. dla stron przeznaczone, sądowe i pomocnicze rozpadały się znowu w miarę gromadzącego się materyału na kilka działów np. akta wpisów obejmowały księgi relacyi, inskripcyi, oblat itp. które autor o ile możności dokładnie podaje wyjaśniając zarazem co do któréj wciągano. Ponieważ przepisów stałych pod tym względem nie było i jedynie kierowano się praktyką kancelaryjną, oznaczenie ścisłe wielokrotnie jest bardzo trudne lub wprost niemożebne.

W zakres czynności kancelaryj grodzkich wchodziło nadto wydawanie ekstraktów tj. odpisów. Zazwyczaj sama strona, jeżeli nie mogła podać dokładnie gdzie się żądany przez nią akt znajduje, robiła pod dozorem urzędników poszukiwania; a tylko odpisem, porównaniem z oryginałem (t. z. lecta) i stwierdzeniem zgodności (t. z. correctą) zajmowała się kancelarya.

Za wpisy i odpisy pobierali urzędnicy kancelaryjni, ale jedynie prawie wyżsi, pewne opłaty, dosyć nawet znaczne (za wpis plenipotencyi płacono 2 złp.), które wyrobiły się zwyczajem a ostatecznie na Litwie 1726 w koronie dopiero 1768 unormowane zostały osobną taryfą.

Przechowywanie i dozór nad aktami i archiwami, znajdującémi się bądźto na zamku starościńskim bądź w osobno na ten cel kosztem szlachty miejscowéj stawianych budynkach, ale jeszcze częściéj walającémi się po gospodach albo składanémi w lochach, mieli także wyżsi urzędnicy kancelaryjni, osobliwie sam starosta i regent. Nadarmo starały się konstytucye zaradzić niszczeniu ksiąg publicznych, ostro zakazując wynosić księgi z kancelaryi, wysyłając komisarzy do rewizyi archiwów; butwiały i gniły księgi sądowe, narażone były wielokrotnie na pożary, chociaż na nich zależało—jak słusznie mówiono, bezpieczeństwo życia i fortun szlacheckich.

To zaś co się mimo to szczęśliwie dochowało i jak się dochowało zawdzięczamy zapewne nie mało urządzeniu kancelaryj grodzkich, które bądź co bądź umiały uchronić się od rozgałęzionéj biórokracyi a spełniać swe zadanie w małym zakresie dobrze. Przedstawienie urządzenia tego nie tylko ma praktyczne dzisiaj znaczenie—jest rodzajem przewodnika dla badaczy, ale nadto odsłania nam jednę z ważnych instytucyj naszych. Autor podejmując się téj pracy, tego zestawienia dat pozyskanych z doświadczenia archiwalnego i poczerpniętych w pojedynczych konstytucyach, zasłużył się bezprzecznie naszéj literaturze historycznéj.

Szkoda tylko, że autor nie poparł dostatecznie wszystkich swych twierdzeń, że w ogóle występując po raz pierwszy z rzeczą tego rodzaju przemawia za nadto apodyktycznie, nie stara się nawet w kwestyach historycznego rozwoju kancelaryi nigdzie o zestawienie dowodów, słowem zachowuje się tak jakby w tym względzie wyrzekał już *ostatnie* słowo, gdy w rzeczywistości mówi dopiero *pierwsze*.

To też całe przeprowadzenie powstania, ważności i wieczystości grodów, stanowczéj ich przewagi nad aktami ziemskiémi pozbawione jest dostatecznego poparcia, nieujęte w jakieś daty, w ogóle niejasne. Na pytanie kiedy rozpoczęła się ta przewaga grodów, a zwłaszcza jaki był stosunek aktów grodzkich w późniejszych czasach do ziemskich, które przecież istniały do końca Rplitéj, nie znajdujemy zupełnie odpowiedzi.

Autor podał wprawdzie, na końcu swojéj rozprawy w dosłownem brzmieniu ordynacyą kancelaryjną starosty lwowskiego z r. 1753, na poparcie wielu swoich sądów, ale nawet sprzeczności zachodzących między nią a swojém przedstawieniem, albo nie dotknął wcale

albo tylko niedostateczuie wyjaśnił. Zwraca uwagę (str. 38), że w instrukcyi wymienionéj jest mowa o feryantach indukty (gdy on tylko feryantów ekstradentów zna) ale tłómaczy to tém, że stanowisko ich w grodzie lwowskim było wówczas tylko wyjątkowe z powodu licznych zaległości. Muszę się przyznać, że tłómaczenie to wobec niedwuznacznych słów instrukcyi, nie przypada mi do przekonania, ale choćby nawet tak było, dla czegoż niema tam nic o feryantach ekstraktów? Co więcéj, z instrukcyi téj wypływa, że nie *sami* palestranci dzielili się na *inducentes*, *extradentes* etc., ale *wszyscy* urzędnicy z wyjątkiem chyba regenta. Między feryantami czytamy: „Jegomość pan Bąkowski *susceptant*. Zdaje się daléj z téj instrukcyi, że usługa inducentów nie była zupełnie bezpłatną, skoro starosta pisze: „niechaj piszą induktę, ażeby sobie zasłużyli na stół i *feryą*.“ Słowem nasuwają się po przeczytaniu instrukcyi wątpliwości (np. stanowisko Klawiczów?) których nie rozstrzyga rozprawa.

Brak innych dowodów, zestawień z archiwum, z którego autor czerpał i konstytucyj daje się czuć dotkliwie; wiele twierdzeń autora może być zupełnie słusznych, ale my domagamy się poparcia. Tak np. że wciągnięcie do aktów jakiegoś pisma publicznego było na dowód dokonanéj promulgacyi (a może właśnie celem promulgowania), że palestra nie należała do kancelaryi i że od palestrantów przysięgi nie żądano (str. 11), że wolno było zmieniać inducentowi stylizacyą podanego na piśmie aktu (str. 25) i t. d., na te i inne twierdzenia pragnęlibyśmy tém bardziéj dowodu, że niektóre zdania autora zdają nam się dorywcze.

Żebyśmy w XVI wieku nie spotykali wcale podpisów w protokule (str. 23), temu stanowczo zaprzeczyć musimy. W księdze grodu przemyskiego z r. 1574 (str. 664) znajdujemy w protokule podpisy na str. 122, 115 (1), 134; w buskiéj 7, p. 308, etc. Był pewien rodzaj wpisów, pod któremi już wtedy kazano się podpisywać.

Twierdzenie, że „jeśli w księgach naszych sądowych spotykamy jakiś akt polski, to chyba jest-to przysięga lub kontrowersya albo oblata aktu polskiego, do któréj w tym razie zwykłą formułkę kancelaryjną dopisywano po łacinie“ (str. 19), chociaż wogóle słuszne, podpada, o ile wiemy z doświadczenia, osobliwie w XVI wieku licznym wyjątkom, a znajdujemy manifestacye, cytacye, nawet formuły wstępne po polsku (2). Regestry złodziejów (t. z. regestra furum) utrzymywano, zdaniem autora, w niektórych grodach w XVI

---

(1) Mikolay Ostrowski manu propria, Joannes Prochenskj o prochny ręką własną.

(2) Nawet relacyj woznenskich np. Castr. Busconsia 6; z innych Trembovlensia 95, 490 nn.

wieku w celach policyjnych i zapisywano w nie nazwiska ludzi, poszlakowanych lub przekonanych o zbrodnią kradzieży. O ile my znamy regestry te znajdujące się w archiwum lwowskiém mianowicie w grodzie sanockim (tom 447, 448), bełzkim (159) i t. d. — to nie są to wcale spisy poszlakowanych lub przekonanych złodziejów, ale t. z. testamenty złodziejskie czyli zeznania złoczyńców na torturze lub przed straceniem. Regestr bełzki rozpoczyna się słowy: „Podan yesth regestr złoczinczów w Przeworsku potraczonich Cziganów,“ tak samo regestra sanockie: „Testament Waszka Suchego s Stankowey,“ którego stracono w Porażu w r. 1569 i t. p. W jedném miejscu wyraźnie jest: „Et hoc recognovit spontanea voluntate ante tormentum“ (Sanockie grodz. 447).

Wątpliwości i zarzuty, przez nas podniesione, są to raczéj postulaty do autora téj rozprawy: my byśmy jeszcze tego i owego chcieli, ale z pełném uznaniem przyjmujemy, co nam dał, bo znać z całości, że są to wyniki rzetelnéj pracy. *Ludwik Finkel.*

Seweryn Smolikowski. Rozbiór krytyczny podstaw zasadniczych filozofii Schopenhauera. Warszawa, 1881.

Z wielkich systemów filozoficznych, które w Niemczech wybujały na gruncie filozofii Kanta, najdłużéj czekać musiał na uznanie, we własnéj nawet swéj ojczyźnie, filozoficzny pessymizm Schopenhauera. Za to dziś, kiedy systemy Fichte'go, Schelling'a, Hegla, a nawet Herbart'a, mają znaczenie wyłącznie historyczne, filozofija Schopenhauera stanowi *żywy* pierwiastek filozoficznego ruchu chwili obecnéj. U nas zaznajomiono się z Schopenhauerem bardzo późno i głównie pośrednio w skutek zajęcia, jakie obudził jego epigon Hartmann. O oryginalnéj filozofii Schopenhauera posiadamy, jeśli się nie mylę, tylko jednę—oprócz zacytowanéj w nagłówku, pracę, umieszczoną już dawniéj w „Bibliotece Warszawskiéj.“ Rozprawa p. Smolikowskiego poświęcona jest wyłącznie krytyce filozofii Schopenhauera; a krytyka ta zmierza głównie do wykrycia sprzeczności w podstawach téj filozofii. Sprzeczności te, o ile zdołałem zrozumieć autora, dadzą się sprowadzić do następujących:

1) Podmiotowy idealizm Schopenhauera, wyrażający się w twierdzeniu, że świat jest naszém wyobrażeniem, powinien był konsekwentnie doprowadzić do bezwzględnego sceptycyzmu; tymczasem Schopenhauer, uznając świat tylko za ułudę umysłu naszego, przypisuje przecież temuż możność poznania metafizycznéj istoty wszechświata. 2) Wyzwolenie się woli od chęci życia za pomocą pozna-

nia niedoli świata staje w sprzeczności z zasadniczém twierdzeniem Schopenhauera, że rozum wraz z całym aparatem pomocniczym jest tylko wytworem metafizycznéj woli. 3) Przypisując wreszcie rozumowi możność odwrócenia woli od życia, wikła się Schopenhauer w dwie naraz sprzeczności: po pierwsze bowiem, rozum staje się przez to takim samym ostatecznym metafizycznym pierwiastkiem jak wola; powtóre zaś, skoro rozum ma władzę pokonania woli, przeto we wszechświecie po nad pierwiastkiem nierozumnym i złym panuje pierwiastek rozumny i dobry; jedném słowem *monizm* Schopenhauera jest w rzeczywistości *dualizmem* a *pessymizm—optymizmem*.

Nie można odmówić autorowi bystrości w dostrzeżeniu słabych stron filozofii Schopenhauera. Wszakże werwa krytyczna uniosła go za daleko, zwłaszcza odnośnie do punktu pierwszego. Przedewszystkiém Schopenhauer nigdy i nigdzie nie twierdził jak Berkeley, że świat cały jest prostą fantasmogoryą, pozbawioną rzeczywistego istnienia po za granicami naszego umysłu, i jego podmiotowy idealizm bynajmniéj nie zobowiązuje go siłą logicznéj konsekwencyi do podobnego twierdzenia. Pod tym względem Schopenhauer najzupełniéj pozostaje na stanowisku Kanta z tą różnicą tylko, że konsekwentniéj niż on istnienia „rzeczy saméj w sobie" nie gruntuje na kategoryi przyczynowości lecz na bezpośredniém wewnętrznem doświadczeniu. „Świat jest wyobrażeniem" znaczy w duchu filozofii Schopenhauera tylko to, że świat naszéj obserwacyi i naszéj wiedzy ściśléj nie jest *takim*, jakim jest metafizycznie. I najzupełniéj słusznie twierdzi Ribot, że podmiotowy idealizm Schopenhauera bardzo się zbliża do obecnego idealizmu nauk ścisłych. „Jeśli — powiada ten uczony (*La philosophie de Schopenhauer*, str. 164) — doktrynę tę pozbawiemy jéj form metafizycznych, to przekonamy się, iż ona daleko mniéj odbiega od tego, co utrzymują ściśli uczeni, niż się zdawać może. I tak Helmholz usuwając, o ile można, wszelką hipotezę i trzymając się tylko faktów, umiejętnie ustalonych, oświadcza, że dane naszych zmysłów mogą być uważane tylko jako *symbole, które my interpretujemy*, że niepodobna pojąć analogii pomiędzy wyobrażeniem a jego przedmiotem, że pierwsze jest po prostu duchowym znakiem drugiego; znakiem, który jednak nie jest dowolnym, gdyż go nam narzucił ustrój naszych zmysłów i ducha..... I tak to, co Schopenhauer nazywa zjawiskami, Helmholz nazywa symbolami; symbole wyrażają jakąś rzeczywistość niedostępną dla poznania; zjawiska kryją w sobie jakieś x, wolę." — Z drugiéj strony nie popadł Schopenhauer w metafizyczny dogmatyzm, co w saméj rzeczy nie dałoby się pogodzić z jego teoryą poznania. Przeciwnie twierdzi wyraźnie, że zupełne (*adaequate*) poznanie metafizyczne jest niemożliwe, a to

z dwóch powodów: Po 1-sze dlatego, że nawet owo bezpośrednie wewnętrzne doświadczenie, które nam pozwala odchylić rąbek zasłony, pokrywającéj metafizyczną istotę świata — wolę, nie jest całkowicie niezależne od form poznania; lecz przez dwie z nich jest zawarowane, a mianowicie przez kategoryą czasu i przedmiotu. Po 2-gie dlatego, że poznanie „rzeczy saméj w sobie“ jest największą sprzecznością. Poznanie bowiem czy to pośrednie czy to bezpośrednie ujmuje rzecz poznawaną zawsze jako przedmiot t. j. jako formę istnienia dla podmiotu a nie jako rzecz samę w sobie.—Nie jest więc Schopenhauer sceptykiem i konsekwentnie być nim nie może; ale też nie jest metafizycznym dogmatykiem, łudzącym się, iż w filozofii swéj dotarł do absolutnéj istoty wszech rzeczy. Przeciwnie, wié doskonale i stanowczo twierdzi, że nie ma odpowiedzi na pytanie, czém metafizyczny pierwiastek świata jest sam w sobie. Jeśli zaś pierwiastek ten nazwał on wolą, to dlatego, że „rzecz sama w sobie“ przedstawia się nam, według jego mniemania, w woli pod formą dla nas najbardziéj przezroczystą i najlepiéj znaną (*cf. Die Welt als Wille und Vorstellung*, tom II, c. 1. i 25). Jedném słowem, metafizyczne poznanie, według Schopenhauera, absolutnie prawdziwe być nie może, lecz może być bardzo do prawdy zbliżone.

Dwa drugie wyżéj wymienione zarzuty, które p. Smolikowski stawia filozofii Schopenhauera, zdaniem naszém są słuszne. Wypadałoby tylko, według naszego rozumienia, obie sprzeczności uważać za wynik innego zasadniczego błędu, którego autor się nie dopatrzył. Zasadniczy ten błąd filozofii Schopenhauera tkwi w najoryginalniejszéj jéj doktrynie, t. j. w pessymizmie. Doktryna ta bowiem nie jest bynajmniéj koniecznym wynikiem metafizyki Schopenhauera, lecz złączona jest z nią wątłą nicią teoryi o przeczącém znaczeniu uczucia przyjemności. Z tego, że istotą świata jest ślepa wola, nie wynika zgoła, żeby w świecie tym nie było absolutnie miejsca dla szczęścia i zadowolnienia. Wszak wola w dążnościach swych bywa niejednokrotnie zaspakajaną, chociaż z każdego takiego zaspokojenia wnet nowe powstaje pożądanie. Schopenhauer pojmował to bardzo dobrze i dlatego, chcąc związać pessymizm ze swą metafizyką, wynalazł teoryą, według któréj tylko ból odczuwamy rzeczywiście, przyjemności zaś zgoła nie czujemy; to zaś, co nazywamy przyjemnością jest w gruncie rzeczy brakiem bólu. Z zasad więc swéj metafizyki nie był Schopenhauer zobowiązany do pessymizmu; i, gdyby go nie był wprowadził do swéj filozofii, nie miałby téż potrzeby szukać środków dla wyzwolenia woli od jéj dążenia do życia, a tém samém nie byłby zmuszony naznaczać rozumowi w tém dziele wyzwolenia roli wprost przeciwnéj zasadniczym podstawom całéj swéj filozofii.

Pomijając inne mniéj ważne szczegóły rozprawy p. Smolikowskiego, zauważyć nam wypada, że czytelnik, nie znający filozofii Schopenhauera, zadziwi się bez wątpienia, że filozofia ta mogła sobie wyrobić to szerokie uznanie, jakiém dotychczas się cieszy, wobec rażących sprzeczności, wykrytych przez autora w jéj zasadniczych podstawach. P. Smolikowski zachwala wprawdzie Schopenhauera jako głębokiego myśliciela, ale żadnemi dowodami tego twierdzenia nie popiera; stąd rodzi się dziwna sprzeczność pomiędzy rezultatem jego krytyki a doniosłém znaczeniem, które historya filozofii powszechnie przypisuje Schopenhauerowi, a którego i p. Smolikowski widocznie mu nie odmawia. Dyssonans ten wynika z wadliwości metody krytycznéj p. Smolikowskiego. Krytyk systemu filozoficznego nie może się ograniczyć, jak to czyni p. Smolikowski, na wyszukiwaniu jego wad, tkwiących bądź to w sprzecznościach wewnętrznych, bądź to w sprzecznościach z faktami i umiejętnościami ścisłemi. Gdybyśmy podług takiéj metody postępowali, musielibyśmy większéj części filozoficznych systemów odmówić wszelkiego znaczenia i to tém bardziéj, im bardziéj dany system byłby w sobie zamknięty i skończony; gdyż w takich właśnie systematach sprzeczności te są z natury rzeczy największe i najwidoczniejsze. Lecz zadaniem krytyki filozoficznéj jest nietylko *skrytykowanie* danego systemu, ale i wyjaśnienie jego stosunku do całego życia umysłowego epoki, w któréj powstał t. j. wykazanie ogólnych i indywidualnych motywów, które go do życia powołały. Gdyby p. Smolikowski w ten sposób zapatrywał się był na filozofią Schopenhauera a nie był rozważał jéj zupełnie w oderwaniu, pokazałoby się, że filozofia ta mimo swych wielkich sprzeczności jest bardzo ważną kartą w dziejach rozwoju ducha giermańskiego epoki po-kantowskiéj. P. Smolikowski zaniedbał to uczynić, a stąd jego krytyczny rozbiór zasadniczych podstaw filozofii Schopenhauera uważamy za niedostateczny, bo jednostronny.

W końcu nadmienić musimy, iż zawartość rozprawy wcale nie usprawiedliwia dedykacyi onéj „pamięci Emanuela Kanta w setną rocznicę wydania Krytyki czystego rozumu;“ gdyż stosunku Schopenhauera do Kanta autor tylko mimochodem dotyka. A przecież wobec wzmiankowanéj dedykacyi ten stosunek powinien był, zdaje się, stać na pierwszym planie; tém bardziéj, że wyjaśnienie jego znakomicie uzupełniłoby krytyczny rozbiór zasadniczych podstaw filozofii Schopenhauera i, że krytyka filozofii Kanta, dokonana przez Schopenhauera, do dziś dnia może być uważana za klasyczną.

H. G.

= **Ból fizyczny i moralny**. *Studyum dr. Juliana Ochorowicza* (odbitka z „Kosmosu“). Lwów, 1882, str. 75. Autor z właściwą sobie jasnością, żywością i dostępnością słowa kreśli najprzód ogólne znaczenie bólu w zestawieniu z rozkoszą, odpierając twierdzenia pessymistów utrzymujących, że suma uczuć i wrażeń przykrych przeciętnego człowieka jest większa od sumy uczuć i wrażeń przyjemnych. „Gdyby tak było — powiada — to ogół ludzi dążyłby nie do zachowania bytu, lecz do pozbycia się go i nie nazywanoby nas ludzkością samolubów, lecz—samobójców.“ Dodaje atoli zaraz, że wrażenia i uczucia przykre, chociaż ilościowo mniéj liczne, są jakościowo silniejsze: „ta mniejsza liczba kropli goryczy, jaką los wypełnia nam kielich życia, wystarcza nieraz do zepsucia napoju, i chociaż krople chowają się na dnie, lub odosobnione pływają po powierzchni; jedna z nich zaciera smak tysiąca innych; tysiąc przyjemności nie zrównoważy jednéj chwili rozpaczy....“ Najsilniejsze bóle nie mają równych rozkoszy ani co do siły ani co do trwałości; przyjemność trwająca zbyt długo staje się powszednią, niekiedy nawet uprzykrzoną; ból długotrwały nigdy bólem być nie przestaje. — Następnie przytacza autor 8 obserwacyj częścią własnych częścią obcych, mających na celu opisową stronę różnorodnych objawów bólu u różnych jednostek; ustęp ten ma podwójne znaczenie: jako materyał do uogólnień i jako metodologiczna wskazówka badań psychologicznych. W dalszym ciągu rozpatruje p. O. systematycznie objawy bólu, poczynając od najpospolitszego t. j. od *płaczu*. Na podstawie licznych spostrzeżeń utrzymuje, że noworodki wogóle są wrażliwsze na wrażenia przyjemne niż na ból i że wrażliwość na ból rośnie wraz z rozwojem organizmu. O ile płacz jest *wogóle* wyrazem téj wrażliwości, o tyle téż idzie z nią w parze; lecz wrażliwość sama w sobie, doskonaląc się, urozmaica swoje objawy, a nawet zmienia swą naturę: z powierzchownéj staje się głęboką— i wtedy płacz przestaje być jéj miarą; rasy wyższe są mniéj płaczliwe choć więcéj czują; rasy niższe okazują większą skłonność do płaczu obok mniejszéj wrażliwości na ból; upadek umysłu, w niektórych zwłaszcza formach melancholii, bardzo często powiększa obfitość łez i łatwość ich wylewania. Po płaczu bierze autor pod uwagę takie objawy jak palenie głowy, pocenia się, ziębienie ciała, dreszcze, zaburzenia w krążeniu krwi, w funkcyach żołądka i kiszek, blednienie i żółknienie, siwienie, westchnienia, chudnienie, zmiany w wyrazie twarzy. Rozpatrzywszy stronę zewnętrzną objawów bólu, p. O. przechodzi do rozejrzenia się w wewnętrznéj, twierdząc, że wszelkie wrażenia bolesne przedstawiają się w świadomości jako przemoc, od któréj umysł stara się uwolnić; ból rozpędza i przytłumia myśli; wszelkie wysiłki woli, ażeby myśléć

porządnie są bezskuteczne, co chwila wątek asocyacyi przerywa się i znów kojarzy bezładnie, nie tak jakbyśmy chcieli. Na to spostrzeżenie kładzie p. O. silny nacisk, sądząc, że ono ogranicza przyjętą dziś powszechnie teoryą asocyacyi, wedle której wszystkie czynności duchowe odbywają się na zasadzie praw asocyacyi i tylko na zasadzie tych praw. Autor utrzymuje, że „wewnętrzny bieg skojarzeń może być ożywiony lub zwichnięty niezależnie od praw asocyacyi;“ pierwszy wypadek, zdaniem jego, bywa wtedy, gdy nagromadzony zapas żywéj siły nerwowéj *niezależnie* od wrażeń, wyobrażeń i uczuć ożywia je i wprawia w ruch; drugi zaś wtedy, gdy wycieńczenie, jakie między innemi sprowadza ból, przerywa pasmo asocyacyj i plącze działanie ich praw. To aż nazbyt lakoniczne sformułowanie zarzutów przeciwko prawu kojarzenia się nie pozwala ich wartości ocenić. Poprzestając tedy na ich zaznaczeniu, przytoczymy tu objaśnienie fizyologiczne podane do jednego ze zdań Szekspira. W Makbecie czytamy:

Raczéj, człowieku, wymów całą boleść,
Żal niemy może gwałtownie ściśnięte
Rozsadzić serce.

P. O. przekłada wyrażenie to na język fizyologiczny w ten sposób: „Zużyj część rozdrażnienia na objawy zewnętrzne w mięśniach prążkowanych od woli zależnych, a wtedy mniéj go zostanie na niebezpieczne drażnienia mięśni gładkich, takich jak serce, jak mięśnie płuc, żołądka i kiszek.“ Wskazawszy następnie wzmożenie się drażliwości i obrażliwości w jednostkach bólem dotkniętych, wyszukiwanie nowego bólu dla stłumienia dawnego, wywoływanie przez ból znieczulenia, kończy tę część swéj pracy spostrzeżeniem, że im ból silniejszy, tém większą przestrzeń zdaje się zajmować.— Drugą część swego studyum poświęca autor zbadaniu *przyczyn* bólu. Wszystkie cierpienia ludzkie podciąga pod trzy kategorye: *choroby*, *wrażenia* i *zawodu;* we wszystkich pewne naruszenie równowagi funkcyj wywołuje ból. I tak: organizm normalnie funkcyonujący nie doznaje sam z siebie bólu; dopiero gdy jedna czynność zostanie podniecona kosztem drugich, lub na rachunek drugich osłabnie, wtedy nerwy czucia zmianę tę odczują, a zawiadomiony o niéj mózg dozna uczucia przykrego, które trwać będzie dopóty, dopóki trwać będzie wywołująca je zmiana funkcyj i dopóki istnieje świadomość. Co do *wrażeń*, to wszystkie one około maximum swego natężenia lub też rozprzestrzenienia stają się bolesnemi; a działając i silnie i rozlegle muszą naruszać równowagę funkcyj. Co do trzeciéj kategoryi, to wszystkie przyczyny psychiczne bólu sprowadza autor do jednéj: *niezaspokojonego popędu;* gdyż nawet tam, gdzie pozornie ból nie po-

wstał przez negacyą popędu, gdzie on zdaje się mieć charakter pozytywny, gdzie popędu uprzedniego jakby nie było, możemy go się zawsze domyślać, jest on zawsze utajonym, tak że wszelki ból moralny daje się do negacyi sprowadzić. Jako poczucie braku, ból taki jest również naruszeniem pewnéj równowagi (swobody asocyacyi myśli i uczuć). Ale zachodzi pytanie, jakie to funkcye tracą równowagę, gdy doświadczamy bólu. Gdybyśmy poprzestali na wyjaśnieniu, że funkcye te mogą być bądź cielesne jak np. oddychanie, krążenie krwi i t. d., bądź duchowe jak np. myślenie, przypominanie i t. d.; to zasada *jedności* téj kategoryi zjawisk zostałaby niewykrytą. Autor stara się właśnie o zdobycie téj zasady i w tym celu przebiega różnorodne teorye tworzone celem wyjaśnienia istoty uczuć, poddaje je krytyce i w końcu przedstawia pogląd własny. Niepodobna nam iść trop w trop za autorem, chociaż rozbiór teoryj jest nader nauczającym; musimy poprzestać na streszczeniu wywodów samego autora. Organizm żywy dlatego tylko żyje, że się ciągle odradza; z chwilą gdy odradzanie się ustaje, ustaje téż życie. Odradza się zaś dlatego, że się *zużywa*. Zarówno więc *zużycie* jak *odnowa* są najbardziéj zasadniczemi, najistotniejszemi procesami życia: od nich się ono zaczyna i na nich kończy, a wszystko, cokolwiek za funkcyą istoty żywéj uważać możemy, jest różnokształtnym przejawem jednéj funkcyi zasadniczéj — *przemiany materyi*. A jeżeli tak jest, to i funkcya uczuciowości musi się z tą zasadniczą znajdować w jakimś ścisłym stosunku. Z punktu widzenia obserwacyi wewnętrznéj polegają wszystkie bóle na pewném naruszeniu równowagi funkcyj, lecz ponieważ nie każde naruszenie téj równowagi jest bólem, przeto trzeba dopełnić owo wyrażenie dodatkiem, że bólem jest zawsze to, co indywidualnie pojętą, autonomiczną równowagę funkcyj narusza lub znosi. Z punktu widzenia obserwacyi zewnętrznéj ból jest naruszeniem równowagi pomiędzy zużyciem a odnową tkanek, jak to wynika z uogólnienia spostrzeżeń i z eksperymentów Mantegazzy, które, wykazały, że ból wstrzymuje ruchy serca, zniża temperaturę ciała, powiększa częstość ruchów oddechowych albo je wstrzymuje, paraliżuje trawienie i odżywianie. Odróżnia p. O. ból negatywny i pozytywny. Ból negatywny będzie wtedy, gdy wobec znacznéj odnowy tkanek wstrzymane jest zużycie, ból pozytywny wtedy, gdy wobec znacznego zużycia wstrzymaną jest odnowa. Uogólniając zaś wszystkie spostrzeżenia i łącząc oba punkta widzenia, fizyologiczny i psychologiczny, dochodzi autor do następnéj definicyi: „*Przyjemność* jest funkcyą psychiczną wszystkich tych procesów fizyologicznych, które bądź-to przez zużycie, bądź przez wstrzymanie zużycia *ułatwiają* odnowę tkanek. *Przykrość* zaś jest funkcyą psychiczną wszystkich tych procesów fizyologicznych, które bądź-to przez zuży-

cie bądź przez wstrzymanie zużycia *utrudniają* odnowę tkanek... Najwyższy stopień *rozkoszy* jest wówczas, gdy najwyższemu chwilowo zużyciu odpowiada najwyższa chwilowa odnowa. Najwyższy zaś stopień bólu wówczas, gdy najwyższe możliwie zużycie dąży do zupełnego wstrzymania odnowy—lecz takie wytężenie struny cierpień nie może trwać długo, gdyż organizm broni się przed niém omdleniem lub śmiercią.“ Oto ostateczne rezultaty, do których doszedł p. Ochorowicz. Rozumie się, że w tém suchém streszczeniu nie mogliśmy dać poznać zalet wykładu autora, który nigdy nie wchodzi w zakres oderwanych pojęć, dopóki za pośrednictwem przykładów z życia wziętych nie wyjaśni dostatecznie każdego pojęcia i dopóki nie przygotuje tym sposobem czytelnika do zrozumienia abstrakcyjnych wywodów. Rozprawa o bólu należy niewątpliwie do najlepiéj pod względem metodycznym wykonanych prac naszego wysoce utalentowanego psychologa.

= **Ostatni list**. Skreślił *Aleksander Chomiński* (Warsz. 1882 str. 92). Jest-to jakby studyum, w kształcie noweli, nad „manią wielkości.“ Konrad, dusza płomienna i artystycznie uzdolniona, pochodził z rodziny czeskiéj, przechowywującéj oddawna przepowiednią, iż jeden z jéj członków zostanie mistrzem, którego „melodyjna pieśń nad całą nawą świata zapanuje.“ Każdy więc członek sądził, że on jest tym zapowiedzianym mistrzem, a gdy życie kłam zadawało takiemu zdaniu, miał nadzieję, że na synu jego wróżba się spełni. Konrad wyrósł w téj myśli, od dzieciństwa pokochał skrzypce, a uważając się za muzyka—poetę, za gieniusz, z lekceważeniem odtrącał rady i wskazówki swoich nauczycieli, co w technikę wprawić go zamierzali. Samorzutnie fantazyując, gdy pierwsza miłość obudziła w nim żywsze prądy, pokusił się o danie koncertu i zrobił najfatalniejsze fiasko. Znalazł pociechę w nowéj, jak mu się zdawało, miłości, a raczéj w szale przemijającym względem kobiety, która ognistą swoją naturą wyobraźnię tylko jego drażniła. Wtedy pomyślał o wystawieniu wielkiéj opery, na tle patryotyczném osnutéj (*Jan Sobieski*), połączył się z poetą Romanem, również pragnącym sławy, ale mniéj wybuchowym niż on sam. Pracowali długo. Z początku zdawało się, że „natchnienie“ zdrojem spłynie na artystę, lecz w ciągu pracy brakowało pomysłów, tak że Konrad musiał się uciekać po motywa do starych mistrzów, któremi dawniéj pogardzał. Wreszcie z wielką męką ukończono dzieło. Żaden wydawca nie chciał go ogłosić. Dyrektor teatru obiecał wystawić, ale honoraryum zaproponował tak niskie, że było ono ironią w porównaniu z marzonemi przez autorów górami złota. Cóż było robić? Zgodzono się na wystawienie opery. W przeddzień przemówił się zazdrosny o Irenę artysta z recenzentem teatral-

nym, który jego ukochanéj nadskakiwał. W skutek przemówienia się tego, w sam dzień reprezentacyi pojawił się artykuł odsądzający operę od wszelkiéj wartości. Pomimo patryotycznéj treści opera mało ściągnęła widzów, oklaski po pierwszym, najlepszym akcie wydały się artyście objawem litości; po skończonéj sztuce wywołano autora, a gdy się ukazał, dały się słyszéć przeciągłe sykania. Zemsta zawiedzionéj publiczności była dla artysty dotkliwszą od samego niepowodzenia. Na dobitkę miłość własna obu autorów wywołała starcie. Roman przypisał niepowodzenie Konradowi. Nastąpił pojedynek; Roman poległ, siostra Konrada kochająca poetę, wstąpiła do klasztoru, matka umarła, artysta dostawszy tyfusu, wyłysiał, posiwiał, wynędzniał. Gdy cokolwiek przyszedł do siebie, nie mając ani grosza w kieszeni, nie wiedząc co z sobą począć, doznał jeszcze jednego, okropnego ciosu. Pierwsza jego miłość, siostra po duchu, anielska Eugenia, widząc go zakochanym w innéj, a nie mogąc nienawidzić, trawiła się w sobie, nikła z każdym dniem a przed zgonem zapragnęła go raz jeszcze zobaczyć i poślubić go, ażeby mu przekazać swój majątek. Prześlicznie są nakreślone przedzgonne marzenia suchotnicy (str. 67—73), przypomnienia pierwszych chwil znajomości, wspólnych śpiewów, wspólnych rojeń... Po śmierci Eugenii Konrad znowu wpadł w chorobę, z któréj wyszedłszy, oprzytomniał niby z manii i surowo osądził całe swoje tak krótkie a tak znękane życie: „Może był we mnie talent... powiada—charakter dumny, zarozumiałość zniweczyły i tę cząstkę geniuszu, bo praca nie rozwinęła ziarn należycie, nie dała im pokarmu; nie dziw więc, że roślina skarlała; a tu przygnębiły jeszcze okoliczności nieprzyjazne, zwarzył mróz niepowodzeń i... zginęła marnie.“ Otrzeźwienie było chwilowe. Obłąkanie stało na progu jego umysłu i weszło wreszcie do wnętrza. Bezładne marzenia opanowały jego głowę, zaczął zajmować się wielką polityką, wielką nauką, wielkiemi pomysłami. W końcu zmienił mieszkanie... na szpital waryatów. W chwili przedzgonnéj marzył jeszcze o wyśpiewaniu wielkiéj pieśni, co nad nawą świata zapanować miała, żądał skrzypiec; nie dano mu ich, skonał... Autor nadał swojéj noweli kształt listu pisanego przez zwichniętego artystę w chwili jaśniejszego poglądu; stąd romantyczne wybuchy miarkowane są niekiedy trzeźwą rozwagą. Opowiadanie jest pisane językiem i stylem poprawnym a czasami pięknym. Jeżeli uwzględnimy jednostajność formy, wynikłą z głównego pomysłu, to będziemy musieli przyznać, że autor w tym zakresie wyzyskał prawie wszystko, co było do wyzyskania artystycznego.

— **Z życia poety** (*Sebastyan Klonowicz*). *Szkic powieściowy na tle historycznem napisał Władysław K. Zieliński*. (Tom XXI „Biblioteki

Nowości"). Lwów. Nakład księgarni K. Łukaszewicza. 1882 str. 187. Ostatnie lata życia Klonowicza podawały już dawniéj powieściopisarzom, poetom i artystom przedmiot do obrazów wykonanych piórem lub pędzlem, że tylko wspomnę Zacharyasiewicza, Syrokomlę, Leopolskiego. Opierając się na szczegółach mętnego podania wystawiali nam oni plastycznie dogmat romantyzmu, że poeta nie może być nigdy w zgodzie i harmonii z „brudną" i „zimną" rzeczywistością, gdyż sama natura jego ducha tak jest różną od natury otoczenia ziemskiego, iż walka między niemi staje się konieczną; walka ta wypada dla poetów niepomyślnie na ziemi, ale zapewnia im nieśmiertelne imię w krainie wspomnień, w regionach ideału. Klonowicz pojęty według tradycyi jako męczennik idei umierający w szpitalu był wyborną ilustracyą onego dogmatu i zwracał ku sobie sympatyczne uczucia artystów—braci po duchu. Nowsze, ściślejsze poszukiwania zaprowadziły niektóre zmiany w tradycyi, na niekorzyść poetycznego pojmowania walki poety ze światem. Nie udowodniły one wprawdzie, iżby Klonowicz nie doświadczał w życiu starć bolesnych, iżby nie spotykał na drodze swéj cierni, ale zachwiały autentyczność wielkiéj roli ubóstwa, prześladowania i szpitala w ostatnich chwilach poety. Można téż było na podstawie tych nowo odszukanych dokumentów nakreślić życie Klonowicza z innego niż dawniejszy punktu widzenia; można było dać np. zajmujący obrazek mieszczanina mówiącego gorzką prawdę szlachcie a jednak szczycącego się przyjaźnią lepszych przedstawicieli téj szlachty w wieku XVI. Gdybyśmy w zupełności zawierzyli przedmowie p. Zielińskiego, to zdawałoby się, że właśnie zmieniony przez nowo odszukane akta punkt widzenia skłonił autora do napisania szkicu powieściowego „z życia poety." Zapewnia bowiem p. Zieliński, że „co do głównych momentów dotyczących życia i śmierci Acerna," trzymał się „ściśle najnowszych odkryć i wyjaśnień poczynionych przez pp. Józefa Detmerskiego i prof. Przyborowskiego, jako téż i wskazówek zawartych w aktach archiwum akt dawnych w Lublinie?" Może autor miał zamiar tak zrobić, ale że nie zrobił w całéj rozciągłości, to pewna. Przyjął świeżo ustaloną datę śmierci Klonowicza; o kamienicy, którą dostał poeta w posagu po żonie, rozprawia szeroko w całéj książce; nazwiska znajomych autora „Roksolanii" przytacza obficie; różne nieruchomości miejskie, gwoli swéj żyłce archeologicznéj opisuje drobiazgowo; lecz na têm podobno można zakończyć szereg owych „głównych momentów" wspominanych w przedmowie. Inne szczegóły przedstawia autor po staremu, dodając tylko tu i owdzie trochę skandalicznych wymysłów. Żona poety Agnieszka występuje w tym szkicu powieściowym nie tylko jako sekutnica lecz jako bezwstydna i rozpustna marnotrawczyni,

a co gorsza jako trucicielka; Klonowicz umiera w szpitalu ś. Ducha; a osnowę powieściową splątał autor z prześladowania poety przez jezuitów za jego pamflet przeciw zakonowi i za „Victoria deorum“ oraz ze spisku wójta Mrzygłoda i palestranta Wylągowicza na majątek i dobre imię Klonowicza. Okolicznościom tym, wielce podejrzanéj autentyczności, nadając przeważne w swém opowiadaniu znaczenie, p. Zieliński natomiast pomija rzeczy udowodnione (np. zajście z żoną jedynie dokumentami stwierdzone), albo téż je przekręca (sprawy procesowe). Pomimo słów uwielbienia, których autor poecie nie szczędzi, w opowiadaniu jego Klonowicz wygląda nader niepocześnie i nie sprawdza w działaniu niczém owych lirycznych ustępów. Opowiadanie wogóle całe bez talentu powieściopisarskiego prowadzone, ciągle się urywa i znowu nawiązuje, posiłkując się wszystkiemi zużytemi środkami starych i nowych romansów (bójki, skarby w misternych skrytkach, wyklęcia itp.), tak że całość sprawia niemiłe, a czasem nawet wstrętne wrażenie. Jako utwór powieściowy szkic „Z życia poety“ świadczy o braku talentu, jako biografia udramatyzowana może fałszywe całkiem wyobrażenie dać o autorze Roksolanii, Flisa, Worka Judaszowego i Zwycięstwa Bogów. Łacina, którą się lubi p. Z. posługiwać, jest okropna—pod względem nawet elementarnéj gramatyki.

= Przyrodnicy nasi idą przebojem. Ledwo upadła „Przyroda i Przemysł“, nie mogąc utrzymać dostatecznéj do pokrycia nakładu liczby prenumeratorów, a już ukazało się nowe pismo poświęcone popularyzacyi nauk przyrodzonych, tym razem pod rozległą nazwą **Wszechświatu**. Wydawcy liczą widocznie, że zdołają ostatecznie przełamać obojętność czytającego ogółu i wzbudzić zamiłowanie do téj gałęzi wiedzy ludzkiéj, która zarówno dla wysokiego rozwoju teoretycznego jak i dla zastosowań praktycznych tak górującą rolę w czasach naszych odgrywa. Mówić o potrzebie popularnego organu przyrodniczego byłoby rzeczą niezawodnie zbyteczną, sądzimy, że i ogół nasz potrzebę tę nakoniec tak dalece oceni, że pismo to potrafi zapewnić sobie byt trwały. Jako wydawca podpisuje się pan E. Dziewulski, jako redaktor p. Br. Znatowicz; komitet redakcyjny stanowią pp. Chałubiński, Dudrewicz, Kramsztyk, Ślósarski, Słowikowski, Trejdosiewicz i Wrześniowski; zbiorowa redakcya pozwala dobrze tuszyć o wartości pisma. Dotąd mamy przed sobą cztery pierwsze numery tego nowego tygodnika, zalecające się zarówno obfitością materyału, jak i jasném jego obrobieniem. Znajdujemy tam odczyt prof. Oskara Fabiana „*O promienistym stanie materyi*,“ daléj żywo prowadzone „*Wspomnienia z podróży do Peru*“ p. Sztolcmana, kilka rozprawek popularnych, jak „*Powstawanie gliny*“ p. Józefa Bąkow-

skiego, „*Krzemionka w przyrodzie*“ p. Jana Trejdosiewicza, „*Z powodu kolei konnéj*“ p. Stanisława Kramsztyka „*Kauczuk i gutaperka*“ p. Józefa Natansona, „*Kamieniołomy w Dyczkowie*“ p. Wł. Boberskiego i in. *Życiorysy* świeżo zmarłych naturalistów, *ks. Wł. Lubomirskiego* i prof. *Rafała Czerwiakowskiego* napisane przez prof. Wrześniowskiego i Rostafińskiego wskazują, że redakcya baczną uwagę zwracać zamierza na sprawy nauki krajowéj. Początek obszernéj, jak się zdaje, pracy p. K. Filipowicza „*Rośliny skrytokwiatowe*“ przedstawia raczéj charakter podręcznika naukowego, aniżeli pracy do pisma bieżącego przeznaczonéj. Sprawozdania literackie i kronika naukowa zajmują obszerną część każdego numeru.

= **Starodawne prawa polskiego pomniki.** *Tom VI wyd. M. Bobrzyński.* Głównem zadaniem istniejącéj przy Akademii Umiejętności w Krakowie komisyi prawniczéj jest wydawanie źródeł prawa polskiego. Ponieważ w chwili utworzenia Akademii a więc i zawiązania komisyi prawniczéj śp. A. Z. Helcel wydał był już dwa tomy starodawnych prawa polskiego pomników, postanowiono pracę przez znakomitego tego męża zaczętą daléj prowadzić i najbliższy własnym Akademii nakładem wydać się mający tom trzecim z rzędu nazwać. Tom ten obejmuje przedruk korektury Taszyckiego dokonany przez p. Bobrzyńskiego. W tomie czwartym mieszczą się statuta synodalne wydane przez p. Heyzmanna, tom piąty nakoniec poświęcony został pomnikom literatury politycznéj polskiéj z w. XV, a wydawcą pierwszéj jego części, która przed kilku laty się pojawiła, jest znowu p. Bobrzyński. Obecnie mamy przed sobą tom VI, który również niezmordowanéj pracy młodego profesora prawa polskiego w Krakowie zawdzięczamy. Jak wiadomo, cały prawie drugi tom Pomników wydany przez Helcla zawiera wyjątki z ksiąg sądowych krakowskich z lat 1394—1506. Oczywiście nie wyczerpał Helcel materyału nawet z tego okresu, i bez przesady da się powiedzićć, że stosunek wydrukowanych przezeń zapisek do rękopiśmiennych, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy świeżo ze Lwowa spowadzone do archiwum krakowskiego księgi Bieckie i Czechowskie, jest jak 1 : 100. Jeżeli zatém już z wieku XV tak wielki zasób materyału się nagromadził, cóż powiedzićć o w. XVI, w którym księgi, choćby już z tego powodu, że forma zapisek stawała się w miarę wykształcenia przewodu sądowego znacznie dłuższą i rozwleklejszą niż poprzednio, musiały też urość znacznie tak co do objętości jak i liczby. Zadanie wydawcy jest co do w. XVI z jednéj strony łatwiejsze, z drugiéj trudniejsze niż co do wieków poprzednich. Łatwiejsze o tyle, iż prawidłowo księgi z tego czasu lepiéj zachowane i pismo do odczytania mniéj trudne; trudniejsze zaś z powodu uwagi, jaką trzeba przyłożyć przy wyszuki-

waniu stosownych do druku aktów z całéj chmary przechowanych. Dokładną téj różnicy ilustracyą jest wykaz statystyczny przez wydawcę w przedmowie umieszczony. Bobrzyński bowiem w obecném wydawnictwie ograniczył się do wyroków sądu nadwornego królewskiego z lat 1507—1531, które mieszczą się w odrębnéj kategoryi ksiąg, stanowiących jeden z najciekawszych zabytków archiwum krakowskiego. W księgach, które pochodzą z okresu objętego tomem VI. Starodawnych pr. pol. pomników znajduje się aktów blisko 9.000, z których uwzględnienie znalazło tylko 521 a więc część 18-sta. Zważywszy, że i księgi królewskie są tylko drobną częścią wszystkich aktów współcześnie prowadzonych, łatwo się przekonać, jak dalece trzeba być w księgach sądowych oczytanym, jak dobrze znać należy przedmiot w nich się znajdujący, aby tylko istotnéj wartości zapiski do druku podawać. W krótkiéj, ale treściwéj przedmowie nie tylko ów wykaz statystyczny jest zawarty; zajmuje on tylko § 12, podczas gdy §§. 2—8 mieszczą w sobie uwagi ogólne co do wydawnictwa zapisek, pełne trafnych i z doświadczenia zaczerpniętych spostrzeżeń, §§ 9—11 zaś określają stanowisko i kompetencyą sądów nadwornych z dołączeniem wykazu ksiąg królewskich od r. 1436—1563. Nadmienić tu wypada, że wykaz ten nie jest rzeczą najmniéj ważną i najłatwiejszą. Niezawodnie jedno tylko archiwum krakowskie, którego dyrektorem jest p. Bobrzyński, posiada dokładne wykazy zawartych w niém ksiąg; nie idzie tu bowiem o spisanie i policzbowanie, ale o ułożenie w księgi pojedyńczych arkuszy i dokładne chronologiczne ich zestawienie. Z wykazu tego dowiadujemy się, że wszystkich ksiąg sądu królewskiego w Krakowie znajduje się 47, z których na panowanie Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta przypada 33. Jak nas poucza wzmianka w przedmowie, zamierza p. Bobrzyński prócz 10 już wyzyskanych ksiąg i dalsze 23 objąć w zakres wydawnictwa, przez co tém większą dla nauki odda przysługę, iż owe wyroki z w. XVI są najznakomitszém źródłem do poznania przewodu sądowego polskiego w jego prawie zupełnym już rozwoju. Co się tyczy wydania obecnego tomu, to przedewszystkiém na pierwszy rzut oka zastanawiają tytuły, któremi pojedyńcze akty są opatrzone. Jest to dla korzystających wielkiém ułatwieniem, tém bardziéj że p. Bobrzyński umieszcza zarazem odpowiednie §§ z korektury Taszyckiego, która, chociaż pozostała tylko projektem, zawiera jednakże po największéj części zasady istotnie obowiązującego pr. polskiego. Możnaby się uskarżać na znaczną ilość błędów drukarskich, które nie wszystkie w *corrigendach* są umieszczone, ale kto kiedykolwiek miał do czynienia z wydaniem pomników łacińskich, zwłaszcza gdy się korektę z oryginału prowadzi, ten najlepiéj potrafi

ocenić, iż uniknięcie znacznéj liczby omyłek jest prawie niemożliwe. Trzy wykazy: 1) wyrazów i zwrotów polskich, 2) rzeczy, 3) w związku z sobą stojących wyroków, tém wdzięczniéj należy powitać, iż wydawcy zapisek sądowych zwykle od nich się uchylają. Zwłaszcza wykaz „rzeczy" przeprowadzony systematycznie t. j. porządkiem, w jakim prawo polskie mogłoby być wykładane, chociaż zbyt krótko i pobieżnie ułożony, ze względu na swą nowość na uznanie zasługuje, i dowodzi wprawnéj ręki wydawcy.

= **William Stubbs.** *The Constitutional History of England in its origin and development.* 3 volumes. (I third ed. 1880. II second ed. 1877. III second ed. 1878); Select Charters and other illustrations of English Constitutional History from the earliest times to the reign of Edward I, second ed. 1874. — Z pomiędzy teraźniejszych historyków angielskich, zajmujących się wiekami średniemi, trzy głównie imiona na uwagę zasługują. Freeman znany autor historyi zawojowania Anglii przez Normanów, James Bryce profesor prawa rzymskiego w Oksfordzie, którego obszerną rozprawę *The Holy Roman Empire* dwukrotnie na język niemiecki przełożono, ostatni raz w r. 1877 przez D-ra Artura Wincklera p. n. „Des deutschen Reiches Vergangenheit und Gegenwart," a obecnie drukujące się dzieło *History of Germany and of the Empire down to the close of the Middle Ages*, z niecierpliwością jest wyczekiwane, i nakoniec William Stubbs, autor pierwszéj wyczerpującéj i z zastosowaniem nowéj metody krytycznéj napisanéj historyi konstytucyi angielskiéj w wiekach średnich. Obszerne trzytomowe dzieło Stubbsa ma dla Anglii być tém, czém Waitza *Verfassungsgeschichte* dla Niemiec, z tém jednak zastrzeżeniem, że przedmiot swój traktuje historyk angielski znacznie zwięźléj,— pomijając polemiczne wycieczki, które stanowią, zwłaszcza w niektórych kwestyach, nie najmniéj ciekawą część książki obecnego dyrektora wydawnictwa „Monumenta Germaniae Historica." Jako uzupełnienie saméj historyi konstytucyi mają służyć najważniejsze pomniki prawa publicznego angielskiego zebrane przez Stubbsa w osobnym tomie i opatrzone treściwemi objaśnieniami i wstępami mającemi ich zrozumienie ułatwić. Wprawdzie wyciągi te sięgają tylko do końca XIII w. a z czasów następnych już tylko w dodatku najważniejsze akty umieszczono, niemniéj wszakże wystarcza zebrany przez Stubbsa materyał, aby najważniejsze zasady konstytucyi angielskiéj z samych źródeł módz poznać. Wdzięcznym też być należy autorowi za słowniczek średniowiecznéj łaciny, który na 20 stronach zawiera wytłómaczenie mniéj zwykłych wyrazów i stanowi, zwłaszcza dla nieobznajomionych ze źródłami średniowiecznemi angielskiemi, pożądany bardzo środek pomocniczy.

— **George Rawlinson**: *A manual of ancient History*. 1880 r. — Nie mówiąc już o literaturze historycznéj polskiéj, w któréj brak wszelkich podręczników dotkliwie daje się uczuć, trudno zaprzeczyć, że i zachodni nasi sąsiedzi wielką obfitością dobrych kompendyów historycznych poszczycić się nie mogą. We Francyi lukę tę zapełnia obecnie wydawnictwo p. Wictora Duruy, byłego ministra oświaty, który z jednéj strony układa sam szereg książek historycznych przeznaczonych to dla szkół niższych, to dla wyższych, a z drugiéj przewodniczy całéj grupie uczonych zajętych opracowaniem dziejów pojedyńczych narodów. Z dzieł należących do tego wydawnictwa, słuszny rozgłos pozyskała Historya literatury francuskiéj p. Demogeot, Historya literatury włoskiéj p. Etienne, Historya Rosyi p. Rambaud, podczas gdy ostatnie dwie publikacye: Historya Austro-Węgier przez p. Leger i Cesarstwa Ottomańskiego przez wice-hrabiego de la Jonquière, poprzednim nie dorównywają. Perłą jednakże tego wydawnictwa jest *L'Histoire Ancienne des peuples de l'Orient*, przez p. G. Maspero, którą odrazu uznano jako w swoim rodzaju dzieło znakomite, w całéj literaturze europejskiéj nie mające równego; Niemcy téż pośpieszyli przyswoić sobie książkę p. Maspero, co w r. 1877 przez przekład p. Pietschmana do skutku przyszło. Tém samém zyskali podręcznik, którego nawet znana Historya starożytna Maxa Danckera, obecnie pojawiająca się w 5 wydaniu, zastąpić nie może. Największą zasługą p. Maspero jest jasność i zwięzłość; na 600 stronach potrafił ugrupować dzieje całego wschodu prócz Indyj i to traktując przedmiot nie pobieżnie, lecz niezmiernie dokładnie i źródłowo. Pod względem zwięzłości przewyższa dzieło następcy Mariette-bey'a w Kairze, podręcznik historyi starożytnéj napisany przez jednego z najznakomitszych oryentalistów angielskich Jerzego Rawlinson'a słynnego autora dziejów *of the five great Monarchies*, do których późniéj przybyły *the sixth and the seventh great Monarchy*, i niedawno wyszłéj dwutomowéj Historyi Egiptu. Również na mniéj-więcéj 600 stronach przedstawia p. Rawlinson całokształt dziejów starożytnych z wyłączeniem Indyj i Chin, których dzieje, jak słusznie uważa, najstosowniéj kreślić przy wykładzie historyi nowożytnéj. Dzieło uczonego angielskiego nie równéj jest wartości. Część pierwsza obejmująca przedmiot, opracowany przez p. Maspero, jest najsłabszą. Zbytnia systematyczność i chęć traktowania każdego choćby najdrobniejszego państewka całkiem osobno, sprawia, iż tracimy ustawicznie wątek opowiadania, co zwłaszcza wobec nieustalonych dat prowadzi do wielkiego zamieszania. Historya grecka, wypełniająca część drugą, w ogólności przedstawia się o wiele lepiéj; szczególniéj Historya kolonizacyi greckiéj z niezwy-

kłą skreślona została dokładnością. Rawlinson podaje przed każdym rozdziałem nietylko najważniejsze dzieła tak z angielskiéj jak francuskiéj i niemieckiéj literatury, ale nadto i wszystkie źródła z krótkiém nadmienieniem o ich wartości i czasie powstania. W samém zaś opowiadaniu daremniebyśmy szukali owéj nieznośnéj pragmatyczności, która jest plagą książek niemieckich; z pod pióra Rawlinsona występuje historya grecka plastycznie, nie traci swéj żywotności, nie obraca się w konwencyonalnych ramach, w które ją niemieccy autorowie podręczników gwałtem wcisnęli, czyniąc z niéj raczéj część starożytności greckich, niż jednę z najpiękniejszych kart dziejów powszechnych. Macedonia i Dyadochowie doczekali się gruntownego i obszernego uwzględnienia, w porównaniu z innemi rozdziałami może nawet za obszernego. Wszystkie zalety części drugiéj występują w wyższym jeszcze stopniu przy kreśleniu dziejów rzymskich. Przedewszystkiém jedna strona dodatnia zasługuje na podniesienie. Rozwój ustawy rzymskiéj nie jest pojęty ze strony głównie formalnéj, powiedzielibyśmy biurokratycznéj, jak to czynią Niemcy, przeciwnie drobiazgi mniéj ważne i nieskończona ilość terminów technicznych prawie całkiem pominięta, natomiast istotny charakter walk i przeobrażeń społecznych w rzeczypospolitéj rzymskiéj występuje żywo i przestaje mieć ów odcień mitologiczny, legendowy, który jest nieuchronnym skutkiem zbyt pragmatycznego i suchego przedstawiania odległych bardzo wypadków. Historyą cesarstwa nie mniéj dokładnie R. skreślił, zwłaszcza zawiłe bardzo ostatnie lata jego istnienia, zlewające się z początkiem średnich wieków. Ostatnią część książki stanowią dzieje Persyi za Sassanidów sięgające aż do w. VII po Chrystusie, w skutek czego końcowe ustępy dzieła Rawlinsona wkraczają zupełnie w zakres średniowieczny.

= **Dr. Michael Perlbach**: *Pommerellisches Urkundenbuch.* 1882 r. Niemała jest liczba uczonych niemieckich, którzy prawie wyłącznie oddają się badaniu dziejów polskich. I nic dziwnego; jeżeli bowiem historyk, chociażby i Niemiec znajduje się przez dłuższy czas w kraju zapełnionym zabytkami czysto polskiemi; jeżeli najczęściéj ze względu na swoje urzędowe stanowisko zmuszony jest w zabytkach tych się rozglądać i wartość ich krytyce poddawać, to mimowoli lgnie do przedmiotu nasuwającego mu się tak łatwo do naukowych spostrzeżeń, a raz się w nim rozmiłowawszy rzadko go kiedy porzuca. Tak się rzecz ma szczególniéj na Szlązku, w Poznańskiém i w Prusach, gdzie wszędzie znajduje się znaczna ilość archiwów rządowych i miejskich, których urzędnicy przyczyniali i przyczyniają się niemało do wydawnictwa źródeł historycznych polskich.— Pan Perlbach, były archiwaryusz w Królewcu a obecnie kustosz

w bibliotece uniwersyteckiéj w Gryfii (Greifswalden) nie stanowi wyjątku w szeregu ludzi, między któremi przytoczyć można imiona, jak Büschinga, Stenzla, Grünhagena, Wattenbacha, Grotefenda i innych. Już rozprawa jego doktorska o kronice Oliwskiéj wskazywała, iż w czasie studyów uniwersyteckich przeważnie się dziejami prusko-polskiemi zajmował, a następne prace jak *Die ältesten preussischen Urkunden kritisch Untersucht* i *Preussische Regesten* dowiodły, że raz obranéj drogi i nadal trzymać się zamierza. Jeżeli jednak co się tyczy Prus z powodu prac Jana Voigta nie tyle pozostawało do czynienia, to nie mniéj ważne zadanie czekało na odpowiednich pracowników; mam tu na myśli kwestyą wydania dyplomatów pomorskich, w zawieszeniu pozostającą od czasów Hasselbacha i Kosegartena (wydawców kodeksu dypl. pomorskiego) jakotéż Roberta Klempina ich uzupełniacza (wydane przez niego *Pommersches Urkundenbuch* sięga równie jak *Codex Dip. Pom.* tylko do r. 1253). Hasselbach jednak jak i Klempin mieli na myśli całe Pomorze zachodnie i wschodnie, p. Perlbach zaś pozostawiając pracę dalszego prowadzenia dzieła zasłużonych tych mężów p. Prümersowi, który z niéj częściowo bo do r. 1278 już się wywiązał, postanowił zebrać w jednym dyplomataryuszu wszystkie akty, odnoszące się do Pomorza polskiego tj. wschodniego, tak iż wydane przez niego *Pommerellisches Urkundenbuch* zawiera w sobie ogół znanych dotychczas z druku i nieznanych dokumentów tyczących się Pomorza wschodniego po r. 1315. Niemałych trzeba było zabiegów, aby opanować materyał w rozmaitych archiwach zawarty, témbardziéj że p. Perlbach nie zadawalniał się przedrukowaniem znanych już dyplomatów, lecz zawsze starał się sięgnąć do oryginału, aby dać tekst o ile możności najwierniejszy. Opis swéj podróży po rozmaitych archiwach ogłosił p. Perlbach jeszcze w r. 1880 (*Bericht über eine für das Pommerellische Urkundenbuch übernommene Reise nach Polen*), zapowiadając zarazem rychłe ukazanie się samego dyplomataryusza. Nie miejsce tu wchodzić w krytykę rzeczową np. co do sądu wydawcy o autentyczności niektórych dokumentów, bo będąc nawet w niektórych punktach odmiennego od niego zdania, uznać należy niezmierną skrzętność i sumienność, z jakiemi trudnego zadania dokonał. Dokładny Indeks użycie dyplomataryusza niezmiernie ułatwia. Przypominamy nareszcie, że w ostatnich czasach umieścił p. Perlbach w XVIII tomie czasopisma „Altpreussische Monatschrift“ dwie cenne prace: *Preussische Urkunden aus polnischen und englischen Archiven*“, i *Regesten der Stadt Königsberg* (1256—1524).“

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**